

DONNA LEON

ZŁOTE JAJO



KOMISARZ BRUNETTI I TAJEMNICE WENECJI

DONNA LEON

ZŁOTE
JAJO

Przełożyła
Małgorzata Kaczarowska

NOIR SUR BLANC

Tytuł oryginału:
THE GOLDEN EGG

Opracowanie redakcyjne:
KLEMENS GÓRSKI

Korekta:
BEATA WYRZYKOWSKA, JANINA ZGRZEMBSKA

Projekt okładki:
TOMASZ LEC

Skład i łamanie:
PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2013 by Donna Leon and Diogenes Verlag AG,
Zürich

All rights reserved

For the Polish edition
Copyright © 2016, Noir sur Blanc,
Warszawa All rights reserved I

SBN 978-83-7392-597-7

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl

Dla Frances Fyfield

*lasciate,
che al mio core, al mio bene
io porga almen gil ultimi baci. Ahi, pene!*

*Zostawcie mnie,
Bym mogła obdarzyć ukochanego syna
Ostatnim pocałunkiem. Ach, cóż za cierpienie!*

libretto opery *Juliusz Cezar*
G.F. Händla

To był spokojny wieczór w domu Brunettich, kolacja przebiegała w atmosferze harmonii. Brunetti siedział na swoim zwykłym miejscu, mając obok siebie syna Raffiego; naprzeciwko Brunettiego siedziała jego żona Paola, a koło niej ich córka Chiara. Półmisek *fritto misto*, do którego szczerze dodano warzywa, w szczególności ulubioną ostatnio przez Chiare marchewkę, wprowadził przyjazny nastrój, a rozmowa go podtrzymywała. Szkoła, praca, nowy sześceniak sąsiadów, pierwszy labradoodle widziany w Wenecji: tematy przepływały jedne w drugie, wszystkie w jakimś stopniu powiązane z miastem, w którym mieszkali.

Chociaż byli weneccjanami, rozmowa toczyła się po włosku, a nie w dialekcie weneckim, ponieważ Brunetti i Paola uznali, że dzieci nauczą się go od kolegów i na ulicy. Tak się rzeczywiście stało, więc dzieci mówiły dialektem weneckim równie swobodnie jak ich ojciec, który wyniósł go z domu rodzinnego. Paola nauczyła się go – i zapewne dobrze o niej świadczyło, że przyznawała się do tego z zażenowaniem – od służby wypełniającej *palazzo* jej rodziny, gdzie się wychowywała, nie zaś od swoich rodziców, dlatego mówiła nim mniej swobodnie niż pozostali. Nie czuła się natomiast zażenowana – a wręcz przeciwnie – że nauczyła się mówić po angielsku niemal tak płynnie, jakby to był jej rodzimy język, od niani w dzieciństwie, i była zadowolona, że zdołała przekazać znajomość tego języka obojgu dzieciom, chociaż wspomagały ją w tym lekcje z korepetytorami i wakacyjne obozy językowe w Anglii.

Rodziny, podobnie jak Kościoły, mają swoje obrzędy i reguły niezrozumiałe dla niewtajemniczonych. Przywiązują wagę również do pewnych rzeczy, których członkowie innych grup nie cenią w takim samym stopniu. Gdyby rodzina Brunettich miała jakąś religię, poza formalnym stosowaniem się na pokaz do powierzchniowych przejawów chrześcijaństwa, byłby nią język.

Żarty językowe, krzyżówki i docinki były dla nich tym, czym komunizm i bierzmowanie dla katolików. Niegramatyczne zdanie stanowiło grzech powszedni; celowe przekręcenie znaczenia – śmiertelny. Dzieci były dumne z tego, że zdobywając kolejne szczeble wiedzy, mogą w coraz większym stopniu uczestniczyć w poważniejszych sakramentach; wychowane w tej wierze, nie myślały nawet o podważaniu jej wartości.

Później, gdy talerze, na których jedli *finocchio* i sałatkę z pomarańczą, zostały zabrane ze stołu, Chiara z energicznym stuknięciem odstawiała szklankę z wodą i oznajmiła:

– I wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

– Oczy Clorindy napotkały wzrok Giuseppe i oboje, uszczęśliwieni, spojrzeli na dziecko – odpowiedziała natychmiast Paola głosem drżącym od emocji.

Raffi popatrzył na siostrę i matkę, przechylił głowę, przyjrzał się obrazowi na przeciwległej ścianie, potem powiedział:

– Tak właśnie się stało: miała miejsce niezwykła operacja, która nawet przeprowadzających ją lekarzy wprowadziła w zdumienie. Zaiste, po raz pierwszy w historii zdrowe dziecko narodziło się z ciała mężczyzny.

Brunetti potrzebował tylko krótkiej chwili, aby odpowiedzieć:

– Gdy wieziono go na salę porodową, Giuseppe zdążył jeszcze zapewnić: „Ona się dla mnie nie liczy, najdroższa. Tylko ty możesz być matką mego dziecka”.

Chiara, która z rosnącym zaciekawieniem słuchała pozostałych, dodała:

– Tylko najsilniejsze małżeństwa byłyby zdolne przetrwać w takich okolicznościach, lecz miłość łącząca Clorindę i Giuseppe przekraczała granice ludzkiego pojmowania i zdolna była pokonać wszelkie przeszkody. Clorinda przeżyła jednak moment wahania. „Ale dlaczego Kimberly? Moja najdroższa przyjaciółka?”.

Paola znowu przejęła pałeczkę i odezwała się chłodnym głosem narratora:

– Uczciwość, na której jak na skale opierało się ich małżeństwo, wymagała od Giuseppe, by wyznał, do czego doprowadziło go pragnienie posiadania dziecka. „To nie miało znaczenia,

najdroższa. Zrobiłem to tylko dla nas”.

– „Okrutniku – zaszlochała Clorinda. – Jak mogłeś mnie tak zdradzić? Nie pomyślałeś o mojej miłości? Nie pomyślałeś o moim honorze?” – to było drugie uzupełnienie Raffiego, który dodał jeszcze: – „I to z moją najlepszą przyjaciółką”.

Korzystając z okazji, Chiara wtrąciła się poza kolejnością, żeby powiedzieć:

– Pochylił ze wstydem głowę i oznajmił: „Wybacz, lecz jest to dziecko Kimberly”.

Paola uderzyła w stół, żeby zwrócić na siebie uwagę, i oznajmiła dramatycznie:

– „Ależ to niemożliwe. Lekarze powiedzieli nam, że nie możemy mieć dzieci”.

Rozdrażniony tym, że przepadła mu kolejka – i to z powodu jego żony – Brunetti wtrącił się, starając się ze wszystkich sił zabrzmieć jak ciężarny mężczyzna:

– „Clorindo, spodziewam się dziecka”.

Przez chwilę wszyscy milczeli, cofając się myślami w dialogu i towarzyszącej mu narracji, by sprawdzić, czy wypełniają one rodzinne wymagania dotyczące historii zawierającej tandetny melodramat, sztampę i karykaturalne postaci. Kiedy stało się jasne, że nikt nie ma już nic do dodania na początku tej historii, Paola wstała i powiedziała:

– Na deser jest ciasto cytrynowe z ricottą.

Później, gdy siedzieli w salonie, pijąc kawę, Paola zapytała Brunettiego:– Pamiętasz, jak Raffi po raz pierwszy przyprowadził tu Sarę, a ona uważała, że jesteśmy wszyscy wariatami?

– Inteligentna dziewczyna – przyznał Brunetti. – Zna się na ludziach.

– Och, daj spokój, Guido; wiesz, że była w szoku.

– Miała całe lata, żeby do nas przywyknąć – stwierdził Brunetti.

– To prawda – powiedziała Paola, odchylając się do tyłu na kanapie.

Brunetti wziął jej pustą filiżankę i postawił na stole przed nimi.

– Czy to zew babcierzyństwa? – zapytał.

Żona bez namysłu szturchnęła go w ramię.

– Nie mów tak nawet żartem.
– Nie chcesz być babcią? – zapytał z udawaną niewinnością.
– Chcę być babcią dziecka, którego rodzice mają ukończone studia i pracę – odparła z nieoczekiwaną powagą.
– Czy to jest takie ważne? – zapytał, także serio.
– Mamy je oboje, prawda? – zapytała zamiast odpowiedzi.
– Istnieje obyczaj, by na pytanie udzielać odpowiedzi, a nie odpowiadać kolejnym pytaniem – zauważył, po czym wstał i poszedł do kuchni, zabierając obie filiżanki.

Wrócił kilka minut później, niosąc dwa kieliszki i butelkę calvadosu. Usiadł koło Paoli i nalał po kieliszku. Podał jej jeden, a potem wypił łyk ze swojego.

– Jeśli ukończą studia i będą mieli pracę, to oznacza, że będą starsi, gdy zdecydują się na dzieci. I być może mądrzejsi – zauważyła Paola.

– A my byliśmy? – zapytał Brunetti.

Zignorowała jego pytanie i mówiła dalej:

– Jeśli będą mieli przyzwoite wykształcenie, będą więcej wiedzieli, a to może pomóc.

– A praca?

– Myślę, że to nie jest aż tak istotne. Raffi jest bystry, więc z pewnością znajdzie sobie coś bez trudu.

– Bystry i z dobrymi koneksjami – doprecyzował Brunetti, uznając, że byłoby niegrzecznie wspominać wprost o zamożności i wpływach rodziny Paoli.

– Oczywiście – odparła, ponieważ potrafiła się do tego przed nim przyznać. – Ale ważniejsze, że jest bystry.

Brunetti, który się z tym zgadzał, ograniczył się do skinięcia głową i jeszcze jednego łyku calvadosu.

– Ostatnio mówił mi, że chciałby studiować mikrobiologię.

Paola zamyśliła się nad tym.

– Nawet nie wiem, czym oni się zajmują. – Odwróciła się do męża z uśmiechem. – Czy czasem zastanawiasz się nad tym, Guido, nad wszystkimi tymi dyscyplinami, o jakich codziennie wspominamy: mikrobiologia, fizyka, astrofizyka, inżynieria mechaniczna. Mówimy o nich, nawet znamy ludzi, którzy się nimi zajmują, ale nie potrafiłabym ci powiedzieć, co oni tak

właściwie robią. A ty?

Potrząsnął głową.

– To całkowicie inne od dawnych dziedzin nauki: literatury, filozofii, historii, astronomii, matematyki, kiedy było jasne, czym się która zajmuje, a przynajmniej co stanowi jej podstawę. Historycy starali się dowiedzieć, co wydarzyło się w przeszłości, a potem próbowali dociec, dlaczego to się wydarzyło. – Ujął w dłonie kieliszek i potarł go jak leniwy Indianin rozpalający ogień. – Wszystko, czego mogę się domyślać w przypadku mikrobiologii, to że patrzą na małe rosnące rzeczy. Komórki.

– A poza tym?

– Bóg raczej wiedzieć – powiedział Brunetti.

– Co byś studiował, gdybyś musiał zaczynać jeszcze raz? Znowu prawo?

– Dla przyjemności czy żeby mieć pracę? – zapytał.

– Czy studiowałeś prawo dlatego, że chciałeś mieć pracę?

Tym razem Brunetti nie odpowiedział pytaniem i odparł:

– Nie. Studiowałem je, ponieważ mnie interesowało, a potem uświadomiłem sobie, że chciałbym zostać policjantem.

– A gdybyś mógł studiować tylko dla przyjemności?

– Filologia klasyczna – odparł bez chwili wahania.

– A gdyby Raffi ją wybrał? – zapytała.

Brunetti zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Byłbym szczęśliwy, gdyby zdecydował się na takie studia. Większość dzieci naszych przyjaciół nie ma pracy, niezależnie od tego, jaki kierunek wybiorą, mógłby więc równie dobrze studiować z pasji zamiast dla posady, jaką mógłby potem dostać.

– Gdzie by studiował? – zadała pytanie, które częściej dręczyło matki niż ojców.

– Nie tutaj.

– Nie tutaj w Wenecji czy nie tutaj we Włoszech?

– Nie tutaj we Włoszech – odparł, chociaż nie miał ochoty tego powiedzieć, tak samo jak ona nie miała ochoty tego słyszeć.

Popatrzyli na siebie, zmuszeni do konfrontacji z tym, co nieuchronne: dzieci dorastały i opuszczały dom. Gdy po północy zadzwoni telefon, nie będzie już można przejść korytarzem i zajrzeć do ich pokojów, by uzyskać tę natychmiastową, nama-

calną pewność, że tam są. Śpiące lub nie, czytające z latarką pod kołdrą; nieprzytomne, nadęsane, szczęśliwe lub rozzłoszczone: to wszystko nie miało znaczenia w obliczu pewności, że są bezpieczne, w domu, tutaj.

Rodzice to straszne dzieciaki. Wystarczy ten dzwonek w środku nocy, żeby serca im zamarły, a kolana zaczęły drżeć. Nie ma znaczenia, czy okaże się, że to pijany przyjaciel chce ponarząć na żonę, czy komenda wzywa Brunettiego, żeby przyszedł, ponieważ w mieście popełniono przestępstwo, a on ma prowadzić śledztwo. Nawet telefon kończący się gorącymi przeprosinami za to, że ktoś wybrał zły numer, wywiera o takiej godzinie ten sam miażdżący efekt na tych zakładnikach losu.

Jakie są w takim razie koszty tego, że jedno z dzieci znajdzie się w obcym mieście w obcym kraju? Guido Brunetti i Paola Falier byli odważnymi ludźmi i często żartowali ze skłonności do melodramatu, nieodłącznie towarzyszącej Włochom, a jednak oboje byli teraz o krok od posypania sobie głów popiołem na samą myśl o tym, że ich syn zaczyna karierę uniwersytecką i może pewnego dnia wyjechać na studia do innego miasta.

Paola nieoczekiwanie pochyliła się w bok, opierając się na ramieniu męża. Położyła dłoń na jego udzie.

– Nigdy nie przestaniemy się o nich martwić, prawda? – zapytała.

– Byłoby nienaturalne, gdybyśmy przestali – odparł Brunetti z uśmiechem.

– Czy to mnie ma pocieszyć?

– Zapewne nie – przyznał Brunetti. Minęła chwila, zanim dodał: – To najlepsze w nas, że się martwimy.

– W nas dwojgu czy w nas ludziach?

– W nas ludziach – powiedział Brunetti. – A także w nas dwojgu. – Następnie, ponieważ powaga była szatą, której żadne z nich nie potrafiło na dłużej przywdziewać, dodał: – Wiesz, jeśli postanowi zostać hydraulikiem, będzie mógł się uczyć tutaj i nadal mieszkać w domu.

Paola pochyliła się do przodu, żeby wziąć butelkę.

– Myślę, że będę się tym pocieszać – oznajmiła, nalewając sobie kolejny kieliszek.

Kiedy Brunetti szedł do komendy, nie zastanawiał się nad zabawą słowną z poprzedniego wieczoru i pozostawał obojętny na rześki jesienny dzień; jego umysł zaprzętały mniej przyjemne sprawy. Tuż przed wyjściem z biura poprzedniego wieczoru dostał e-mail z wiadomością, że jego bezpośredni zwierzchnik, vice-questore Giuseppe Patta, chciałby z nim porozmawiać następnego dnia rano. Patta, co było dla niego typowe, nie zdradził, czego ma dotyczyć spotkanie; zawsze lubił działać z przewagą zaskoczenia i był zdania, że zdoła to osiągnąć, nie informując, o czym zamierza rozmawiać. Nie wziął jednak pod uwagę etosu fair play, zakorzenionego głęboko w sercu jego sekretarki, signoriny Elettry Zorzi, która nieodmiennie uprzedzała kilka minut wcześniej osoby wezwane do gabinetu przełożonego.

Brunetti raz podzielił się komentarzem w tej kwestii, a ona odpowiedziała, że to znaczy tyle, ile powiedzenie chrześcijanom w Koloseum, za którymi drzwiami czają się lwy.

Tego ranka najwyraźniej czaiły się za drzwiami *vigili urbani*, nieuzbrojonych funkcjonariuszy, którzy mieli pilnować przestrzegania miejskich rozporządzeń.

– Chodzi o chodnik przed sklepem z maskami na Campo San Barnaba – wyjaśniła Elettra, gdy wymieniła już z Brunettim grzeczności powitalne. – Wpłynęła skarga od jednego z właścicieli sklepów na *campo*. Płacą podatki, żeby wystawiać stoliki na zewnątrz i wykorzystywać tę przestrzeń jako *un plateatico*, ale ludzie ze sklepu z maskami tego nie robią, dlatego oni są zdania, że to możliwe tylko z jednego powodu.

Brunetti często przechodził przez to *campo* i wiedział, o którym sklepie mowa, a kiedy sięgnął pamięcią wstecz, uświadomił sobie, że rzeczywiście, chodnik przed sklepem w miarę upływu czasu coraz bardziej pokrywał się amebowatymi wypustkami stolików z wystawionymi maskami *made in China*.

Ponieważ ta sprawa nie leżała w gestii policji, tylko *vigili*, Brunetti to ignorował. Jeśli płacenie *vigili* za przemykanie oczu było tańsze niż płacenie podatku, to który właściciel sklepu by się temu oparł?

– Ale dlaczego on się interesuje taką sprawą? – zapytał Brunetti, wskazując szybkim ruchem głowy drzwi Patty.

– Późnym popołudniem wczoraj odebrał telefon, a kilka minut później wyszedł i polecił mi wysłać do pana e-mail.

– Kto dzwonił?

– Burmistrz.

– Aha – powiedział cicho Brunetti.

– Rzeczywiście, aha – odparła jak echo sekretarka.

– A jeśli chodzi o sklep? – zapytał.

– Pracuję nad... – zaczęła i bez wysiłku zmieniła głos na znacznie chłodniejszy, kończąc zdanie: – w swoim gabinecie i oczekuje pana, *commissario*.

W przypadku Patty, jak wiedział Brunetti, pochlebstw nigdy nie było za dużo, więc oznajmił głosem pełnym pasji oraz – fałszywej – intensywności:

– Przed momentem zobaczyłem e-mail od niego, więc natychmiast tu przyszedłem.

W tym momencie drzwi gabinetu Patty otwały się od środka i stanął w nich *vice-questore*. Brunetti często rozmyślał, że w operze wejściu tego mężczyzny towarzyszyłyby z pewnością fanfary. Był tak przystojny, tak dostojny, tak nieskazitelnie ubrany, że nie można go było nie podziwiać, jak nie można było nie podziwiać misternie zdobionej urny. Dzisiaj, wiedząc o nadejściu chłodniejszej pogody, Patta miał na sobie kaszmirowy garnitur, tak wyśmienicie skrojony, że gdyby tylko znały przeznaczenie swojej wełny, całe stada rzadkich i zagrożonych kóz kaszmirskich walczyłyby o to, by zostać ostrzyżone jak najszybciej. Bawełniana koszula była oślepiająco biała i rozjaśniała odbitym światłem wciąż opaloną twarz *vice-questore*.

Brunetti, co czasem mu się zdarzało, musiał walczyć z pokusą powiedzenia Patcie, jaki jest piękny. Świadomy tego, jak napięte są jego stosunki ze zwierzchnikiem i jak łatwo Patta źle interpretuje to, co się do niego mówi, Brunetti powściągnął swój

entuzjizm i ograniczył się do uśmiechu i miłego:

– Dzień dobry, *vice-questore*.

Ostentacyjnie okazująca brak zainteresowania ich rozmową signorina Elettra odwróciła się do swojego komputera, całą postawą pokazując, że jest on dla niej znacznie ciekawszy. Wydało się, że zniknęła, jakby naprawdę zaczęła zajmować mniej miejsca w pokoju. Brunetti jednocześnie podziwiał tę taktykę i zazdrościł jej.

Patta odwrócił się i wszedł do gabinetu, rzucając przez ramię:

– Wejdz.

Delikatne uczucia Brunettiego stwardniały przez lata i teraz był już praktycznie niewrażliwy na zachowanie Patty. Obojętne lekceważenie, brak szacunku dla każdego, kogo uważał za gorszego od siebie: te kwestie nie dotyczyły już Brunettiego. Przemoc lub groźba przemocy mogłaby go obrazić lub rozżłościć, ale tak długo, jak Patta wybierał pasywny, a nie aktywny brak szacunku, Brunetti nie przejmował się tym.

– Siadaj – polecił Patta i obszedł swoje biurko. Brunetti obserwował, jak *vice-questore* zakłada nogę na nogę, a potem, jakby przypomniał sobie o pomiętych spodniach, natychmiast ją zdejmuje. Spojrzał na neutralnie patrzącego na niego podwładnego. – Wiesz, o czym chcę z tobą rozmawiać?

– Nie – oznajmił Brunetti, sygnalizując całkowitą ignorancję.

– Chodzi o ważną sprawę – powiedział Patta i spojrzał w bok.

– O syna burmistrza.

Brunetti powstrzymał się od zapytania, jak syn burmistrza, będący beztalenciem prawniczym, może być ważny. Zamiast tego starał się wyglądać, jakby z niecierpliwością czekał na słowa *vice-questore*. Skinął głową z wykalkulowaną obojętnością.

Patta znowu założył nogę na nogę.

– Właściwie chodzi o przysługę dla narzeczonej jego syna. Ta dziewczyna – młoda kobieta – jest właścicielką sklepu. Dokładniej, połowy sklepu. Ma współnika. Zaś ten współnik robi coś, co może być nie do końca legalne. – Patta urwał, albo po to, by zaczerpnąć oddechu, albo po to, by znaleźć sposób na wyjaśnienie Brunettiemu, że coś „nie do końca legalnego” oznacza wręczanie łapówek funkcjonariuszom państwowym. Brunetti sie-

dział z nieprzeniknioną twarzą i czekał, jaką drogę wybierze Patta.

Jak się okazało – wąską i prostą, przynajmniej w rozumieniu *vice-questore*.

– Od pewnego czasu ten współnik przekonuje *vigili*, by ignorowali stoliki wystawiane przed sklepem... – Patta urwał, a użycie przez niego słowa „przekonuje” dowodziło, że wyczerpał swoje zasoby szczerości.

– Gdzie się mieści ten sklep, *dottore*? – zapytał Brunetti.

– Na Campo San Barnaba. Sprzedaje maski.

Brunetti zamknął oczy i starał się wyglądać, jakby szukał czegoś w myślach.

– Koło sklepu z drogimi serami?

Patta szybko podniósł głowę i spojrzał na Brunettiego, jakby właśnie przyłapał go na próbie kradzieży swojego portfela.

– Skąd to wiesz? – spytał ostro.

Spokojnie, spokojnie, z łagodnym uśmiechem, Brunetti wyjaśnił:

– Mieszkam niedaleko, więc często przechodzę przez ten plac.

– Ponieważ Patta nie mówił nic więcej, Brunetti nacisnął lekko:

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, jaki pan ma związek z tą sprawą, *dottore*.

Patta odchrząknął i oznajmił:

– Tak jak wspominałem, to jej partner kontaktuje się z *vigili* i dopiero teraz ta młoda kobieta uświadomiła sobie, że być może nakłania ich, żeby ignorowali wykorzystywaną przez nich przestrzeń przed sklepem.

W odpowiedzi na celowo tępe spojrzenie Brunettiego Patta dodał:

– Nie jest wykluczone, że nie posiadają wszystkich wymaganych zezwoleń na użytkowanie tej przestrzeni.

Słyszac „nakłania” i „nie jest wykluczone”, Brunetti zastanawiał się, co musiałby zrobić, żeby Patta użył słowa „łapówka”. Przytrzymać mu rękę nad płomieniem? Zagrozić, że obetnie jedno ucho? I czy Patta w ogóle zamierzał ujawnić tożsamość tego partnera?

– Masz przyjaciół, którzy tam pracują, prawda? – zapytał Pat-

ta.

– Gdzie? – spytał Brunetti, niepewny, czy Patta ma na myśli urząd wydający zezwolenia, a jeśli tak, to czy burmistrz nie może przejść na koniec korytarza w ratuszu i załatwić sam brudnych spraw swojego syna.

– W *vigili* oczywiście – powiedział Patta z wyczuwalnym zniecierpliwieniem. – To sami weneccjanie, więc musisz ich znać.

Chociaż Patta pracował w Wenecji od ponad dekady, nadal uważał się za Sycylijczyka, a tę opinię podzielali wszyscy inni w komendzie.

– Znam kilku z nich, *dottore* – przyznał Brunetti, a potem, czując się nagle zmęczony tą rozmową, zapytał: – Co mam dla pana zrobić?

Patta pochylił się do przodu i odpowiedział przyciszonym głosem:

– Porozmawiaj z nimi.

Brunetti skinął głową, z nadzieją, że jego milczenie spowoduje podanie dalszych informacji.

Patta, być może zauważywszy pewien brak precyzji w swoich instrukcjach, wyjaśnił:

– Chciałbym, żebyś się dowiedział, czy biorący w tym udział *vigili* są godni zaufania.

– Ach – pozwolił sobie powiedzieć Brunetti, żadnym znakiem nie okazując dzikiej wesołości, jaka go ogarnęła z powodu takiego doboru słów przez Pattę. Godni zaufania? Nie ujawnią, że przyjmowali łapówki od partnera biznesowego przyszłej synowej burmistrza? Godni zaufania? Nie ujawnią, że prośba o informacje pochodzi od komisarza policji? Godni zaufania? Brunetti uznał za interesujące, że Patta najwyraźniej nawet się nie zastanawiał, czy to samo dałoby się powiedzieć o burmistrzu, jego synu lub narzeczonej syna.

W gabinecie zapadła długa cisza. Minęła minuta, bardzo długi czas, gdy dwaj mężczyźni siedzą naprzeciwko siebie. Brunetti poczuł nagły przypływ uporu; jeśli Patta chce czegoś od niego, niech o to poprosi wprost.

Patta musiał coś z tego wyczuć, ponieważ w końcu powiedział: – Chciałbym się dowiedzieć, czy istnieje jakiegokolwiek ryzyko,

że cokolwiek z tego mogłoby zostać upublicznione, czy ta dziewczyna może spowodować kłopoty na burmistrza. – Poprawił się na fotelu i dodał: – Czasy są bardzo trudne.

Czyli na tym polegał problem: dziewczyna mogła sprawić burmistrzowi, który w przyszłym roku miał się ubiegać o reelekcję, kłopoty. Tu nie chodziło o prawo, chodziło o reputację i prawdopodobnie o wybory. W świecie, gdzie nikt nie był bez grzechu, wszyscy obawiali się pierwszego, który sięgnie po kamień, szczególnie jeśli jego ręka kryła się w rękawie munduru. Gdy to się zaczynało, nie można było przewidzieć, czy następna ręka sięgająca po kamień nie okaże się odziana w jasnoszary rękaw munduru Guardia di Finanza.

– Jak mam się tego dowiedzieć? – zagadnął grzecznie Brunetti, jakby nie był już zajęty sporządzaniem listy różnych sposobów, jak to zrobić.

– Jesteś weneccjaninem, na litość boską. Możesz porozmawiać z tymi ludźmi, będą ci ufać. – A potem, na stronie, na użytek niewidoczego Rejestru niesprawiedliwości, Patta dodał: – To jak tajny klub, który macie wy, weneccjanie. Załatwicie sprawy między sobą, na własny sposób.

Te słowa, ugryzł się w język Brunetti, padły z ust Sycylijszyka.

– Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć – powiedział tylko. Wstał i wyszedł z gabinetu.

Gdy Brunetti wyłonił się z gabinetu Patty, signorina Elettra spojrzała na niego i uniosła jedną brew. Brunetti odwzajemnił ten gest i machnął kolistą dłonią, dając jej znać, żeby przysłała do niego, gdy znajdzie wolną chwilę. Z twarzą nadal całkowicie bez wyrazu, odwróciła się do komputera, a Brunetti wyszedł.

Zajrzał do pokoju odpraw i poprosił Pucettiego, żeby poszedł z nim na górę. W gabinecie, gdy młody policjant już usiadł, Brunetti zapytał:

– Masz może do czynienia z *vigili*?

Obserwował, jak Pucetti stara się dociec przyczyny tego pytania, i podobało mu się to.

– Mój kuzyn Sandro tam pracuje. Pracował tam również jego ojciec, zanim przeszedł na emeryturę.

– Jesteś z nimi blisko? – zapytał Brunetti.

– To moja rodzina – odparł Pucetti.
– Na tyle blisko, żeby zapytać ich o łapówki?

Pucetti zastanowił się, zanim odpowiedział:

– Z Sandrem tak, z wujem nie.

Brunetti, zaciekawiony, zapytał:

– Dlatego, że nie mógłbyś go o to zapytać, czy dlatego, że by ci nie powiedział?

– Myślę, że jedno i drugie po trochu. Ale przede wszystkim dlatego, że by mi nie powiedział.

– Jak długo tam pracował?

– Czterdzieści lat. Aż do emerytury.

– Czyli jesteś z rodziny policjantów? – zapytał Brunetti z uśmiechem.

– Myślę, że można tak powiedzieć, *dottore*. Brat Sandra, Luca, jest w Guardia Costiera.

– Ktoś jeszcze?

– Nie. – Potem, z uśmiechem, Pucetti dodał: – Moja matka ma owczarka niemieckiego. Czy to się liczy?

– Obawiam się, że nie, Pucetti. Chyba że został wyszkolony do szukania bomb albo narkotyków.

Pucetti uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Obawiam się, że potrafi wywęszyć tylko jedzenie, *dottore*. – Potem zapytał: – Czego chciałby się pan dowiedzieć o *vigili*?

– Chodzi o sklep z maskami na Campo San Barnaba. Dowiedziałem się, że *vigili* ignorują użytkowanie przez nich *plateatico*.

Pucetti spojrział w bok, bez wątpienia grzebiąc w pamięci, żeby przypomnieć sobie ten sklep z patroli.

– Zapytam Sandra.

Brunetti podziękował mu i odesłał do pokoju odpraw. Kiedy spojrział na zegarek, przekonał się, że dawno już minęła pora na kawę w barze przy moście. Był pewien, że signorina Elettra zjawi się niedługo.

Aby przerwać rozmyślenia o poleceniu Patty, Brunetti szedł na dół i zapytał Vianella, czy chciałby pójść na kawę. Inspektor zamknął akta, które czytał, i wstał. Szli wzdłuż *riva* obok siebie, od czasu do czasu schodząc z drogi ludziom idącym z naprzeciwka. Vianello opowiadał o swoim urlopie, który odłożył do listopada, a teraz starał się zorganizować.

W barze wymienili uprzejmości z Sergiem, właścicielem, który obecnie pracował tylko kilka dni w tygodniu. Zamówili dwie kawy, a gdy czekali, Vianello wyjął z kieszeni ulotkę i położył ją na blacie przed Brunettim, który zobaczył bezkresny biały piasek, standardowe palmy pochylające się nad nim, w oddali równie białe plaże na małych wysepkach.

– Gdzie to jest? – zapytał Brunetti, stukając palcem w jedno z drzew.

– Seszele – odparł Vianello w chwili, gdy Sergio przyniósł im kawę. Inspektor rozdarł torebkę z cukrem, wysypał zawartość do filiżanki i dodał: – Nadia chce tam jechać.

– To brzmi, jakbyś ty nie chciał – zauważył Brunetti, mieszając cukier w swojej kawie.

– Nie chcę – odparł Vianello.

– Ale wzięłeś to – powiedział Brunetti i oblizawszy do czysta łyżeczkę, użył jej, by postukać w broszurę.

– Nadia to wzięła – sprecyzował Vianello.

– A ty nosisz przy sobie.

Vianello łyknął kawy, dwa razy zamieszał w filiżance i wypił resztę. Odstawił filiżankę na spodek i powiedział:

– Noszę to przy sobie, ale noszę też przy sobie rachunek za hotel w Umbrii, który zarezerwowaliśmy na dwa pierwsze tygodnie listopada.

– Nie możesz odwołać tej rezerwacji? – zapytał Brunetti.

Vianello wzruszył ramionami.

– Myślę, że mogę. Nadia chodziła do szkoły z właścicielem,

a on wie, jak zwariowany potrafi być mój rozkład zajęć. Ale chciałbym, żeby dzieci to zobaczyły.

– Z jakiegoś szczególnego powodu? – zainteresował się Brunetti.

– Ponieważ to jest działające gospodarstwo. Nie jedno z tych miejsc, gdzie trzymają osiołka na łące i sprzedają ci jabłka, którymi możesz go karmić – wyjaśnił z odrazą Vianello. – Mają krowy, owce i kury, wszystkie te zwierzęta, które zdaniem moich dzieci żyją w telewizorze.

– Daj spokój, Lorenzo – uśmiechnął się Brunetti. – Są na to trochę za duże.

Vianello także się uśmiechnął.

– Wiem. Ale te zwierzęta równie dobrze mogłyby żyć tylko w telewizorze. Skąd miejskie dzieciaki mają wiedzieć, czym jest zwierzę i co robi albo jak to jest pracować w polu?

– Uważasz, że to ważne? – zapytał Brunetti.

– Oczywiście, że ważne – odparł Vianello, może trochę zbyt gwałtownie. – Wiesz, jak to jest. Wszyscy powtarzają nam bez przerwy, że powinniśmy szanować naturę, ale jeśli dzieci nigdy jej nie widziały, to jak mogą ją szanować? Mają tylko wszystkie te zwariowane pomysły, które podsuwa im telewizja.

– Moim zdaniem to chyba rola telewizji – zauważył Brunetti.

– Co takiego?

– Podsuwanie ludziom zwariowanych pomysłów – odpowiedział komisarz. – Co zamierzasz zrobić? – Znał żonę Vianella i był zaskoczony, że wpadła na taki pomysł. – Jesteś pewien, że Nadia naprawdę chce jechać na Seszele?

Vianello poprosił Sergia o szklankę wody i nie odezwał się, dopóki barman nie postawił jej przed nim. Wtedy powiedział:

– Przyniosła tę broszurkę i powiedziała, że byłoby cudownie uciec od tego zimna. – Wypił wodę i odstawił szklankę. – Czy to nie brzmi, jakby chciała jechać? – Zadając to pytanie, nie patrzył na Brunettiego.

– Zamierzasz mi zdradzić prawdziwy powód? – Brunetti zaskoczył tym pytaniem Vianella i być może samego siebie. – Dlaczego ty nie chcesz jechać? – Zanim Vianello zdążył zaprotestować, Brunetti dodał: – Wiem, wiem, dzieci powinny po-

znać naturę.

Vianello podniósł szklanke i ze zdumieniem zauważył, że jest pusta. Położył na ladzie dwa euro i odwrócił się do drzwi.

Na zewnątrz skierowali się z powrotem do komendy. Brunetti, zadowolony, że zadał to pytanie, czekał, aż jego przyjaciel zacznie mówić. Łódź przepłynęła z warkotem koło nich, nakrapiany brązowy pies stojący na dziobie szczekał z radości, że porusza się do przodu.

– Nie powinniśmy robić takich rzeczy – powiedział w końcu Vianello.

– Jakich na przykład?

– Podróżować na taką odległość – wyjaśnił Vianello. – To znaczy, tylko po to, by leżeć na piasku i patrzeć na morze. – Szczekanie przycichło, a Vianello mówił dalej. – Jeśli jesteś neurochirurgiem i musisz gdzieś dotrzeć, żeby ratować życie, to wsiadaj do samolotu i leć. Ale nie po to, żeby leżeć na plaży. To nie w porządku. – Potem, zadowolony, że znalazł dodatkowe usprawiedliwienie, dodał: – Poza tym słońce jest szkodliwe.

Przeszli jeszcze kilka kroków.

– W porządku w sensie ekologicznym? – zapytał Brunetti, nie mogąc oprzeć się pokusie zrobienia przytyku do narastającej pasji Vianella.

– Tak – odpowiedział w końcu Vianello.

Brunetti zwolnił i zatrzymał się. Oparł przedramiona na metalowej barierze przy kanale i odwrócił się w stronę wysmukłej wieży kościoła San Giorgio dei Greci. Kolejna łódź wpłynęła w kanał od prawej strony, minęła ich, następnie budynek komendy, a potem popłynęła dalej.

Brunetti stał i patrzył, jak łódź zbliża się do zakrętu, zastanawiając się nad użytym przez Vianella określeniem „w porządku”. To była nieduża łódka i nie było w niej widać żadnego ładunku, więc ten mężczyzna mógł równie dobrze płynąć do Castello, żeby spotkać się z przyjaciółmi, napić się i zagrać w karty. Tak jak wszystkie, nawet najmniejsze motorówki, zostawiała na wodzie oleisty ślad, przyczyniając się do wzrostu zanieczyszczenia, a tym samym do możliwej śmierci laguny. Czy według systemu ocen Vianella, wyprawa tego mężczyzny powinna zo-

stać potępiona jako „nie w porządku”, czy też należało rozważyć także czynnik ilościowy? A może, jak stwierdził Vianello, konieczność? Ile mogliśmy zrobić, zanim stawało się to niesłuszne?

Przypomniawszy sobie, jak księża uczyli jego i jego przyjaciół, że obżarstwo jest jednym z grzechów głównych, ale Brunetti nigdy nie wiedział, czym jest obżarstwo. Mówiąc dokładniej, chociaż rozumiał, że to znaczy jeść za dużo, nie potrafił zrozumieć, gdzie zaczyna się „za dużo”. Jak apetyt na dokładkę *sarde in saor*, robionych przez jego matkę, mógł być czymś złym? Która sardynka sprawiała, że przekraczał granicę przyjemności i grzechu? Właśnie te rozterki uświadomiły młodemu Brunettiemu, jak bardzo księża utożsamiają przyjemność z grzechem, a na tym sprawa się kończyła.

– I co? – zapytał Vianello, gdy łódź zniknęła im z oczu, a Brunetti nadal się nie odzywał.

– Myślę, że powinniście jechać do Umbrii.

– A moja chęć wyjazdu właśnie tam? – zapytał Vianello.

– Jest całkowicie uzasadniona – odparł Brunetti. Odepchnął się od barierki i skierował w stronę komendy.

Vianello ociągał się; nie słysząc jego kroków, Brunetti przystanął, odwrócił się do niego i uniósł pytająco podbródek.

– Uważasz, że jest uzasadniona, czy zgadzasz się ze mną? – spytał Vianello.

– Uważam, że jest uzasadniona i zgadzam się z tobą – powiedział Brunetti, podszedł do Vianella i klepnął go w ramię. – Nie wiem, czy coś dobrego przyjdzie z tego naszej planecie albo wszechświatowi... – powiedział i zawiesił głos.

– Ale? – ponaglił Vianello.

– Ale jeśli nie pojedziesz, unikniesz zrobienia czegoś szkodliwego, a to na pewno dobrze.

Vianello uśmiechnął się i powiedział:

– Nie myślałem o tym w taki sposób. Uważałem tylko, że to nie w porządku. – Po chwili dodał: – Poza tym zawsze chciałem się nauczyć doić krowę.

To sprawiło, że Brunetti stanął jak wryty. Przyjrzał się bacznie Vianellowi, żeby sprawdzić, czy żartuje. W końcu stwierdził:

- Mówisz poważnie, prawda?
- Oczywiście – odparł Vianello.

Brunetti odwrócił się w stronę komendy i powiedział przez ramię:

- Zapłaciłeś za kawę, więc nie powtórzę signorinie Elettrze, co powiedziałeś.

Ponieważ i tak przechodził koło jej pokoju, Brunetti postanowił oszczędzić signorinie Elettrze chodzenia do jego gabinetu; poza tym był ciekaw, co może wiedzieć o przyczynach prośby Patty. Wierny obietnicy, postanowił nie wspominać jej o bukolicznych ciągotach Vianella. Swobodny uśmiech, jakim go obdarzyła, powiedział Brunettiemu, że *vice-questore* wyruszył na krucjatę przeciwko niesprawiedliwości w jakimś innym miejscu.

– Czego udało się pani dowiedzieć o synu burmistrza? – zapytał Brunetti, nie wątpiąc, że poszukiwała tych informacji.

Odgarnęła zbłąkany pukiel włosów i odwróciła do niego monitor.

– Jak pan widzi – powiedziała, wskazując widoczny na ekranie formularz – potrzebował ośmiu lat, żeby ukończyć studia, i kolejnych trzech, żeby zdać egzaminy państwowe.

– A teraz?

– Pracuje w kancelarii prawnej przyjaciela swojego ojca.

Przewinęła do innego dokumentu i wskazała ekran.

– Pełni również funkcję regionalnego doradcy prawnego.

– I co właściwie robi? – zapytał Brunetti, a potem przypomniał sobie, że mówi o stanowisku politycznym, i poprawił się:

– Co właściwie powinien robić?

– Został wyznaczony jako osoba pośrednicząca pomiędzy studentami a regionalnym wydziałem sportu – jej głos był neutralny jak *Médecins sans Frontières*.

– Co to znaczy? – zapytał Brunetti z nieudawaną ciekawością.

Wpisała kilka słów i wcisnęła enter; na ekranie pojawił się nowy dokument. Nazwisko młodego człowieka widniało na górze, ponad rzędami cyfr.

– A co to jest? – zapytał Brunetti.

– To kwota przelana na jego konto bankowe w zeszłym miesiącu przez regionalną skarbnicę – wyjaśniła. Odwróciła monitor jeszcze bardziej w stronę Brunettiego.

Podstawowa pensja młodego człowieka wynosiła cztery tysiące czterysta euro miesięcznie; do tego dochodziła stała suma dziewięciuset euro na wydatki biurowe oraz tysiąc dziewięćset euro na sekretarkę.

– Czy mógłbym znać nazwisko jego sekretarki? – zapytał Brunetti.

– Lucia Ravagni – odpowiedziała signorina Elettra.

– Czy nie jest ona przypadkiem współwłaścicielką sklepu na Campo San Barnaba? – zapytał, zupełnie jakby jakiś głos szeptał mu do ucha odpowiednie pytanie.

– Jest.

– Skoro on jest prawnikiem, a ona prowadzi sklep, kiedy właściwie mają czas, by pracować jako regionalny doradca prawny i jego sekretarka? I gdzie? – zainteresował się Brunetti.

– Mają przydzielone biuro w Uffici Regionali.

– „Przydzielone”?

– Mój przyjaciel, który pracuje w jednym z biur na pierwszym piętrze – ich mieści się na parterze – mówi, że rzadko są tam obecni.

– Bez wątpienia śledzą uważnie imprezy sportowe – podsunął Brunetti.

– Lub też studentów – uzupełniła signorina Elettra pogodnym tonem, jakim kwitowała liczne życiowe absurdy. Potem jednak jej głos spoważniał, kiedy zapytała: – Dlaczego to tolerujemy? Dlaczego pozwalamy im zatrudniać przyjaciół, żony i dzieci i nie gonimy ich z maczugami?

Brunetti, co zdarzało mu się coraz częściej, potraktował ten wybuch serio.

– Myślę, że to dlatego, że jesteśmy ludźmi tolerancyjnymi i rozumiemy cudze słabości. I dlatego, że dla większości z nas jedyne osoby, którym całkowicie ufamy, to członkowie rodziny, więc rozumiemy, gdy inni także tak uważają.

– A pan ufa swojej rodzinie? – zapytała z nietypową dla niej ciekawością.

– Tak.

– Wszystkim jej członkom?

– Owszem, bardziej niż państwu czy większości jego przedsta-

wicieli – odparł Brunetti, a potem dodał, by uwolnić się – być może ich oboje – od intymności tej rozmowy, do jakiej nie przywykli: – Chciałbym, żeby dowiedziała się o nich pani, ile się da.

– Zapytałam kilka osób – brzmiała jej odpowiedź.

Doskonale świadomy tego, że signorina Elettra, jako cywil, nie bierze oficjalnie udziału w policyjnych działaniach i nie składała państwowej przysięgi, a co za tym idzie, nie powinna mieć absolutnie żadnego wglądu w policyjne śledztwo, Brunetti wyjaśnił:

– Burmistrz chce, by Patta się upewnił, że opinia publiczna nie dowie się niczego o łapówkach, które jej partner wręcza *vigili*.

Signorina Elettra nacisnęła klawisz i ekran pociemniał. Machinalnie odwróciła go do siebie, ale nie spuszczała wzroku z Brunettiego.

– Ciekawa jestem, o co tu chodzi.

– Właśnie – powiedział Brunetti.

Jakby zaskoczona tym wnioskiem, oznajmiła:

– W mojej chęci pracy nad tą sprawą kryje się czysty sylogizm.

– To znaczy?

– Chcę, żeby politykom przytrafiały się złe rzeczy. Burmistrz jest politykiem. Co za tym idzie, chcę, aby złe rzeczy przytrafiały się burmistrzowi.

Jej uśmiech był promienny.

– Nie mam wielkiego wyboru, prawda? – zapytała.

– Jest to rzeczywiście nienaganny sylogizm – odparł Brunetti, który zawsze przepadał za logiką podczas studiów. Potem dodał trzeźwo: – Ale opiera się on na emocjach, nie na faktach, więc nie jestem pewien, czy można go zakwalifikować jako sylogizm. Przynajmniej jeśli idzie o dowód.

Jej spojrzenie było całkowicie poważne, gdy odpowiedziała:

– Nie ma tu błędu, *dottore*, nie w pierwszej przesłance i nie w drugiej, a już z pewnością nie we wniosku. – Potem dodała lekko: – Dam panu znać, czego udało mi się dowiedzieć.

To nie ma sensu. To nie ma sensu. To nie ma sensu. Brunetti powtarzał to sobie, wchodząc po schodach do swojego gabinetu. A potem, przy ostatnim podejściu: bez sensu, bez sensu, bez sensu. O co chodziło burmistrzowi, kiedy poprosił Pateę, żeby sprawdził, czy sprawę da się zachować w tajemnicy? Im więcej ludzi, którym się powie, że coś powinno pozostać tajemnicą, tym więcej pewności, że ta informacja zostanie upubliczniona. A może burmistrz, jak wielu jego kolegów po fachu, był przeświadczony, że jest z jakiegoś powodu ponad zwykłymi zasadami rządzącymi ludzkim zachowaniem? Dlaczego politycy wciąż rozmawiali tak otwarcie o swoich przestępstwach i występkach przez *telefonini*, choć nawet oni musieli wiedzieć, że może ich słuchać wiele sił porządkowych? Dlaczego wciąż omawiali kwestię łapówek z ludźmi, którzy je wręczali? Dlaczego dawali prostytutkom tysiące euro, a przyłapani na tym, twierdzili, że te pieniądze mają je uchronić przed prostytutką? Za jakich durniów muszą nas uważać, jak niegodnymi uwagi baranami jesteśmy w ich oczach.

Z pewnością nie wszyscy politycy tak się zachowywali. Gdyby tak było, jak uświadomił sobie Brunetti, przyzwoitej osobie pozostawałaby tylko emigracja lub samobójstwo.

Kiedy wszedł do swojego gabinetu, dzwonił telefon. Podejrzewając, że może to być Patta, który nagle wrócił do komendy, Brunetti odebrał i przedstawił się z nazwiska.

– Znasz tego chłopca niemowę? – zapytała Paola. – Z pralni chemicznej?

Brunetti, który myślami wciąż był przy politykach i Patcie, zdołał tylko zapisać:

– Co takiego?

– Chłopca, który pracował w pralni chemicznej. Głuchego. – Słyszał w głosie Paoli, że jest poruszona, ale potrzebował chwili, żeby przypomnieć sobie chłopaka, którego czasem widywał na zapleczu pralni, składającego ubrania lub stojącego bezczynnie i poruszającego głową w przód i w tył, gdy obserwował ruchy żelazka, wymuszającego porządek na koszulkach i sukienkach. Brunetti niewiele pamiętał poza tym składaniem ubrań i dziwnym, arytmicznym sposobem poruszania się chłopaka.

– Tak – powiedział w końcu. – Dlaczego pytasz?

– Nie żyje – odparła Paola, zasmucona tą wiadomością. Ale zaraz dodała: – Przynajmniej takie plotki krążą w okolicy.

– Co się stało? – zapytał Brunetti, zastanawiając się, jaki wypadek mógł go spotkać i czy przyczyniła się do tego głuchota. Wielu dostawców w mieście, pchających metalowe wózki na kółkach, ostrzegało krzykiem ludzi, żeby zeszli im z drogi; ponieważ ten chłopak nie słyszał, mógł zostać przejechany, zmiażdżony czy cokolwiek innego. Albo zepchnięty ze schodów mostu lub do kanału.

– Mężczyzna w barze, gdzie poszłam na kawę, powiedział, że widział rano karetkę pod jego domem, i kiedy wyszli, nieśli takie plastikowe pudło. Wiedział, gdzie on mieszkał, ten głuchy chłopak, więc zapytał ratowników, czy to właśnie on. Powiedzieli mu tylko, że to ktoś z pierwszego piętra, mężczyzna. – Umilkła na chwilę, a potem zapytała: – W ten sposób wynosi się zmarłych, prawda?

Brunetti, który widział to aż za dużo razy, potwierdził.

Zapadła długa cisza, a potem Paola powiedziała:

– Nie wiem, co robić.

Ta uwaga zaskoczyła Brunettiego. Jeśli chłopak nie żył, ani ona, ani nikt inny nie mógł już niczego zrobić.

– Nie rozumiem.

– Jego rodzina. Zrób coś dla nich.

– Czy wiesz w ogóle, co to za rodzina?

– To kobiety z pralni chemicznej, prawda?

Brunetti poczuł ukłucie irytacji, że w ten sposób zajmuje mu się czas, a zaraz potem ukłucie wstydu. Czy zamierzał skarcić żonę za nadmierne współczucie?

– Nie wiem. Nigdy nie zwracałem na to uwagi.

– Na pewno – stwierdziła Paola. – Był praktycznie bezużyteczny jako pracownik. Zawsze myślałam, że jest synem właścicielki albo może tej kobiety, która prasuje. Nikt inny by go nie zatrudnił. – Po chwili dodała: – Chociaż nie widziałam go tam od dłuższego czasu. Ciekawe, co się wydarzyło?

– Nie mam pojęcia – odparł Brunetti. – Nie możesz po prostu zapytać, prawda?

– Nie. Nie.

– A może kioskarza?

– Wiesz, że nie mogę go zapytać – przypomniała Paola.

Cztery lata temu Paola pokłóciła się zażarcie z kioskarzem, gdy zapytała go, dlaczego sprzedaje pewną gazetę, mężczyzna zaś odpowiedział, że to dlatego, że ludzie chcą ją kupować. To sprawiło, że Paola, kobieta nieznająca umiarkowania w dyskusji, zapytała, czy użyłby tej samej wymówki, gdyby sprzedawał narkotyki, a następnie zapłaciła za swoje gazety i odeszła.

To właśnie Brunetti, gdy zrelacjonowała mu ten incydent przy kolacji, powiedział jej, że syn tego mężczyzny zmarł kilka lat wcześniej z przedawkowania, a ta wiadomość doprowadziła Paolę do łez wstydu. Wróciła następnego dnia i próbowała przeprosić, ale mężczyzna odwrócił się do niej plecami i zajął się rozpakowywaniem czasopism. Od tamtej pory kupowanie gazet stało się obowiązkiem Brunettiego.

– A ty mógłbyś go zapytać? Albo kogoś z sąsiadów?

Zanim się na to zgodził, Brunetti zapytał:

– Czy to ciekawość, czy troska?

– Troska – odparła natychmiast. – On był tak nieszczęśliwym człowiekiem. Nie wiem nawet, od jak dawna go widywałam. Na ulicy albo tam na zapleczu, składającego ubrania lub obserwującego, jak one pracują. Zawsze wydawał się ogromnie smutny.

Brunetti przypomniał sobie niezgrabne ruchy chłopaka, dziwaczne kołysanie głową, sugerujące, że od świata zewnętrznego odcinały go inne problemy, poważniejsze od głuchoty.

– Czy było z nim coś jeszcze nie tak? – wtrącił pytanie.

– Nie rozumiem? Czy nie wystarczy, że był głuchoniemy?

– Był także niemy?

– Słyszałeś, żeby kiedyś coś mówił?

– Nie – odparł Brunetti, niepewny, czy to znaczyło, że musiał być opóźniony umysłowo, nie tylko głuchy. – Mówiłem ci, praktycznie nie zwracałem na niego uwagi.

Paola westchnęła.

– Obawiam się, że to samo powiedziałyby większość ludzi. To okropne, nieprawdaz?

– Tak. To prawda.

– O Boże – westchnęła Paola. – Nie wiem nawet, jak się nazywał, gdybym chciała o niego zapytać. Jest tylko niemym chłopakiem. Był niemym chłopakiem.

– Myślę, że ludzie będą wiedzieli, o kogo ci chodzi.

– Nie to mam na myśli, Guido – takie słowa zazwyczaj były wypowiedzane w gniewie, ale w tej chwili promieniował z nich tylko smutek. – To właśnie jest takie okropne. Pomyśl o tym, ile on musiał mieć lat. Trzydzieści pięć? Czterdzieści? Więcej? A my wszyscy nazywamy go chłopakiem. – Po następnej pauzie dodała: – Niemym chłopakiem.

– Sprawdzę, czy na dole czegoś nie wiedzą – zaofiarował się Brunetti. – Albo w szpitalu.

– Dziękuję, Guido – odparła jego żona. – Wiem, że to brzmi, jakbym się nad nim rozczuła, ale to okropne żyć w taki sposób, a potem umrzeć, a ludzie nawet nie wiedzą, jak się nazywałeś.

– Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć – obiecał Brunetti i odłożył słuchawkę.

Podniósł ją natychmiast i wybrał numer kostnicy. Przedstawił się asystentowi Rizzardiego i zapytał, czy mają tam mężczyznę przywiezionego rano z San Polo.

– Bada go teraz – wyjaśnił mężczyzna, zupełnie jakby Rizzardi był zwykłym lekarzem i znajdował się w gabinecie zabiegowym, próbując dociec przyczyn choroby.

– Jestem w komendzie. Możesz go poprosić, żeby zadzwonił do mnie, gdy skończy?

– Oczywiście, *dottore*.

Uświadomił sobie, że Paola miała rację. Przeżyć życie, nawet przerwane przedwcześnie, i nie mieć imienia, którym byłoby się nazywanym, żyć pośród ludzi, którzy nie znają twojego imienia – Brunetti nie miał słów, by to opisać. Jeśli ten mężczyzna – zamierzał go teraz nazywać mężczyzną, nie chłopcem – był nie tylko głuchy, ale także niemy, to jak komunikował się z otaczającym go światem? Jak wyrażał nawet najprostsze potrzeby, inaczej, niż pokazując rzecz, której by chciał? Jeśli było mu zimno lub gorąco albo chciał coś zjeść, czy był ograniczony do pantomimy? Czy ktoś nauczył go czytać? Pisać? Używać ję-

zyka migowego? Jeśli nie, to jak utrzymywał kontakt ze światem?

Brunetti czuł się zniechęcony tragizmem tej sytuacji.

Telefon zadzwonił, a kiedy odebrał, usłyszał głos Rizzardiego.

– Ciao, Guido. Franco mówił, że dzwoniłeś w sprawie mężczyzny z San Polo.

– Tak. Moja żona zadzwoniła i powiedziała mi, że on nie żyje. Znalismy go. Do pewnego stopnia.

Rizzardi nie dopytywał o szczegóły, co sprawiło, że Brunetti zaczął się zastanawiać, czy wszyscy nie znamy innych ludzi tylko do pewnego stopnia. Mówił dalej:

– Dlatego dzwoniłem, żeby zapytać, co możesz o nim powiedzieć.

– Nazywa się... – zaczął Rizzardi: – zaczekaj chwilę – i odłożył słuchawkę. Wrócił po kilku sekundach. – Davide Cavanella, a przynajmniej takie imię było na formularzu, z którym go przywieziono. Ktoś pod tym adresem musiał je podać.

– Jaka była przyczyna śmierci?

– To mogło być samobójstwo – odparł patolog.

– Samobójstwo? – powtórzył zaskoczony Brunetti. – Ale on był głuchoniemy. Niewykluczone, że także opóźniony umysłowo. – Nie miał pojęcia, dlaczego te dwie rzeczy powinny wykluczać możliwość samobójstwa, ale tak było.

– Nie jestem pewien, czy widzę związek – odparł łagodnie Rizzardi. – Jeśli już, uznałbym, że tacy nieszczęśnicy powinni mieć więcej powodów, żeby się zabić, niż reszta z nas. My przynajmniej mamy ten komfort, że możemy ponarzekać na swoje życie i zmusić ludzi, żeby nas słuchali.

– Żartujesz, Ettore? – zapytał Brunetti.

Po krótkiej chwili Rizzardi powiedział:

– Możliwe, że żartowałem, gdy to mówiłem, ale wydaje mi się, że to prawda. Nie wiem, jak ty na to patrzysz, ale mnie pomaga, że mogę narzekać albo wyrazić złość, a inni ludzie mówią mi, że mam rację, myśląc w taki sposób.

– Mnie także – zgodził się z nim Brunetti. Potem zapytał: – Jak on umarł?

– Zaczęło się w najspokojniejszy sposób, ale potem zrobiło się

nieprzyjemnie – powiedział patolog.

– Co to znaczy?

– Połknął tabletki nasenne, bardzo dużo, wydaje mi się, że z gorącą czekoladą i czymś słodkim, herbatnikami lub ciastem. Wiele z tych tabletek było w żywych kolorach.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że mógł być opóźniony umyślowo – wyjaśnił patolog. – Mógł uznać, że tabletki wyglądają jak cukierki.

Brunetti rozważył tę ewentualność i zapytał:

– A potem?

– Zasnął na plecach, a potem zaczął wymiotować – zaczął Rizzardi, umilkł na chwilę i zapytał: – Wiesz, co się stało, prawda?

– Tak.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Rizzardi znowu się odezwał.

– To musi być okropne. Wydaje ci się, że zaśniesz spokojnie, a potem dławisz się na śmierć. Pechowy nieszczęśnik. To straszne. Straszne.

Tylko raz zdarzyło się Brunettiemu, że się zadławił, gdy był młodym mężczyzną i kawałek chleba utkwiał mu w gardle. Miał szczęście, że jadł wtedy w trattorii, i jeszcze większe szczęście, że obsługujący sąsiedni stół kelner upuścił niesione talerze, złapał go od tyłu, podniósł na nogi i zamknął w żelaznym uścisku. Przerażony Brunetti wykasłał kawałek chleba, a zaraz potem wszystko, co zjadł tego dnia. Wyciągnięty na stole, z rękami w talerzu z makaronem, Brunetti wracał do życia głębokimi oddechami, a kiedy już oprzytomniał, ze zdumieniem zobaczył, że sala jest niemal pusta.

Kilkadziesiąt lat później nadal pamiętał przerażenie, jakie go ogarnęło, oraz pewność, że zaraz umrze. Jedną z rzeczy, która go wtedy zaskoczyła, było to, że w jego percepcji wszystko to działo się z wytworną powolnością. Jego dłonie w żółtym tempie unosiły się, by ścisnąć gardło; talerze, które kelner upuścił, rzucając się w stronę Brunettiego, spływały na podłogę powoli jak płatki śniegu. Gwałtowny ucisk na pierś, który ocalił mu życie, nastąpił po całej wieczności.

Nadal pamiętał tę dziwną rozciągliwość czasu i wrażenie, gdy podniósł głowę ze stołu, oddychając już niemal normalnie, że

czas wrócił do zwykłego tempa.

– ...bez śladu uszkodzeń organicznych – usłyszał głos Rizzardi.

– Co? – zapytał Brunetti.

– Nie znalazłem śladów uszkodzeń organicznych.

– Ale on nie żyje – zaskoczony Brunetti próbował przypomnieć sobie skąpe wiadomości z fizjologii. – Zadławienie odcina dopływ tlenu, prawda? – Poza tym nie miał pojęcia, co było faktyczną przyczyną śmierci. Brak tlenu w mózgu? Czy może najpierw w płucach, a potem w mózgu? Ale co to powodowało?

– A, to tak – odparł Rizzardi. – Mówilem o jego uszach. Nie znalazłem żadnych śladów obrażeń ani blizn spowodowanych przez chorobę, która była przyczyną głuchoty. – Patolog dodał po namyśle: – Ale jeśli miała ona podłoże genetyczne, to tak czy inaczej nie dałoby się nic znaleźć. Nie miał też żadnych zniekształceń strun głosowych.

Brunetti, nadal zastanawiając się nad tym, czym mogła być faktyczna fizyczna przyczyna śmierci, nie zareagował na to i zapytał tylko:

– Czy te tabletki i tak by go zabiły? Nawet gdyby się nie zadławił?

– Przypuszczam, że tak.

– Tylko przypuszczasz?

Głosem, w którym rozbrzmiewał niemal ojcowski spokój, Rizzardi wyjaśnił:

– Czekam na wyniki badań laboratoryjnych.

– Daj mi znać, gdy będziesz je miał, dobrze? – poprosił Brunetti.

– Prześlę ci raport – obiecał Rizzardi i dodał, jakby miał zdolność czytania Brunettiemu w myślach: – Zadławienie odcina dopływ tlenu do mózgu, a to powoduje wyłączenie całego organizmu. To może się stać w kilka minut. Tyle wystarczy. – Po tych słowach patolog odłożył słuchawkę.

Słowa „kilka minut” sprawiły, że w Brunettim odżyło wspomnienie jego własnego przerażenia. Jakby to było dławić się przez kilka minut? Czy ten nieszczęsny zmarły mężczyzna także doświadczył tej dziwacznej elastyczności czasu?

Brunetti zdążył przekazać Paoli tylko podstawowe informacje o śmierci mężczyzny, zanim na obiad przyszły dzieci, co spowodowało zakończenie tematu. Przy sałatce z *carpaccio* z buraków Chiara poprosiła o zgodę na udział w szkolnej wycieczce do Padwy, a przy *involtini* z piersi kurczaka, które zignorowała i zastąpiła serem, rodzice udzielili jej pozwolenia na wyjazd. Kiedy tylko wszyscy zjedli, Chiara poszła do swojego pokoju, żeby się uczyć, a Raffi wyszedł zagrać w piłkę z kolegami w jedno z ostatnich – jak stwierdziła cała rodzina – pogodnych i ciepłych popołudni tej jesieni. Brunetti powrócił do komendy.

Signorina Elettra wyszła przed obiadem, wyznaczwszy siebie jako osobę mającą uczestniczyć w organizowanej przez Guardia di Finanza popołudniowej prezentacji najnowszych technik wykrywania i zwalczania kradzieży tożsamości oraz hakowania komputerów. Gdy Brunetti dowiedział się o tym, spodziewał się protestów ze strony tych funkcjonariuszy, którzy mieliby większe prawo, żeby zostać tam oddelegowani. Nikt nawet nie pisał.

Brunetti uświadomił sobie, że gdyby chodziło o któregokolwiek innego pracownika, patrzyłby krzywo na taką samowolną decyzję, ale chociaż metody signoriny Elettry nie były bez zarzutu, z pewnością pozostawały bezdyskusyjne; jej prerogatywy rozszerzały się, tak jak jego poczucie czasu, gdy dławił się chlebem.

Brunetti spędził pracowite popołudnie, przeglądając akta, które nagromadziły się w ostatnich tygodniach na jego biurku; czytał je metodycznie albo przynajmniej metodycznie przesuwając wzrokiem po słowach. Ponieważ od ponad dwudziestu lat żył z kobietą, która reagowała na niedoskonałości językowe równie gwałtownie jak rekin na krwawiącą ranę, Brunetti był żywo zainteresowany jeśli nie tematyką dokumentów, to językiem, jakim temat był przedstawiony. Mężczyzna, który pobił

żonę do nieprzytomności, tak że straciła wzrok w jednym oku, podczas przesłuchania mówił o „trudnościach z podtrzymaniem afirmatywnego związku interpersonalnego”; żona znanego prawnika, przyłapana w drzwiach butik Armaniego w krótkiej skórzanej kurtce ze starannie odciętą metką, twierdziła, że ma „poważne problemy z akceptowaniem arbitralnego rozróżnienia prawa własności pomiędzy sklepem a klientem”, a jednocześnie zapewniała, że tak czy czy inaczej zamierzała tylko wyjść na *calle*, żeby zobaczyć, jak kolor będzie wyglądał w świetle dziennym. To, że torba, którą miała na ramieniu, zawierała pięć T-shirtów i dwie pary spodni, nie ułatwiało zrozumienia jej retoryki, chociaż ułatwiało zrozumienie sytuacji. Jej mąż potrzebował niecałych dwóch godzin, by pojawić się w komendzie z opinią od psychiatry, zaświadczonego o stwierdzonych u niej „problemach z akceptowaniem arbitralnego rozróżnienia prawa własności”, co spowodowało, że została zwolniona.

Brunetti podejrzewał, że powinien być zaniepokojony, a przynajmniej zażenowany rozbawieniem, jakie wywoływały w nim te frazy, w szczególności w pierwszym przypadku, ale czuł się winny. W wypowiedziach polityków nie dało się dostrzec sensu; niewielu lekarzy używało słowa „rak”, rozmawiając z pacjentami cierpiącymi na tę chorobę; a słowo „imigrant” nie mogło być już poprzedzane słowem „nielegalny”. Wystarczyło oddzielić język od znaczeń, a świat leżał człowiekowi u stóp.

Potrząsnął głową, przyłapując się na takich myślach, wstał i podszedł do okna. Kocie kondominium nadal stało przed kościołem San Lorenzo. Z tej odległości Brunetti nie widział żadnego z jego rezydentów, ale widok niedużej konstrukcji jak zawsze go pocieszył. Koty były stworzeniami niesfornymi i całkowicie, niepoprawnie nieposłusznymi. Gdyby Paola nie była uczulona, mieliby kota, a może dwa. Zorientował się, że jej zwyczajem mówi na głos po angielsku:

– For he is an instrument for the children to learn benevolence upon¹.

To rzeczywiście prawda, pomyślał Brunetti.

Wrócił do biurka i do raportów, zmuszając się, jak pływak

¹ Gdyż jest on narzędziem uczącym dzieci dobroci.

w lodowatej wodzie, żeby trzymać się ich i posuwać do przodu, chociaż cel wydawał się tym bardziej odległy, im bardziej wysiłał się, by do niego dotrzeć. Dopiero telefon od Paoli pozwolił mu wyjść na brzeg.

– Dzwoniłam do Donaty Masi – powiedziała, mając na myśli współpracownicę z uczelni, która mieszkała na Campo dei Frari, czyli, jak uświadomił sobie Brunetti, w pobliżu pralni chemicznej.

– Co ci powiedziała? – zapytał, wiedząc, czego musiała dotyczyć rozmowa.

– On nie był synem żadnej z tych kobiet. Powiedziała, że kilka lat temu pytała o niego i powiedziały jej, że pozwalają mu udawać, że pracuje, ponieważ jest im go szkoda.

– Jak to udawać? – zapytał Brunetti.

– Och, sam wiesz. Składać ubrania i czasem zanosić pakunki ludziom do domu. Prasować proste rzeczy. – Był ciekawy, jak coś takiego mogło trwać od lat i nigdy nie trafiła się oficjalna inspekcja, która stwierdziłaby, kto tam pracuje, ale jego żona miała niewielkie szanse to wiedzieć, więc darował sobie pytanie.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Nie – odparła Paola, wyraźnie zawiedziona. – Pytałam ją, czy znała jego rodzinę, ale zacięła się i powiedziała, że nie chce się w to mieszać. Dlatego zmieniłam temat i zapytałam ją o jutrzejsze spotkanie komisji.

Brunetti nie tracił czasu na pytanie, w co takiego nie chciała się mieszać Donata. Ryzyko, że jakiegokolwiek czynnik oficjalne mogą zainteresować się sprawą – dowolną sprawą – wystarczało, by dany temat został odcięty kordonem sanitarnym. Ludzie przestawali mówić, ludzie nic nie wiedzieli, ludzie zapominali. Jeśli czynnik oficjalne przybierały formę policji, zapominanie szybko przemieniało się w całkowitą amnezję. Gazety ostatnio wypełniły się doniesieniami o kobietach zgwałconych przez *carabinieri*, którzy je aresztowali, lub zgwałconych przez policjantów, którym zgłosiły przestępstwo. Ufać policji?

– Co dalej? – zapytał.

– Nie wiem, co zrobić – przyznała Paola.

Pozwolił, by w jego głosie pojawił się smutek, gdy powiedział:
– Nie możesz nic zrobić.

Potrzebowała chwili, żeby mu odpowiedzieć.

– Mogę przynajmniej przekazać jego rodzinie, że został przez część z nas zapamiętany. Nie tylko przez kobiety z pralni, ale przez część z tych, którzy widzieli go przez te wszystkie lata.

– A co to da? – zapytał. Wiedział, że nie powinien, ale czasem tracił cierpliwość w obliczu jej nieustannego pragnienia szlachetnych gestów.

– Nic nie da, Guido – odparła żarliwie. – To nie musi niczego dać. On nie żyje, więc nikt niczego nie może już zrobić. Ale może przynajmniej istnieć jakieś potwierdzenie, że ludzie go znali i że nie był po prostu nieszczęsnym bezmyślnym zwierzęciem, które przeżyło całe życie ignorowane przez wszystkich.

Liczne obserwacje Brunettiego dotyczące zmarłych mężczyzn podpowiadały, że taki opis był w gruncie rzeczy bliższy prawdy, ale nie miał ochoty tego mówić. Wycofał się z konfrontacji, mówiąc:

– Popytam na dole i zadzwonię na pogotowie, żeby się zorientować, jakie informacje mają o jego rodzinie. Jeśli w ogóle jąkaś miał. Nazywał się Davide Cavanella. – Zanim zdążyła zapytać, wyjaśnił: – Dowiedziałem się tego od Rizzardiego.

– Pozwolono mu mieszkać samemu? – wybuchnęła Paola.

– Paolo – odezwał się z ogromnym spokojem Brunetti. – Zadzwonię do kilku osób i zobaczę, czego uda mi się o nim dowiedzieć. Zgoda? – To nie była właściwie próba siły woli, ale próba sprawdzenia, czy da się ją powstrzymać przed wybuchem słownym, którego z pewnością by żałowała.

Milczenie Paoli powiedziało Brunettiemu, że tak samo jak on jest świadoma, czego każde z nich oczekuje po zachowaniu drugiej strony.

– Zgoda – powiedziała w końcu. – Zadzwon... – zaczęła, a potem zmieniła zdanie: – Nie, powiesz mi, gdy wrócisz do domu.

Użył jej zdrobniałego imienia i odłożył słuchawkę.

Zadzwonił najpierw na dół, żeby się dowiedzieć, czy komendę poinformowano o śmierci mężczyzny. Nie było takiego zgłoszenia. Ospedale Civile udzieliło podobnej odpowiedzi i odesłało

go do *carabinieri* przy Riva degli Schiavoni. Po pewnym czasie dowiedział się od nich, że otrzymali telefon rano o 6.13 i – poinformowani, że mężczyzna nie żyje – skierowali tam miejski karawan, który podlegał systemowi ULSS, chociaż nie został wysłany ze szpitala.

Brunetti odetchnął kilka razy głęboko, by przygotować się na nieuchronną konieczność zetknięcia się z biurokracją, i wybrał numer otrzymany od *carabinieri*. Dopiero wtedy udało mu się w końcu poznać adres zmarłego mężczyzny: San Polo 2364. Jak to się często zdarzało, sam numer nic nie mówił Brunettiemu, dopóki nie zajrzał do *Calli, Campielli e Canali*, gdzie zobaczył, że to jedna z malutkich *calli* w pobliżu Campo San Stin.

Otworzył dolną szufladę i zaczął wyciągać książkę telefoniczną, zły na siebie, że nie pomyślał najpierw o najprostszym rozwiązaniu. Jego dłoń znieruchomiała, gdy przypomniał sobie, że mężczyzna był głuchy; być może to nie było w ogóle rozwiązanie. Ale niewykluczone, że mieszkał z kimś z rodziny i ktoś musiał być zdolny do odebrania telefonu. Brunetti popatrzył na przeciwległą ścianę i przypomniał sobie tego mężczyznę: pozbawiona wyrazu twarz, wieczna koncentracja na czymś, czego nikt inny nie mógł zobaczyć ani usłyszeć, zawsze lekko uchylone usta, być może dla ułatwienia oddychania, niespokojny brak koordynacji, widoczny w jego chodzie i sposobie, w jaki co chwila poklepywał ubrania, gdy próbował je składać na zapleczu pralni chemicznej.

Otworzył książkę i szukał pod C, aż znalazł pod tym adresem „Cavanella, Ana”. Brunetti wybrał numer, zanim jeszcze zdecydował, że to robi, albo zastanowił się, dlaczego miałby tego chcieć. Po sześciu dzwonekach odezwał się niski głos, najprawdopodobniej kobiecy.

– Sì.

Nie było w tym słowie pytania, żadnej ciekawości.

– Signora Cavanella – zaczął Brunetti.

– Sì – powtórzyła.

– Mówi komisarz Guido Brunetti. Dzwonię w sprawie... – zanim zdążył skończyć zdanie, mówił w próżnię; kobieta odłożyła słuchawkę.

Popatrzył na zegarek. Właśnie minęła piąta, więc jeśli przydzieli sobie zadanie spotkania się z nią osobiście, znajdzie się po tej rozmowie tak blisko domu, że nie będzie sensu wracać do komendy.

Popłynął *vaporetto* numer dwa do San Tomà, przeszedł koło Basilica dei Frari, minął most i skierował się wzdłuż kanału do Campo San Stin. Przebiegł plac i skręcił w prawo w drugą *calle*. Interesujące go nazwisko znajdowało się na trzecich drzwiach po lewej. Zadzwoił i czekał.

Po chwili, która wydała mu się bardzo długa, usłyszał, jak nad nim otwiera się okiennica. Brunetti cofnął się i podniósł głowę. W oknie pierwszego piętra stała kobieta z chmurą przesadnie rudych włosów, spoglądająca na niego z góry.

– Kim pan jest? – zapytała bez żadnych wstępów i bez cienia wdzięku.

– Jestem commissario Brunetti, *signora* – odpowiedział grzecznie, choć niechętny wyraz jej twarzy sprawił, że nagle stracił pewność, dlaczego właściwie się tu znalazł. – Musimy zadać pani kilka pytań – improwizował. Mówiąc, obserwował jej twarz – znajdowała się najwyżej pięć metrów od niego – poszukując śladów podobieństwa do mężczyzny, którego, jak musiał przyznać, ledwie znał i którego prawdopodobnie rozpoznałby tylko po dziwnych, mechanicznych ruchach.

– O czym? – zapytała. Brunetti zastanawiał się, w jakiej sprawie jej zdaniem mogłaby się z nią kontaktować policja, ale w następnej chwili jego mózg zarejestrował całkowity brak emocji w tym pytaniu. Uświadomił sobie, że mogła zostać wypchnięta – albo przez żalobę, albo przez leki użyte do jej pokonania – poza granicę zdolności odczuwania czy rejestrowania emocji.

Wycofał się w głąb *calle*, żeby rozmawiać z nią, nie patrząc prosto w górę.

– Czego pan chce? – zapytała.

– Porozmawiać z panią, *signora* – wyjaśnił, chociaż nadal nie zastanowił się, co chce jej powiedzieć.

Rozważyła jego słowa.

– *Va bene* – powiedziała, zamknęła okno i odwróciła się.

Brunetti podszedł znowu do drzwi i czekał. Po kilku minutach drzwi się otworzyły. Kobieta stanęła w drzwiach i powtórzyła pytanie:

– Czego pan chce?

Jej głos był neutralny, bez cienia zainteresowania. Mógłby równie dobrze próbować sprzedać jej zestaw garnków lub nawrócić na miłość do Jezusa.

– Przede wszystkim chciałbym złożyć kondolencje, *signora*, a poza tym zapytać, czy potrzebuje pani jakiegokolwiek pomocy od którejś z miejskich instytucji. – Brunetti wiedział, że do tego pierwszego upoważniają go tylko względy ludzkie, a do drugiego nie ma żadnego upoważnienia. Ale powiedział Paoli, że postara się pomóc, i zamierzał to zrobić w takiej formie, w jakiej mógł.

Kobieta popatrzyła wprost na niego i Brunetti odniósł dziwne wrażenie, że czeka, aż jego słowa zostaną powtórnie odtworzone i będzie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. Pierwszym impulsem Brunettiego było odezwać się znowu, ale zachował milczenie, ciekawy, ile czasu będzie potrzebowała, żeby mu odpowiedzieć. Minęła długa chwila; kobieta patrzyła obojętnie na Brunettiego, a on się jej przyglądał.

Mogła być po pięćdziesiątce, ale nie był pewien, bliżej którego końca dekady. Rudość na włosach kończyła się dwa centymetry od skóry i przechodziła w biel. Jej oczy były intensywnie niebieskie, a skóra wokół nich niemal pozbawiona zmarszczek. Nos i wyraźnie zarysowane kości policzkowe dostarczały dodatkowych dowodów, że niegdyś była prawdziwą pięknoscią. To właśnie w skośnych liniach tych kości wychwycił ulotne podobieństwo do zmarłego mężczyzny.

Była wyższa od przeciętnej, chociaż zgrubienie w talii sugerowało, że kiedyś mogła być jeszcze wyższa. Jej dłonie, zauważył, miały nieproporcjonalnie krótkie palce i błyszczącą skórę, typową dla rąk, które często zanurzały się w gorącej wodzie.

Brunetti uświadomił sobie, że kobieta nie zamierza się odzywać; mógł tutaj stać przez resztę popołudnia, a ona nadal nic by do niego nie powiedziała.

– Chciałaby pani zobaczyć Davide, *signora*? – zapytał w koń-

cu.

Na dźwięk tego imienia cofnęła się o pół kroku, jakby starała się uciec przed nim lub powiązaną z nim rozpaczą. Uniosła jedną z grubych, spracowanych dłoni, aby odpędzić jego słowa, weszła z powrotem do domu i zamknęła drzwi.

Chociaż odwrót kobiety oznaczał, że Brunetti mógł iść wcześniej do domu, porażka w rozmowie z nią pozostawiła go nieusatisfakcjonowanym; co dziwniejsze, krępował się też siedzieć w domu, gdy powinien jeszcze być w pracy. Powiedział sobie, że nie może zachowywać się jak uczeń, do którego nauczyciel zadzwoni i przyłapie go w domu, w czasie gdy powinien być w szkole; zebrał się więc na odwagę, poszedł do baru na Campo San Polo i usiadł na zewnątrz. Zamówił spritz, przeświadczony, że to ostatni raz w tym sezonie; za miesiąc myśl o kostkach lodu i schłodzonym aperolu – schłodzonym czymkolwiek – sprawi, że zaczną mu dzwonić zęby. Ale późnopołudniowe słońce łagodnie ogrzewało mu twarz, a on był szczęśliwy, że może tu siedzieć i obserwować świat zajęty sprawami, którymi on nie musiał się już dzisiaj zajmować.

Obserwował *campo*, zadowolony, że to jeden z większych placów, na którym dzieci mogą grać w piłkę lub jeździć na rowerach, to ostatnie w sprzeczności z miejskimi przepisami, których nikt nie lubił i nikt nie przestrzegał. Gdy przyniesiono mu drinka, postawił go przed sobą i odczekał chwilę, żeby lepiej docenić smak. Wyłowił plasterek pomarańczy i ugryzł go, a potem pociągnął pierwszy gorzko-słodko-zimno-gorzki łyk. Trzy jaskółki wylądowały w pobliżu jego nóg. Sięgnął do sąsiedniego stolika, wziął czipsa z miseczki zostawionej przez poprzednich klientów, rozkruszył go w palcach i rzucił okruchy ptakom, obrysypując je. Wypił jeszcze łyk, przyglądając się im.

Cień padł na jego stolik i drinka. Kiedy podniósł głowę, na moment oślepiło go słońce, a gdy odzyskał zdolność widzenia, zobaczył stojącego nad sobą porucznika Scarpę, asystenta vice-questore Patty.

– Dzień dobry, *commissario* – powiedział porucznik. – Zajmuje się pan ptakami? – Porucznik był w mundurze i ciemnej wełnianej kurtce, ale wydawał się wyjątkowo wyluzowany. Jak-

by nagle przypomniał sobie, że rozmawia z oficerem wyższym stopniem, zdjął czapkę i przytrzymał ją sztywno przy boku, zginając rękę w łokciu.

– Tak, poruczniku – odparł Brunetti ze swobodnym uśmiechem. – Właściciel twierdzi, że kradną chipsy ziemniaczane z miseczek na stołach, więc przyszedłem, by przeprowadzić dochodzenie w tej sprawie. – Wskazał ptaka po lewej i dodał: – Przypuszczam, że ten tutaj dowodzi grupą zorganizowaną, więc dla pewności zamierzam zostać i dopić drinka, obserwując go.

– Jestem niezwykle ciekaw pana raportu – powiedział porucznik, zasalutował niedbale, włożył czapkę i oddalił się w stronę, z której przyszedł Brunetti.

Paola nauczyła się wielu angielskich powiedzeń od opiekunek, które mieszkały z jej rodziną, gdy była mała, i jedno z nich przypomniało się teraz Brunettiemu: „A ghost walked over my grave”². A może chodziło o muchę? I jak to możliwe, że osoba wygłaszająca takie zdanie miała grób? Niezależnie od sensu i od tego, o jaką istotę chodziło, to wyrażenie idealnie oddawało efekt, jaki wywarła obecność Scarpy. To, że porucznik szedł w stronę San Stin, sprawiało, że Brunetti poczuł się nieswojo.

Dopił drinka, zapłacił kelnerowi i poszedł do domu. Paola myła sałatę w kuchni; podniosła z zaskoczeniem głowę, gdy wszedł. Pocałował ją w czoło z prawej strony i powiedział:

– Znalazłem jego adres i poszedłem tam, ale jego matka... – urwał na chwilę – nie chciała ze mną rozmawiać i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Paola wylała wodę z dolnej części wirówki, przełożyła sałatę i zaczęła nią kręcić, żeby wyschła.

– Co powiedziała? – zapytała poprzez odgłos wirowania.

– Nic – odparł Brunetti. – To było bardzo dziwne.

– Dlaczego nic nie mówiła? Skoro podeszła do drzwi, to znaczy, że musiała usłyszeć dzwonek, czyli nie jest głucha.

– Nie, nie – sprostował Brunetti. – Ona słyszy i mówi. Ale zapytała tylko, dlaczego przyszedłem.

– Powiedziałeś jej, że jesteś policjantem?

– Tak. Powiedziałem jej to przez telefon, a potem kiedy tam

2 Duch przeszedł po moim grobie.

przyszedłem.

– To dlaczego nie chciała z tobą rozmawiać?

– Strach przed policją, szok, rozpacz, możesz sobie wybrać – odparł. – Wiesz, że ludzie nie lubią z nami rozmawiać.

– Ale otworzyła drzwi? – zapytała Paola, a gdy sprawiał wrażenie zdziwionego tym pytaniem, dodała: – Jak inaczej mogła by ci je zamknąć przed nosem?

– Mówiłem ci: to było bardzo dziwne – powtórzył Brunetti.

– Jak on umarł? – zapytała.

– Połknął tabletki nasenne – odparł Brunetti, nie widząc powodów, by mówić jej więcej.

Ta informacja ją zaskoczyła.

– Chcesz powiedzieć, że sam się zabił?

Brunetti wzruszył ramionami.

– Mógł je połknąć przez przypadek. Ale to one go zabiły.

Paola milczała dłuższą chwilę, aż w końcu zapytała:

– Czy będziesz musiał z nią porozmawiać?

– Właśnie próbowałem, ale ona nie chciała.

– Nie, chodzi mi o oficjalną rozmowę – wyjaśniła Paola. – Jako przedstawiciela policji. Czy będziesz musiał to zrobić, skoro on umarł w taki sposób?

Nie widział raportu ratowników z karetki, co oznaczało, że prawdopodobnie ugrzązł na czyimś biurku; rano go poszuka.

– Tak. W takich przypadkach zwykle staramy się wykluczyć możliwość samobójstwa.

Paola rzuciła mu dziwne spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Wyjęła zieleninę z wirówki i włożyła do dużej miski na sałatę. Zapytała zwyczajnym głosem:

– Należesz mi kieliszek wina?

– Białego?

Zanim odpowiedziała, spojrzała w okno, w kierunku Dolomitów, choć były ukryte za mieszaniną smogu i mgły, która spowijała Wenecję przez sporą część roku.

– Nie, myślę, że już pora, by zacząć znowu pić czerwone – powiedziała i schyliła się, by wyjąć z szafki patelnię.

Brunetti zrobił, o co prosiła, i wybrał butelkę zwyczajnego caberneta. Białe pasowałoby lepiej do wcześniejszego spritzu, ale

skoro Paola chciała czerwone, to będą pili czerwone.

Paola postawiła patelnię na kuchence, spojrzała na zegarek i wzięła kieliszek, który podał jej Brunetti. Wypiła łyk, skinęła głową w podziękowaniu i zapytała:

– Myślisz, że mamy czas, żeby obejrzeć zachód słońca?

Gdy weszli do salonu, było już po wszystkim, więc zadowolili się siedzeniem na kanapie i obserwowaniem światła gasnącego na zachodzie. Zanim Brunetti zdążył zachować się jak prawdziwy mąż i zapytać Paolę, jak minął jej dzień, ona powiedziała:

– Dziwnie się zachowywała, prawda?

Przesąd powstrzymał go przed spytaniem Paoli, jak ona by się zachowywała, gdyby straciła syna; to pytanie zostało odsunięte, nim jeszcze w pełni ukształtowało się w jego głowie.

– A jak się miała zachowywać? – zapytał Brunetti. – Nie wiem, czy to jej jedyny syn albo jedyne dziecko. – Zastanowił się nad tym. – To chyba nie ma znaczenia – dodał.

Nie odrywając wzroku od blasku przygasającego nad dachami, Paola potrząsnęła głową i napiła się wina.

Brunetti zaczął się zastanawiać, ile z ich zainteresowania w tym momencie pochodziło z troski, a ile z ciekawości, i dlaczego pierwsza z tych pobudek była szlachetna, zaś druga – niska. Zanim się ożenił i został ojcem, potrafił wygłaszać frazesy o tym, jak straszną rzeczą dla rodziców musi być śmierć dziecka, ale teraz nie potrafił tak mówić i nie pozwalał sobie o tym myśleć. Jak średniowieczny wieśniak, odmawiał otwierania drzwi nosicielom dżumy.

Światło stawało się coraz bardziej przyćmione. Paola spojrzała w swój kieliszek i oznajmiła:

– Myślałam o tym, co mówiłeś. O samobójstwie. – Wypiła bardzo mały łyk. – Zastanawiałam się, czy to możliwe, że dotarł do punktu, w którym jego życie stało się tak złe, że nie potrafił go dłużej znieść?

Brunetti rozważył to.

– Musiałby wiedzieć, że jest złe, prawda? – powiedział.

Odrzuciła do niego szybko głowę i otworzyła usta, ale zanim zdążyła go zapytać, co miał na myśli, Brunetti zobaczył, że usłyszała własne pytanie i zaczęła się nad nim zastanawiać. W koń-

cu powiedziała:

– Oczywiście. Jeśli znał tylko takie życie, to było po prostu życie. Pewnie musiałyby się zdarzyć coś gorszego.

Milczeli razem, zastanawiając się, co mogłoby być gorsze od życia, które widzieli, aż Paola odezwała się znowu.

– Albo może po prostu znalazł te tabletki i zjadł je, ponieważ myślał, że są czymś innym.

– Rizzardi sugerował to samo. To zależy od tego, ile rozumiał ze świata. – Mówiąc to, Brunetti uświadomił sobie, że ma do czynienia z niezgłębioną zagadką: jak poznać czyjś umysł inaczej niż dzięki słowom?

– Obawiam się, że to wie tylko Bóg – powiedziała Paola. – Ale to mogłoby wyjaśniać zachowanie matki.

– Poczucie winy?

Paola wypila jeszcze łyk, wzruszyła ramionami i dopiła wino.

– Myślę, że zajmę się gotowaniem.

– Dobry pomysł – przyznał Brunetti.

*

Posiłek upływał w ciszy; dzieci wyczuwały powagę rodziców i reagowały na nią odpowiednio. Chiara opowiedziała o kłótni, w której brała udział. Jej przyjaciółka chciała, żeby Chiara zadzwoniła do jej rodziców i zapytała ich, czy może ją zaprosić na obiad i wspólną naukę, podczas gdy w rzeczywistości zamierzała się spotkać z chłopakiem. Chiara odmówiła, a teraz koleżanka przestała się do niej odzywać.

– Dlaczego odmówiłaś? – zapytał Raffi, bez zaskoczenia, tylko z ciekawością.

Chiara wyłowila krewetkę z risotta i przyglądała się jej, jakby pytała ją o właściwą odpowiedź.

– Jej rodzice zawsze byli dla mnie bardzo mili. Uznałam, że to nie w porządku ich okłamywać.

Brunetti czekał, aż Paola przywdzieje szaty Sokratesa i zapyta Chiare, co by zrobiła, gdyby rodzice jej przyjaciółki nie byli dla niej tacy mili, ale milczała, jedząc swoją porcję risotta.

– Jest jeszcze woda mineralna? – zapytał Raffi.

– Nie i więcej jej nie będzie – odparła Chiara. – Ten dom jest

strefą wolną od wody mineralnej – dodała.

– Ponieważ ty tak zarządziłaś? – zapytał spokojnie Raffi. Ostatecznie znał ją przez całe jej życie i niewiele rzeczy dotyczących jego siostry lub tego, co mówiła, było w stanie go zaskoczyć.

– Tak.

– Dlaczego? – zapytał Raffi.

– Ponieważ nie ma pewności, co w niej jest.

– Przypuszczalnie woda – odparł Raffi z obojętną ironią odziedziczoną po matce.

– Tak, woda. Z pewnością – oznajmiła Chiara, starając się bez powodzenia przybrać podobny ton. – Oraz mnóstwo innych rzeczy, o których nie mamy pojęcia.

– A w tej wodzie? – zapytał Raffi, podnosząc karafkę, która, jak teraz się domyślił, zawierała wodę z kranu. – Oczywiście poza nadmiarem chloru?

– Ta woda jest przynajmniej badana – powiedziała Chiara. – W odróżnieniu od wody, którą piliśmy w zeszłym tygodniu, co wiedziałbyś, gdybyś zadał sobie trud przeczytania etykiety. – Tu zaczynała się scena, jaką Brunetti obserwował od lat. Chiara szykowała się do dyskusji, to było słycać w tonie jej głosu. Raffi przygotowywał się, żeby zbijać jej argumenty z wykorzystaniem przewagi wieku i informacji.

Brunetti znowu zaczął słuchać.

– ...z Puglii, ze źródła znajdującego się cztery kilometry od fabryki chemicznej, która została zamknięta trzy tygodnie temu nakazem sądowym. – Raffi próbował się odezwać, ale Chiara ignorowała to, co mógł mieć do powiedzenia. – Ponieważ wylali chemikalia do ziemi od trzydziestu lat. Co oznacza – chociaż prawnik powiedziałby, że tylko sugeruje – że te chemikalia są teraz w wodach gruntowych, a co za tym idzie, w wodzie mineralnej. Możesz sobie wierzyć, że ta lista składników mineralnych na etykiecie butelki jest choćby minimalnie zbliżona do prawdy. Ja będę piła wodę z kranu.

Brunetti uświadomił sobie, że gdyby Chiara była prawdziwym wcieleniem Paoli, podniosłaby w tym momencie karafkę i napełniła swoją szklankę. Ale była jeszcze początkująca, więc na-

działa na widelec kolejną krewetkę i zjadła ją, ignorując dramatyczne możliwości oferowane przez karafkę. Brunetti pomyślał, że za kilka lat wpadnie na ten pomysł i zrobi to, a wtedy wcześniej lub później stanie się niepokonana.

Raffi, niezrażony, zapytał:

– Jesteś pewna, że to nie dlatego, że masz dość wnoszenia butelek po schodach?

– Nie dotykam się do plastikowych butelek – oznajmiła wyniośle Chiara. Zanim Raffi zdążył się jej sprzeciwić, Paola ogłosiła rozejm, wstając i prosząc go, żeby pomógł jej pozbierać talerze ze stołu.

Ciasto ze świeżymi czarnymi porzeczkami i bitą śmietaną przypieczętowało traktat pokojowy. Brunetti, skromny obserwator dyskusji, nie zdradził się z zadowoleniem, że Chiara położyła kres noszeniu przez niego szklanych butelek z wodą mineralną na czwarte piętro. Ta świadomość dodatkowo osłodziła mu drugi kawałek ciasta.

Następnego dnia Brunetti po wejściu do gabinetu znalazł na biurku notatkę z prośbą o telefon do doktora Rizzardiego. Gdy przywitał się z patologiem, Rizzardi powiedział:

– Ten Cavanella nie istnieje.

– Nie rozumiem – odparł Brunetti. – Wczoraj przeprowadzałeś na nim autopsję.

Rizzardi poszukał w tych słowach sarkazmu, ale najwyraźniej go nie znalazł.

– Przepraszam, Guido, chciałem chyba wywrzeć mocniejsze wrażenie. Sekretarka zadzwoniła do Ufficio Anagrafe, żeby zgłosić jego śmierć, ale nie mieli żadnych dokumentów świadczących, że zamieszkiwał pod tym adresem.

– Czyli musiał być zameldowany gdzie indziej – powiedział Brunetti, niemal zażenowany, że mówi tak oczywiste rzeczy.

– Nie w tym mieście – odparł krótko Rizzardi. – Sprawdzili to na naszą prośbę; nie jest i nigdy nie był obywatelem Wenecji.

– W takim razie jest z Wenecji Euganejskiej – stwierdził Brunetti, przypominając sobie te kilka słów wypowiedzianych przez matkę zmarłego i charakterystyczną dla tego regionu melodię jej głosu.

– To nie do nas należy, Guido – przypomniał Rizzardi z nieoczekiwaną stanowczością. – Nie musimy ich identyfikować, tylko stwierdzić przyczynę śmierci.

– Poszedłem do niego do domu – wyjaśnił Brunetti – ale jego matka nie zgodziła się ze mną rozmawiać.

Rizzardi nie skomentował tego. Powtórzył zasady:

– Dopóki nie zostanie zidentyfikowany, musimy go tu zatrzymać.

– Wiem – odparł Brunetti. A potem, zastanawiając się nad tym, jak można zidentyfikować tego mężczyznę, zapytał: – Jak myślisz, ile miał lat?

– Wydaje mi się, że niedawno przekroczył czterdziestkę – od-

powiedział Rizzardi. Potem, jakby po namyśle, pozwolił sobie przemówić jak lekarz. – Był w doskonałej kondycji fizycznej. Jego zęby są niemal całkowicie zdrowe. Żadnych śladów operacji, organy wewnętrzne w świetnym stanie.

– Jesteś pewien jego wieku? – zapytał Brunetti, zdumiony tym, że twarz może tak długo pozostać nietknięta przez czas i troski, chociaż wiedział, że trudno podawać w wątpliwość opinię patologa.

– Wiem, to zaskakujące – zgodził się Rizzardi. – Widywałem to już wcześniej. Im mniejszy kontakt ludzie mają ze światem, tym mniej się starzeją.

– On nie był pustelnikiem, Ettore – zauważył Brunetti, starając się, by zabrzmiało to żartobliwie.

– Wiem o nim tylko tyle, ile mi powiedziałaś, Guido: był głuchy i ograniczony umysłowo – powiedział Rizzardi. – Widziałem podobne przypadki już wcześniej i staram się udzielić ci wyjaśnienia na podstawie mojego doświadczenia. Ludzie upośledzeni umysłowo, czy jak tam powinniśmy ich teraz nazywać, a także niewidomi nie starzeją się tak samo jak reszta z nas, a przynajmniej po ich ciałach nie widać tego tak jak po naszych. – Gdy Brunetti nie znalazł odpowiedzi, patolog wyjaśnił: – Oszacowałem jego wiek na podstawie organów wewnętrznych i zębów.

Wyjaśnienia Rizzardiego miały sens, chociaż Brunetti nie potrafił tego do końca pojąć. Mniejszy kontakt ze światem: mniej cierpienia. Ale i mniej radości.

– Dziękuję, Ettore, to może się przydać. Postaram się potwierdzić przynajmniej jego nazwisko. Zadzwoń do ciebie, gdy mi się to uda.

– Było zapisane w formularzu, który przywieziono razem z nim – powiedział Rizzardi. – Nie wiem nic więcej.

– Zadzwoń.

– Dobrze – odparł Rizzardi i rozłączył się.

Brunetti wyciągnął i przysunął do siebie stronę tytułową raportu o próbie ucieczki z lokalnego więzienia. Ponieważ ucieczka zakończyła się niepowodzeniem, nie widział sensu w zachowywaniu lub przekazywaniu dalej tego raportu. Odwrócił kart-

kę, napisał na górze nazwisko i adres Cavanelli i zaczął sporządzać listę. Musiał znaleźć akt urodzenia albo akt chrztu. Dalej była jeszcze *carta d'identità* zmarłego mężczyzny, najprawdopodobniej znajdująca się u niego w domu, a także karta uprawniająca do świadczeń medycznych, z których na pewno korzystał. Brunetti wątpił, by Davide Cavanella był notowany przez policję, ale mógł to także sprawdzić. Dokumenty ze szkół.

Siedział i zastanawiał się nad miejscami, w których mógł się ukrywać człowiek. Bawił się w to jako dziecko, on i jego przyjaciele skradali się i znikali w *calli* i bramach w sąsiedztwie, a potem, gdy stawali się starsi, odchodzili coraz dalej i dalej od domu. Przypomnił sobie teraz, jak pewnego wiosennego dnia schował się pod brezentowym przykryciem łódki przycumowanej niedaleko od jego domu i zdołał tam zasnąć.

Zrozpaczony, wysoki głos wołający jego imię obudził go i sprawił, że wyprysnął spod przykrycia. Jego matka stała na Fondamenta della Tana, w kapciach i fartuchu, z włosami zwiśającymi swobodnie z jednej strony. Widząc ją nagle wśród swoich kolegów, Brunetti zauważył po raz pierwszy siwiznę w jej włosach i dostrzegł, jak biednie jest ubrana, w połatany fartuch i sweter zacerowany na obu łokciach. Gdy tak stała na tle jego przyjaciół, Brunetti po raz pierwszy w życiu poczuł, że się jej wstydzi, a potem zawstydził się sam siebie za taką myśl.

Gdy matka go zobaczyła, podeszła do brzegu *riva* i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu się wspiać na górę. Uchwyt jej dłoni był pewny, a on czuł się zaskoczony, że może go z taką łatwością do siebie przyciągnąć.

Stanął przed nią z pochyloną głową, niemal tak wysoki jak ona, i wymamrotał:

– Zasnąłem, *mamma*. Przepraszam.

Widział spojrzenia kolegów. Czym innym było korzystać z jej gościnności, ale widzieć ją tutaj, ubraną jak do kuchni, krzyczącą imię swojego syna... to było zupełnie co innego. Co teraz o nim pomyśla? A o niej?

Zobaczył, że jej prawa ręka się poruszyła i zeszywniał, obawiając się ciosu, na który, jak doskonale wiedział, zasługiwał. Ale matka tylko poczochnęła mu włosy i powiedziała:

– W takim razie to dobrze, że wyszłam i cię znalazłam, *tesoro*, bo inaczej mógłbyś się tam upiec jak kurczak w piekarniku i nikt by nie wiedział, co się z tobą stało. – Czekala, że jakoś jej odpowie, może się roześmieje, ale on był sparaliżowany miłością i niezdolny wykrztusić choćby słowo. – I nawet nikt by cię nie posmarował oliwą – dodała ze śmiechem. Wzięła go za rękę, odwróciła się i poprowadziła do domu, zaprosiła też wszystkich jego kolegów, żeby poszli z nimi i poczęstowali się ciastem, które właśnie wyjęła z piekarnika.

Czy matka Davide Cavanelli piekła ciasto dla niego i jego kolegów? Czy zapraszała ich do domu na San Polo? Myśli Brunetti przystanął na *riva* jego wyobraźni i zapytały, dlaczego sądzi, że Davide Cavanella miał kolegów. Był niemy, jak mógłby się komunikować na tyle, żeby zaprzyjaźnić się z kimś, inaczej niż językiem migowym. Ale czy go znał?

Brunetti pociągnął linię od strzępów informacji, których potrzebował, i połączył je z ludźmi lub miejscami, którzy mogliby ich dostarczyć. Formularze zgłoszeniowe wszystkich tych dokumentów były – albo powinny być, jak przypomniał sobie – przechowywane w Ufficio Anagrafe. Ich własne akta będą zawierać informacje o ewentualnych aresztowaniach, chociaż Brunettiemu nadal trudno było w to uwierzyć. Signorina Elettra z pewnością mogła znaleźć wszelkie inne ślady pozostawione w biurokracji przez pobyt Cavanelli na tym świecie.

Ale gdzie mógł się dowiedzieć, czy Davide miał jakichś przyjaciół i czy jego matka – jeśli kobieta, która otworzyła mu drzwi, była jego matką – piekła ciasto dla niego lub dla niego i jego kolegów? Wstał i szedł na dół, by skierować signorinę Elettrę na poszukiwania odpowiedzi na pierwsze pytania.

*

Brunetti zaczął od zapytania jej, czy wczorajsza prezentacja była interesująca.

Czyżby pociągnęła nosem?

– Amatorzy – powiedziała, a potem podniosła głowę. – W czym mogę pomóc, *commissario*? – zapytała.

Wyjaśnił jej, że Cavanella nie był zarejestrowany jako obywa-

tel tego miasta, chociaż żył tutaj od kilkudziesięciu lat, a potem wręczył jej listę informacji, które go interesowały.

Studiowała ją przez dłuższą chwilę, a potem położyła obok komputera.

– Wie pan, że mógłby pan to załatwić oficjalnie – powiedziała.

Nie rozumiał wahania, które w niej dostrzegał. Zazwyczaj okazja do przejrzenia – nieautoryzowanego przejrzenia, jak należało zaznaczyć – bazy danych jakiegokolwiek miejskiej instytucji była dla signoriny Elettry jak zaproszenie do wesołego miasteczka.

– A może Pucetti albo nawet Vianello mogą się tego dla pana dowiedzieć – dodała, przesuwając listę kawałek w lewo.

– Jeśli pani nie chce – zaczął Brunetti, wyrażając na głos rzecz niewyobrażalną.

Signorina Elettra położyła sam koniuszek zakończonego czerwonym paznokciem palca na środku listy i uśmiechnęła się.

– Dobrze, *commissario*, przyznam się.

Uśmiechem dał znać, że jest gotów jej wysłuchać.

– Przyjaciel – powiedziała, używając męskiej formy rzeczownika, a tym samym budząc jego zaciekawienie – będzie na lotnisku o drugiej, myślałam, że będę mogła wyjść po niego.

– Czy on wie, gdzie pani pracuje? – Brunetti zadał pytanie zaskakujące dla nich obojga.

Odpowiedziała mu niemal bez namysłu:

– Tak. Uznałam, że najlepiej będzie powiedzieć mu to od razu na początku.

Ciekawiej i jeszcze ciekawiej – pomyślał Brunetti. Na początku czego?

– W takim razie może Foa mógłby zabrać panią motorówką. – Zanim zdążyła to zakwestionować, wyjaśnił: – Mógłby panią tam wysadzić i poczekać na państwa. Wydaje mi się, że dobrze będzie pokazać bagażowym, że dalej się nimi interesujemy. – Policja od lat nie była w stanie ukrócić kradzieży rzeczy z walizek i wydawało się wątpliwe, by widok policyjnej motorówki zacumowanej na przystani mógł mieć jakikolwiek wpływ na nieustanne rabunki, była to jednak najlepsza wymówka, jaką

potrafił wymyślić na poczekaniu.

– Ale oni są w hali głównej.

– Może być pani pewna, że ktoś im przekaże tę informację.

Uśmiechnęła się.

– Mam taką nadzieję.

– Niech Foa odwiezie was do domu – dodał swobodnie, może zbyt swobodnie, bo signorina Elettra popatrzyła na niego z uśmiechem.

– Poproszę, żeby zawiózł mnie do Misericordia – zaczęła i urwała na chwilę, żeby Brunetti mógł sobie przypomnieć, jak blisko tego miejsca mieszka. – Możemy dojść stamtąd piechotą – dodała.

Brunetti od dawna zastanawiał się, co signorina Elettra myśli o jego zainteresowaniu jej życiem prywatnym. Byłoby przesadą twierdzić, że czasem zachowywała się prowokacyjnie, ale równie trudno byłoby znaleźć odpowiedniejsze słowo na opisanie tego. Zbyt ostentacyjnie zaproponował jej pomoc Foi, ale teraz nie mógł już wycofać tej oferty.

Podniósł kartkę.

– Poproszę Pucettiego, żeby sprawdził to przez kanały oficjalne. – Dodał jeszcze z uśmiechem: – Przyda mu się takie ćwiczenie.

– Może trochę go zwolni – powiedziała i wstała.

Zatrzymała się w drzwiach i powiedziała przez ramię:

– Foa nie musi mnie zawozić, *commissario*. Mam jeszcze coś do załatwienia po drodze, więc wyjdę od razu. – Nie wyjaśniła, co to takiego ani dlaczego wychodzi cztery godziny przed czasem, gdy ma się zjawić na lotnisku. Brunetti uniósł rękę, dając znak, że przyjmuje to do wiadomości i żegna się z nią. Przysiągł sobie, że nie powtórzy nikomu, co mu powiedziała.

Poszedł do pokoju odpraw i wyjaśnił anomalie brakującego obywatelstwa Cavanelli, a potem wręczył Pucettiemu kartkę z nazwiskiem i adresem, a także miejscami, gdzie można znaleźć dokumenty mężczyzny. Młody policjant był zaskoczony, gdy dowiedział się, że Davide Cavanella nie był obywatelem Wenecji.

– Skoro widywał go pan od lat, *commissario*, to musi być

gdzieś w systemie – zauważył. – Jeśli był głuchy, prawdopodobnie uczęszczał do szkoły w Santa Croce. Poza tym musi być jakieś stowarzyszenie dla ludzi używających języka migowego. – Dopisał to do listy Brunettiego, poszerzając możliwości. – Jeśli mieszkali w pobliżu Campo San Stin, może *parroco* ich znał. A jeśli pracował w tej pralni chemicznej, powinni mieć jakieś dokumenty. – Dodał to wszystko do listy.

– Przypuszczam, że pozwalali mu tam pracować ze współczucia – odpowiedział Brunetti. Wiedział, że kobiety z pralni były pierwszym nasuwającym się źródłem jakichkolwiek informacji o zmarłym mężczyźnie. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy widział tam Davide – nie, powinien go nazywać po nazwisku, jakby był prawdziwym dorosłym, a nie osobą zatrzymaną na etapie dzieciństwa – Cavanellę. Dziesięć lat temu? Dawniej?

Poprosił Pucettiego o książkę telefoniczną, którą młody policjant wyjął z szuflady biurka. W San Polo była tylko jedna pralnia chemiczna. Brunetti zapisał numer w notesie, nie mając ochoty dzwonić do nich, dopóki nie wróci do swojego gabinetu.

Oddał książkę Pucettiemu.

– Dobrze, poszukaj w Anagrafe i w szkole, a potem zadzwoń do *parroco* – powiedział.

– Ile on miał lat? – zapytał Pucetti, siadając przy jednym z trzech komputerów w pokoju.

– Rizzardi twierdzi, że był tuż po czterdziestce.

Pucetti uniósł brwi.

– Myślałem, że był znacznie młodszy.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Myślę, że z powodu sposobu, w jaki pan o nim mówił. – Pucetti potrząsnął głową i wpisał adres Comune di Venezia.

Szybko znalazł witrynę Ufficio Anagrafe, ale wydawało się, że nie można w niej wyszukiwać po nazwisku. Pucetti przeszedł na inną stronę, wpisał „Davide Cavanella”, spojrzął na przyniesioną przez Brunettiego kartkę i wprowadził adres mężczyzny, ale wyszukiwanie zostało przerwane z powodu braku numeru *codice fiscale*.

Brunetti pochylił się nad monitorem i poprosił Pucettiego, żeby przewinął do początku strony. Gdy zobaczył numer telefonu, podniósł słuchawkę i wybrał go.

Podał swoje nazwisko i stopień, a następnie wyjaśnił, że dzwoni w sprawie identyfikacji zmarłego mężczyzny, który został znaleziony dzień wcześniej w San Polo. Zaproponował kobiecie, z którą rozmawiał, żeby oddzwoniła do niego do komendy, ale powiedziała, że to nie będzie konieczne, i zapytała o nazwisko mężczyzny.

– Davide Cavanella, prawdopodobnie po czterdziestce.

– W takim razie – odparła – musiałby się urodzić w latach siedemdziesiątych.

– Tak.

– Mamy skomputeryzowane akta aż do lat pięćdziesiątych – odparła z wyraźnie słyszalną nutą dumy w głosie. – Jeśli urodził się tutaj, znajdziemy go.

Brunetti zadowolili się grzecznym pomrukiem, zostawiając jej czas, żeby to zrobiła. Ze słuchawki dobiegały wydawane przez kobietę dźwięki, szum i cmoknięcia zaskoczenia lub niezadowolonia. Po kilku minutach odezwała się głosem osoby, która jest zajęta czymś innym. – Nie mogę go znaleźć, *commissario*. Jest pan pewien pisowni? Cavanella z „a” na końcu?

– Tak.

– Davide? – zapytała.

– Tak.

Znowu zapadło milczenie wypełnione szumem, ciche klikanie w tle, a potem kobieta wróciła.

– Przykro mi, *commissario*, ale nie urodził się w Wenecji ani w Mestre, w każdym razie nie pomiędzy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym.

– Mogłaby pani sprawdzić całą prowincję? – zapytał Brunetti.

To był moment, w którym większości biurokratów nudziła się atrakcja polegająca na odpowiadaniu na pytania policji. Zazwyczaj z przyjemnością udzielali odpowiedzi na kilka pytań i przeprowadzali proste wyszukiwanie, jeśli się ich o to poprosiło, ale gdy tylko sprawy stawały się bardziej skomplikowane i praco-

chłonne, zaczęli powoływać się na przełożonych i konieczność zdobycia upoważnienia albo cytowali przepisy, które, jak zawsze podejrzewał Brunetti, wymyślali na poczekaniu.

– Nie jestem do tego upoważniona, *commissario* – odparła kobieta innym tonem, który doskonale znał. – Nie mogę tego zrobić bez nakazu sądowego.

Brunetti podziękował jej i zakończył rozmowę.

Pucetti podniósł głowę i uniósł pytająco brwi.

– Nic, ani tutaj, ani w Mestre, między tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym rokiem – wyjaśnił Brunetti. Pucetti wzruszył ramionami, jakby to była odpowiedź, jakiej zawsze udziela biurokracja. – Możesz... – zaczął Brunetti i zająknął się, szukając właściwego określenia. Wejść? Dostać się? Otworzyć? Właściwym terminem było „włamać się”, ale komisarz miał opory przed użyciem tego czasownika, ponieważ nie chciał dodatkowo obciążać swojego sumienia demoralizowaniem podwładnych. – Zdobyć dodatkowe informacje z opieki społecznej?

– Oczywiście – odparł Pucetti, a Brunetti nie wiedział, czy pełni funkcję wymówki pozwalającej na popełnienie grzechu, czy też osoby, która zmniejsza obciążenie niesione przez konia wyścigowego. – Mogę to nawet zrobić z tej maszyny – dodał młody policjant, machając lekceważąco palcami nad klawiaturą i wydając dźwięk skazujący komputer na potępienie. – Łatwo można sprawdzić, kto odbiera rentę. – Potem, głosem, w którym nie było nawet cienia przechwałki, Pucetti dodał: – Jeśli się wie, jak to zrobić. – Brunetti skinął głową z kamienną twarzą. – Rozejrzę się – obiecał Pucetti i odwrócił się do monitora.

– Dobrze – odparł Brunetti i poinformował go, że będzie w swoim gabinecie.

Na górze włączył własny komputer i zaczął poszukiwania w książkach telefonicznych z prowincji Friuli i Treviso, ale nie znalazł nikogo o nazwisku Cavanella.

Zadzwoił na portiernię i poprosił dyżurnego o połączenie go z biurem, które odpowiadało za wysłanie karawanu.

Udało się to załatwić szybko, sprawdzono grafik i kilka minut później Brunetti rozmawiał już z pilotem.

– Dostaliśmy telefon od *carabinieri* koło szóstej, *commissario* – poinformował pilot, Enrico Forti. – Powiedzieli tylko, że dzwoniła kobieta, zgłosiła, że znalazła syna martwego w łóżku i że mamy go stamtąd zabrać, i zawieźć do szpitala. Taka jest procedura.

– Co zastaliście na miejscu?

– Czekala na nas przy drzwiach. Ludzie zawsze tak robią, myślę, że słyszą, jak się zbliżamy. Wie pan, z powodu silnika.

– Rudowłosa kobieta? – zapytał Brunetti.

– Tak.

– Jak ją pan ocenił? – zapytał Brunetti.

Po chwili Forti powiedział:

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, o co panu chodzi.

– Jak się zachowywała? Płakała? Miała trudności z mówieniem?

Pilot nie od razu odpowiedział na pytanie Brunettiego. W końcu oznajmił:

– Powinien pan wiedzieć, że przyjeżdżamy do różnych wezwień. Śmierć w różny sposób dotyka ludzi. Nigdy nie wiadomo, jak na nią zareagują.

Brunetti czekał.

– Była zdenerwowana, to było widoczne. Powiedziała, że weszła do jego pokoju i znalazła go, i że nie żył, więc zadzwoniła pod sto osiemnaście, a oni powiedzieli jej, że przyjedziemy.

– A potem? – zapytał Brunetti, starając się, żeby w jego głosie brzmiało zainteresowanie, a nie niecierpliwość.

– Płakała. Wpuściła nas do środka i zaprowadziła do mieszkania i do jego pokoju. Leżał w łóżku, tak jak powiedziała. To wyglądało paskudnie, zawsze tak wygląda, jeśli umierają w taki sposób. Przykryliśmy go i włożyliśmy na nosze, a potem zabraliśmy go do łodzi i do szpitala. Do doktora Rizzardiego.

– Czy chciała z wami jechać? – zapytał Brunetti.

– Nie. Stała tam tylko, kiedy go wynosiliśmy, a potem zamknęła drzwi, zanim zeszliśmy z nim do łodzi.

– Pamięta pan, jak wyglądał pokój? – zapytał Brunetti.

Forti umilkł na chwilę, żeby sobie przypomnieć.

– Był okropnie mały i miał tylko jedno małe okno, a że

dom naprzeciwko stoi bardzo blisko, było tam wyjątkowo ciemno. Chociaż tak wcześnie to nic dziwnego. – Dodał po namyśle: – To było w moim raporcie.

– Nie wie pan, czy *carabinieri* wysłali tam ekipę dochodzeniową?

– Raczej nie. Zadzwoniliśmy do nich i powiedzieliśmy, że to wyglądało na nieszczęśliwy wypadek, więc wątpię, żeby im się chciało.

Brunetti miał na końcu języka przypomnienie Fortiemu, że wykonywanie swoich obowiązków – do których należały oględziny miejsca tragicznego zgonu – nie zależy od tego, czy komuś się chce, czy nie, ale podziękował tylko mężczyźnie za informację i odłożył słuchawkę.

*

Znalazł w notesie numer do pralni chemicznej i wybrał go; słuchawkę podniesiono po piątym dzwonku.

– *Lavasecco* – odezwał się głos kobiety, która nie zwracała sobie głowy przedstawianiem się.

– *Buon dì, signora* – powiedział. – Mówi commissario Brunetti.

Zamiast przywitania odparła:

– Żakiet pana żony i trzy pary pańskich spodni są już gotowe do odbioru, *commissario*. Na szarej marynace była plama na prawym rękawie, która nie zesza, więc pierzemy ją ponownie.

– Aha – powiedział Brunetti, na moment oszołomiony. – Dziękuję, *signora*, ale nie o to chciałem panią zapytać.

– O Davide?

– Tak. Widywałem go u pani w zakładzie przez wiele lat, więc chciałbym zajrzeć i porozmawiać o nim z panią i pani współpracownicą.

– Renata będzie dopiero po obiedzie, *commissario*, jeśli chce pan rozmawiać z nami obiema. W tej chwili mamy niewiele pracy, wszyscy odebrali już swoje zimowe rzeczy, a jeszcze za wcześnie, żeby je zaczęły znowu nosić. Na razie dostajemy tylko pościel i obrusy. Ludzie zwykle sami piorą swoje letnie rzeczy. Pewnie przez ten kryzys finansowy.

W ostatnich miesiącach przestępcy zaczęli obwiniać o swoją działalność kryzys finansowy. Euro słabło, pensje się nie zmieniły. Co innego pozostawało, jak tylko obrabować bank? Brunetti zastanawiał się, o co w następnej kolejności zostanie oskarżony kryzys finansowy. O panujące bezguście?

– Oczywiście, *signora*. Dziękuję pani – powiedział Brunetti, spojrzął na zegarek, spędził godzinę na lekturze wybranych akt ze swojego biurka, a potem poszedł do domu na obiad.

Zachmurzyło się, gdy jedli obiad, więc przed wyjściem do pralni Brunetti wyjął z szuflady szary sweter i włożył go pod kurtkę. Gdy pocałował Paolę na pożegnanie, zapytała:

– Czy to pierwsza oznaka zimy?

– Powiedziałbym, że jeszcze na to trochę za wcześnie – odparł Brunetti. – Ale myślę, że jesień robi się surowa.

– Ładne określenie – stwierdziła, cofając się o krok i przyglądając się jego twarzy. – Sam to wymyśliłeś?

Zaskoczony Brunetti musiał się nad tym zastanowić.

– Chyba tak – przyznał. – Nie przypominam sobie, żebym to słyszał od kogoś.

– Nieźle – pochwaliła go i skierowała się do swojego gabinetu.

Otwierając drzwi na *calle*, Brunetti czuł, że jesień stała się jeszcze bardziej surowa w czasie, gdy jedli obiad. Był zadowolony, że włożył sweter, i żałował, że nie pomyślał także o szaliku. Nie musiał się zastanawiać, jak trafić do pralni, ale kierując się tym, co nazywał własnym GPS-em – Guidowym Personalnym Systemem – dotarł tam w dziesięć minut.

Kiedy wszedł do środka, owionął go znajomy zapach: odrobinię ostrości, nieco chemiczny, ale tak dobrze znany, że niebudzący zaniepokojenia. Dwie klientki stały przy ladzie, za którą właścicielka wydawała im resztę z kasy. Zawinięty w papier pakunek leżał płasko na ladzie pomiędzy nimi. Za oddzielającą zaplecze kurtyną stała na wpół widoczna wysoka kobieta, którą widywał tam od lat prasującą. Jej krótkie włosy były równie elegancko ufarbowane, jak przystrzyżone, w tym samym odcieniu blond, jaki mogły niegdyś mieć. Z pewnością była po sześćdziesiątce, ale jej ciało pozostało szczupłe i zwinne, być może z powodu pochylania się i podnoszenia różnych rzeczy, czego wymagała od niej praca.

– Bóg jeden wie, jak bardzo cierpi jego matka. – Brunetti,

wchodząc, usłyszał słowa kobiety, która właśnie płaciła.

Kobieta stojąca po jej lewej stronie sapnęła, jakby podnosiła coś ciężkiego, ale nie powiedziała nic. Pierwsza kobieta odwróciła się do niej i Brunetti obserwował, jak postanowiła, że nie powie nic więcej. Wzięła resztę, podziękowała kobiecie za ladą i zabrała swoją paczkę.

Kiedy podeszła do drzwi, właścicielka powiedziała:

– W przyszły wtorek, *signora*.

Paczka zaszeleściła, a kobieta otworzyła drzwi i zniknęła za nimi.

Gdy drzwi się zamknęły, druga klientka zauważyła:

– Powiedziałabym raczej, że Bóg jeden wie, czy jego matka cierpi. – Miała zaokrągloną figurę i okrągłą twarz z pulchnymi, rumianymi policzkami: w baśni grałaby rolę dobrej babci.

Właścicielka udała, że nie usłyszała tej uwagi.

– To była zielona jedwabna garsonka, prawda? I brązowa marynarka pani męża?

Kobieta zaakceptowała zmianę tematu.

– Jak pani to robi, *signora*? – zapytała. – Jak udaje się pani to wszystko zapamiętać? Przyniosłam je tutaj w kwietniu.

– Podobała mi się ta garsonka – odparła właścicielka. – A pani mąż ma tę marynarkę od dawna. – Zanim klientka zdążyła zinterpretować to jako krytykę, dodała: – Teraz już rzadko widzi się rzeczy tak dobrej jakości; będzie można ją nosić jeszcze z dziesięć lat. – Wyszła, żeby przynieść ubrania z wieszaków na zapleczu zakładu.

Klientka uśmiechnęła się, położyła na ladzie różowy kwitek i otworzyła torebkę.

Właścicielka wróciła, złożyła garsonkę i marynarkę, zawinęła je w jasnoniebieski papier i starannie zakleiła paczkę taśmą. Wzięła od klientki pieniądze, i po wymianie grzecznych pożegnań kobieta wyszła.

Komentarz zawisł w próżni pozostałej po jej wyjściu. Zanim Brunetti zdążył się odezwać, zasłona odsunęła się do końca i z zaplecza wyłoniła się Renata, której imię poznał zaledwie kilka godzin wcześniej.

Skinęła mu głową, ale odezwała się do swojej koleżanki:

– Słyszałam ją. Jak mogła powiedzieć coś takiego? Ten biedny chłopiec nie został jeszcze pochowany, a ona mówi takie rzeczy o jego matce. Nie zasłużyła sobie na to.

– Ludzie zawsze tak o niej mówili – odparła z głęboką rezygnacją właścicielka. – Ale można by pomyśleć, że powinni przestać, skoro jej syn nie żyje.

– Jak mówili? – zagadnął Brunetti, udając zaledwie lekkie zainteresowanie.

Kobiety wymieniły przeciągłe spojrzenia; Brunetti wyczytał w nich walkę między chęcią zachowania milczenia z powodu czegoś w rodzaju kobiecej solidarności a pragnieniem plotkowania.

Renata wybrała plotkowanie, pochylając się do przodu i opierając na krawędzi wąskiej lady. Przeniosła ciężar ciała na sztywne ramiona i przygotowała się na dłuższy monolog.

Zobaczył spojrzenie, jakie rzuciła jej właścicielka. Nic dobrego nie płynęło z wtrącania się w cudze sprawy. Władze istniały tylko po to, żeby utrudniać życie, żeby nadziewać cię na kolce biurokracji, żeby sprawiać, że będziesz tracić czas w pracy, a w końcu zmuszały cię do zatrudnienia prawnika i spędzenia kilku lat na uwalnianiu się od konsekwencji ujawnienia jakichkolwiek informacji. Państwo było twoim wrogiem.

Jakby nieświadomy tego wszystkiego, Brunetti zwrócił się bezpośrednio do właścicielki.

– *Signora*, w tej chwili wiemy tylko, że umarł we śnie. Wydaje się, że był to nieszczęśliwy wypadek. Próbowałem rozmawiać z jego matką, ale nie chciała, albo być może nie mogła, mi odpowiedzieć. – Kiedy wydawało się, że kobiety nie mają żadnych pytań, Brunetti potrząsnął głową, żeby zasugerować zmieszanie lub rezygnację w obliczu rzeczy, których nie dało się pojąć. – Nie wiem, jak to ująć – zaczął, ignorując spojrzenia, jakie wymieniły, i starając się skierować rozmowę na temat niezwiązany z matką – ale zawsze zakładaliśmy... To znaczy, moja żona i ja... że pozwalacie mu tutaj pracować z powodu czegoś, co można chyba nazwać tylko dobrocią serca. – Uśmiechem wyraził aprobatę dla tej decyzji. – Uważam, że to bardzo wspaniałomyślne z pani strony. Nie, nawet więcej.

– Był tylko nieszczęsnym biedakiem – powiedziała Renata, a później spojrzała na pracodawczynię, jakby poniewczasie pytała o pozwolenie na ten komentarz. Kiedy druga kobieta skinęła głową, mówiła dalej. – To Maria Pia wpadła na pomysł, żeby pozwolić mu tutaj pomagać. – Druga kobieta wykonała nieduży gest, jakby chciała zlekceważyć tę uwagę, ale Renata nie dała sobie przerwać. – To nie było łatwe – ciągnęła i spojrzała na Marię Pię. – Prawda? – zapytała.

– Nie, chyba nie było. Ale on potrzebował jakiegoś zajęcia. – Właścicielka spojrzała szybko na Brunettiego, na drugą kobietę i znowu na Brunettiego. Nie odrywając od niego wzroku, zapytała: – To nie było niezgodne z prawem, że pozwalałyśmy mu tutaj przebywać?

Zakładając, że prawdopodobnie istnieje prawo zabraniające udawania, że ktoś pracuje w jakiejś firmie, Brunetti odpowiedział:

– Oczywiście że nie, *signora*. – Uśmiechnął się na myśl o tak absurdalnym pomysłe i lekceważąco machnął ręką. – To była z pani strony czysta życzliwość. – Aby utwierdzić swoją pozycję współczującego stronnika, popierającego jej zachowanie, i zapobiec dalszym pytaniom o niebezpieczeństwa prawne, dodał: – Każdy przyzwoity człowiek by to pochwalał. Każdy przyzwoity człowiek zrobiłby to samo.

Uśmiechnęła się z wyraźną ulgą: skoro *commissario* z policji powiedział, że to nie było nielegalne, to znaczy, że nie mogło być, prawda?

– Jak on... – zaczął Brunetti, zastanawiając się nad ujęciem tego w słowa. – Jak zaczął tutaj pracować?

Maria Pia uśmiechnęła się.

– Przychodził tu czasem z matką. Stał i patrzył, jak rzeczy wirują w pralkach – wyjaśniła, wskazując okrągłe szklane okno w pralce, która była w ruchu za każdym razem, gdy Brunetti tu przychodził.

– Potem zobaczył go Pupo – powiedziała Renata. Kobiety wymieniły uśmiechy, w których krył się czysty smutek.

– Pupo? – zainteresował się Brunetti.

– Kot – wyjaśniła Maria Pia. – Widział go pan kiedyś tutaj?

Brunetti potrząsnął głową.

Kobieta wyjęła *telefonino* i włączyła je, wciskając guziki, by przywołać wspomnienia i zdjęcia, na których były uwięzione. Znalazła to, co chciała, więc obesła ladę i stanęła obok komisarza.

– Tutaj – powiedziała, przerzucając zdjęcia na ekraniku, jakby robiła to przez całe życie. Wziął od niej mały prostokąt i zobaczył zdjęcie, na którym trzymała w ramionach monstrualnego kota, największego, jakiego kiedykolwiek widział. Uszy sprawały, że wyglądał jak ryś.

– Co to jest?

– Nazywa się je maine coonami – powiedziała Maria Pia, wymawiając nazwę rasy z włoska. Przesunęła dłonią po telefonie, by pokazać mu dalsze zdjęcia tego samego gigantycznego zwierzęcia. Kot stał na ladzie, spał na desce do prasowania, wspinał się z łapami po obu stronach okienka w pralce, skoncentrowany na wirujących ubraniach. Potem pojawił się w ramionach Davide Cavanelli.

– Pupo – powiedział Brunetti.

– Davide był jedyną osobą, którą naprawdę lubił. Poza nami – wyjaśniła.

– Nie lubił naszych mężów ani dzieci – dodała Renata. – Tylko Davide.

– To był jeden z powodów, dla których pozwoliliśmy mu tutaj zostać – powiedziała Maria Pia, przestając udawać, że Cavanella tu pracował.

– Co się stało? – zapytał Brunetti.

– Pupo miał już dziesięć lat, gdy Davide tu przyszedł. Potem w zeszłym roku zachorował na okropną chorobę. Davide był jego lekarzem. Pupo pozwalał, żeby mu robił zastrzyki. – Brunetti uniósł brwi, a Maria Pia kontynuowała: – Pokazałyśmy mu, jak to robić, a Pupo nie miał nic przeciwko, gdy on to robił.

– A potem?

– A potem musiałyśmy go zabrać do weterynarza, żeby go... – Nie potrafiła powiedzieć na głos nazwy choroby, która zabiła Pupo, ani też tego, co musiały zrobić.

Maria Pia popatrzyła na zdjęcie przedstawiające ich obu i do-

kończyła historię.

– Davide nigdy tu potem nie wrócił.

Wyłączyła telefon i schowała go do kieszeni.

– Myślę, że część klientów i tak nie była zadowolona z jego obecności – powiedziała Renata, przenosząc ciężar ciała na drugą nogę. Zanim jej pracodawczyni zdążyła się odezwać, zaczęła mówić dalej. – Na przykład ta signora Callegaro. Ta od zielonej garsonki i marynarki męża, którą on oddaje do prania raz na rok ze skąpstwa. – Odepchnęła się od lady i stanęła prosto, wygłaszając to potępiające stwierdzenie. – Te rzeczy leżały tu przez całe lato, a ona teraz po nie przychodzi. Żeby powęszyc. – Dodała jeszcze, niemal ze splunięciem: – Wścibska baba.

Odwróciła się do Brunettiego.

– Skarżyła się kiedyś na niego. – Urwała na chwilę, ale szybkie spojrzenie powiedziało Brunettiemu, że twarz jej pracodawczyni jest spokojna.

– Z jakiego powodu, *signora*? – zapytał.

– Przyszła tutaj, chyba dwa lata temu, prosto ze sklepu, z dwiema dużymi torbami. Chciała zabrać pranie, ale kiedy Maria Pia położyła je na ladzie i zaczęła pakować, powiedziała, że nie uniesie wszystkiego i że wróci po to później.

– Co panie wtedy zrobiły? – zapytał Brunetti, zwracając się w przestrzeń pomiędzy nimi, tak że każda mogła mu odpowiedzieć.

Maria Pia postanowiła się w tym momencie wtrącić i wyjaśnić, co zaszło.

– Wiem, gdzie ona mieszka, przy Ponte dei Pugni, więc powiedziałam jej, że Davide może zanieść jej torby, a ona weźmie pranie.

– Na to właśnie się skarżyła? – zdziwił się Brunetti.

– Nie, nie – powiedziała Renata, z powrotem przechwytyjąc wątek. – Powiedziała, że to bardzo dobrze, więc Maria Pia wyszła na zaplecze, przyprowadziła Davide i powiedziała mu, żeby z nią poszedł.

Brunetti nie odezwał się, chociaż był ciekaw, jak mogła mu cokolwiek „powiedzieć”.

– Wrócił tu jak zawsze, więc zapomnieliśmy o całej sprawie. Później, gdy przyszła następnym razem, powiedziała, że ją przestraszył.

– Jak? – zapytał Brunetti.

Jak w przypadku starego małżeństwa, snującego na zmianę opowieść, to Maria Pia kontynuowała historię.

– Powiedziała mi, że zaniósł torby do jej domu i wniósł po schodach. Mieszkają na czwartym piętrze. Otworzyła drzwi i pokazała podłogę, żeby mu powiedzieć, że może je tu zostawić, ale on wyminął ją, znalazł kuchnię i położył je na stole. A potem wyjął wszystkie rzeczy z toreb i ułożył je na stole. Weszła i powiedziała mu, że może już iść, sama to zrobi, ale on ją zignorował. – Popatrzyła na Renatę, jakby chciała wiedzieć, co innego mogła zrobić głucha osoba.

– Kiedy skończył, poskładał torby i położył je na blacie, a gdy próbowała dać mu pieniądze – w każdym razie tak mi mówiła, chociaż wątpię, by dawała mu cokolwiek; to nie przypadek, że tych dwoje się pobrało – on zignorował ją i wyszedł.

Gdy wydawało się, że kobieta nie ma już nic do dodania, Brunetti zapytał:

– Ale na co się skarżyła?

Renata prychnęła.

– Powiedziała, że przestraszyła się, kiedy wszedł do jej domu, że nie wiedziała, co on może zrobić. Chyba chodziło jej o to, co mógłby jej zrobić. – Przewróciła oczami, żeby przekazać, że taka możliwość lub przyczyna lęku kobiety to szaleństwo.

Brunetti ograniczył się do potrząśnięcia głową jak mędrzec przyjmujący do wiadomości ludzkie słabostki. Zwrócił się do właścicielki i powiedział, pilnując, by w jego głosie brzmiało tylko zdziwienie, a nie autentyczne zainteresowanie:

– Nie bardzo rozumiem, *signora*. Skoro był głuchy, to jak mu pani wytłumaczyła, żeby zaniósł jej torby do domu?

Maria Pia wzruszyła ramionami.

– Wzięłam torby i podałam mu, a potem wskazałam tę kobietę i zrobiłam palcami ruchy, jakbym szła – wyjaśniła i zrobiła dokładnie to, przeszła dwoma palcami przez połowę lady. – Robiłam to już wcześniej. Albo on to robił z innymi klientami,

więc zrozumiał. Wziął torby, podszedł do drzwi i stanął przy nich, tak jak zawsze.

– A potem? – nacisnął Brunetti.

– Wyszedł z nią i wrócił, a ja myślałam, że wszystko jest w porządku. Powinam być mądrzejsza. W jej przypadku.

Renata znowu prychnęła.

– Co pani wtedy zrobiła, *signora*? – zapytał Brunetti, zastanawiając się, czy skarga signory Callegaro wystarczyłaby, żeby ją nastraszyć.

– Co miałam zrobić? Przeprosiłam ją i powiedziałam, że on jest całkowicie nieszkodliwy. Widziała go tu od lat, powinna to wiedzieć – oznajmiła z rosnącym gniewem.

– Nie pomyślała pani, żeby mu powiedzieć, że nie może tu już pracować? – zagadnął Brunetti, zanim uświadomił sobie, jak odruchowo używał słowa „powiedzieć”.

– Nie, oczywiście że nie – odparła, kierując teraz gniew w jego stronę. – Był tu od dawna i był dobrym chłopcem. Starał się pomagać, chciał pomagać. – Brunetti zobaczył, że Renata kiwa potwierdzająco głową. – Nie mogłabym go po prostu wyrzucić tylko dlatego, że komuś nie podobało się jego zachowanie. Niech sobie pierze marynarkę męża gdzie indziej.

Brunetti uśmiechnął się.

– To pięknie z pani strony, *signora* – powiedział bez namysłu.

Obie się uśmiechnęły; aprobujące skinienie głowy Renaty sprawiło mu przyjemność.

– Przyszła tu jeszcze kiedyś, gdy on tu był? – zapytał, znowu kierując pytanie do obu kobiet.

– Tylko raz – odparła Maria Pia.

– Co się wówczas stało?

Renata się wtrąciła.

– Zobaczyłam, że tu wchodzi; tam z zaplecza dużo widzę – wyjaśniła, machając ręką w stronę zasłony. – Więc kiedy weszła, złapałam Davide za ramię i powiedziałam mu, żeby się przesunął głębiej, dalej od niej.

– A on to zrozumiał?

– Oczywiście – odparła, zdziwiona jego pytaniem. – Rozumiał

wiele rzeczy.

Czy rozumiał, czym są tabletki nasenne? – zastanowił się Brunetti.

Postanowił zaryzykować pytanie o matkę.

– Ta kobieta, signora Callegaro, mówiła coś o matce Davide. To brzmiało, jakby ją znała. I miała o niej złą opinię.

– Ona ma o wszystkich złą opinię – rzuciła gniewnie Renata.

Brunetti odwrócił się do Marii Pii. To wystarczyło, żeby ją zachęcić do mówienia.

– Jego matka, Ana, nie cieszy się najlepszą opinią. – Nie cieszyła się nią także najwyraźniej signora Callegaro, ale Brunetti zdecydował się nie mówić tego. Jego milczenie skłoniło ją do dodania: – Większość z nas tutaj zna ją od dawna, a kiedy wie się o niej choć trochę... cóż, trudno jej wtedy nie współczuć.

– Dlaczego, signora? – zapytał Brunetti, niezdolny ukryć prawdziwej ciekawości.

Maria Pia popatrzyła na swoją koleżankę, jakby pytając ją, jak to się stało, że aż tyle powiedziała.

Otwierające się drzwi odwróciły uwagę całej trójki i sprawiły, że kobiety skoncentrowały się na nowej klientce. To była dziewczynka, najwyżej trzynastoletnia, z różowym kwitkiem w ręku.

– *Ciao*, Graziella – powiedziała Maria Pia i odwróciła się do długiego rzędu ubrań. Za chwilę wróciła z dwiema jedwabnymi sukienkami, o wiele za dorosłymi, by należeć do tej dziewczynki, i parą czarnych jedwabnych spodni, tak samo niepasujących do niej rozmiarem. Dziewczynka stała i patrzyła w milczeniu na trójkę dorosłych.

Kiedy rzeczy zostały zapakowane, dziewczynka wręczyła Marii Pii różowy kwit i banknot pięćdziesięcioeurowy, wzięła resztę, skinęła głową w podziękowaniu, zabrała paczkę i wyszła.

– Co takiego mówiła pani o jego matce, signora? – zapytał Brunetti.

Maria Pia rzuciła mu spojrzenie mówiące, że czas się skończył, zanim jeszcze powiedziała:

– To tylko plotki, *commissario*, i nie wydaje mi się, żeby było w porządku to powtarzać. – Odwróciła się do Renaty i zapytała:

– Czy nie tak?

Renata popatrzyła na pracodawczynię, na Brunettiego i skinęła głową.

– Tak. Ludzie mówią, że umarł, bo się czymś zadławił. Powiedziałabym, że jego matka dość przeszła.

– Czy był jej jedynym dzieckiem? – Brunetti zdołał wlać w to pytanie na tyle dużo patosu, że Maria Pia odparła:

– Tak.

Ale nie powiedziała nic więcej.

Brunetti zaakceptował daremność dalszych prób dowiedzenia się czegoś od tych kobiet; gdyby zadawał kolejne pytania, tylko by je rozdrażnił.

– Dziękuję za pomoc, *signore* – powiedział. Dodał lżejszym tonem: – Nie wracam jeszcze do domu. Poproszę żonę, żeby przysłała któreś z dzieci.

– Dobrze – powiedziała Renata. – Zawsze miło je widzieć. Czy pana syn dalej spotyka się z tą sympatyczną dziewczyną?

– Z Sarą?

– Tak.

– To już kilka lat – zauważyła Renata. – Dobra rodzina. Dobra dziewczyna.

– Też tak myślę – przyznał Brunetti, jeszcze raz podziękował obu kobietom i wyszedł.

Gdy Brunetti szedł w stronę przystanku *vaporetto* przy San Tomà, rozważał to, co trzy kobiety powiedziały o Anie Cavanelli: signora Callegaro wątpiła w jej miłość do syna; Renata jej bronila; Maria Pia zaś powiedziała, że każdy, kto zna jej historię, będzie jej współczuć. Ale jaka to była historia?

Maria Pia powiedziała także, że okoliczni mieszkańcy znają ją od dawna. Oznaczało to, że dowiedzenie się czegoś o niej powinno być stosunkowo proste; wystarczy, że Brunetti znajdzie kogoś, kto będzie mógł zadać pytania. Ale to musiała być właściwa osoba i to musiały być właściwe pytania. Kobieta mówiąca dialektem weneckim, nie za młoda i nie za bardzo efektowna; kobieta, która wyglądałaby i mówiła, jak zajmująca się domem żona i matka z niższej klasy średniej, taka, która poświęciła się wychowywaniu dzieci, podczas gdy jej mąż pracował. Kto byłby bardziej skłonny do współczucia kobiecie, która straciła syna? Kto byłby bardziej szczerze zainteresowany taką kobietą i jej historią?

Brunetti zajrzał do pokoju odpraw, znalazł Vianella i poprosił go, żeby wstąpił na chwilę do jego gabinetu. Pucetti zaczął wstawać na widok przełożonego, ale Brunetti uniósł rękę i poklepał powietrze, dając mu znak, że pomówi z nim później.

Na schodach zapytał:

– Czytałeś raport w sprawie tego mężczyzny znalezionego wczoraj w Santa Croce?

– Tego samobójcy? – zapytał Vianello.

– Był głuchoniemy – wyjaśnił Brunetti. Vianello przystanął w pół kroku, a potem jego stopa trafiła na stopień pod dziwnym kątem i na moment stracił równowagę. – Czy tobie także wydaje się to dziwne? – zapytał Brunetti.

Na półpiętrze Vianello znowu się zatrzymał.

– Nie chodzi o to, że to jest dziwne, po prostu nigdy nie słyszałem, żeby głucha osoba się zabiła. – Zastanowił się nad tym

i dodał: – Może to dlatego, że jest ich tak niewiele.

Weszli do gabinetu, a kiedy usiedli, Brunetti zagadnął, jakby to było pytanie teoretyczne:

– Czy myślisz, że Nadia zgodziłaby się oddać przysługę?

Vianello uśmiechnął się.

– Zawsze się wykręcasz od mówienia wprost, co? – powiedział. Gdy Brunetti spojrział na niego pytająco, Vianello się roześmiał. – Czy przysługi zwykle nie oddaje się komuś?

Brunetti, który został przejrany, mógł tylko skinąć głową.

– Dla kogo to miałyby być? – zapytał Vianello. – Dokładnie?

– Dla mnie – odparł Brunetti i zaraz się poprawił: – Dla nas wszystkich.

– Dla sprawiedliwości jako takiej? – domyślił się Vianello.

– Tak, jeśli zechcesz to ująć w ten sposób.

– Jaka to przysługa?

– Rozmawiałem z kobietami z pralni chemicznej w pobliżu mojego domu. Znam je od lat, tam właśnie widywałem tego zmarłego mężczyznę. Pozwalały, żeby im pomagał.

– I? – zapytał Vianello.

– Jego matka nie chciała ze mną rozmawiać. Te kobiety powiedziały mi, że ona od dawna mieszka w tej okolicy. Najwyraźniej nie cieszy się najlepszą opinią.

– W przypadku kobiety to zawsze oznacza jedno – zauważył Vianello.

– To prawda – zgodził się Brunetti. – Najwyraźniej byłem zbyt natrączywy, ponieważ w pewnym momencie obie przestały mówić i wiedziałem, że nic więcej z nich nie wyciągnę.

– Co to oznacza? – zapytał Vianello tak samo spokojnym głosem.

– Że potrzebujemy kogoś innego, żeby zadawał im pytania, kogoś mniej groźnego.

– Dlaczego przypuszczasz, że rozmawiałyby z Nadią? – zapytał Vianello, nie zwracając sobie głowy potwierdzeniem, czy o taką przysługę chodziło Brunettiemu. – Ona nie mieszka w pobliżu.

– Wiem. Ale jest wenejanką; każdy, kto jej posłucha, będzie tego pewien. – Vianello popatrzył na niego z powątpiewaniem,

więc Brunetti dodał: – I jest *simpatica*. Ludzie instynktownie jej ufają, widywałem to na własne oczy. – Zanim Vianello zdążył się sprzeciwić, Brunetti dokończył: – Żadna z naszych funkcjonariuszek nie jest na tyle dojrzała, żeby ludzie im ufali.

Vianello odwrócił spojrzenie. Brunetti obserwował, jak inspektor rozważa ten pomysł i jego implikacje. Chociaż Nadia pracowałaby, w pewnym sensie, dla jego własnego pracodawcy, nawet Vianello nie był wolny od instynktownej nieufności wobec organów państwowych. Brunetti patrzył, jak przyjaciel zastanawia się nad możliwością, że Nadia zwróci na siebie uwagę opinii publicznej, że to, co usłyszy i im przekaże, mogłoby w jakiś sposób zostać użyte przeciwko niej, a ostatecznie także przeciwko niemu.

Brunetti zauważył moment, gdy na twarzy Vianella odmalowała się myśl o poruczniku Scarpie i konsekwencjach, które by nastąpiły, gdyby dowiedział się o udziale Nadii – bez upoważnienia – w policyjnym śledztwie. Zaraz potem – nie trwało to nawet jednego uderzenia serca – Vianello powiedział:

– Myślę, że mógłbym zaproponować inną kandydatkę.

Brunetti znowu przebiegł w myślach listę, tym razem biorąc pod uwagę nawet policjantkę Claudię Griffoni, tylko po to, żeby zdyskwalifikować ją natychmiast jako Sycylijkę.

– Kogo? – zapytał w końcu.

– Dokładnie tak jak mówiłeś, *una donna simpatica e veneziana* – powiedział Vianello z uśmiechem. – W dodatku mieszka w tej okolicy.

Całkowicie zbity z tropu Brunetti zastanawiał się, czy Vianello ma na myśli kogoś z innych służb. Czy jakaś funkcjonariuszka *carabinieri* dałaby się namówić do pomocy? Potrząsnął głową, żeby pokazać zakłopotanie, i powiedział:

– Powiedz mi, kto to.

– Paola – rzekł Vianello, a ponieważ wyraz twarzy Brunettiego jasno wskazywał, że nadal go nie rozumie, inspektor dodał: – Twoja żona.

Słowo „ale” pojawiło się w umyśle Brunettiego. Na szczęście nie powiedział go na głos, ponieważ uświadomił sobie, że mogłoby się pojawić jedynie w zdaniu stwierdzającym, iż nie

mógłby poprosić s w o j e j żony, żeby zrobiła coś takiego. Albo nie chciałby. Odwrócił głowę, a potem popatrzył znowu na przyjaciela.

– Rozumiem – powiedział, przyznając się do prawdy.

Brunetti milczał, jakby chciał pozwolić, żeby dźwięk lub zapach rozplynęły się w powietrzu. W końcu się odezwał:

– Nie ma żadnych dokumentów potwierdzających narodziny Davide Cavanelli.

– Jeśli jest weneccjaninem, trudno w to uwierzyć – zauważył Vianello.

– Mógł się urodzić gdzie indziej – odparł Brunetti. – Jego matka jest miejscowa i mówi dialektem weneckim, ale to nie oznacza, że on musiał się tutaj urodzić.

– Od jak dawna go widywałeś? – zapytał Vianello.

– Dziesięć, może piętnaście lat.

Vianello odwrócił głowę, zastanawiając się nad tym.

– Zaczęła już szukać w innych miejscach? – zapytał. Nie musiał nawet wymieniać nazwiska signoriny Elettry ani sugerować, jakie to mogłyby być miejsca.

– Pucetti nad tym pracuje. – Zanim Vianello zdołał wyrazić zdumienie, Brunetti wyjaśnił: – Akt chrztu, dokumenty medyczne i szkolne, renta dla niego i jego matki, dokumenty szpitalne. Proste rzeczy – dodał na końcu, przyznając tym samym, iż pozostawił pozaprawne dochodzenie signorinie Elettrze.

– Nie można od nich uciec, prawda? – powiedział Vianello powoli, zatopiony w myślach. Zanim Brunetti zdążył zadać pytanie, inspektor mówił dalej. – Mogą w tej chwili wejść na moje konto bankowe i dowiedzieć się, gdzie wydają pieniądze i na co je wydają. Albo mogą sprawdzić moją kartę kredytową i zobaczyć, co kupowałem.

Brunetti otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Vianello uniósł dłoń, powstrzymując go.

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć: że my dostajemy i wykorzystujemy te same informacje. – Uśmiechnął się do Brunettiego i poklepał go po ramieniu, jakby chciał przekonać przyjaciela, że nie zamierza zaczynać bredzić. – Pomyśl o czipie w naszych *telefonino* – kontynuował Vianello. – Zapisuje informa-

cje o tym, gdzie byliśmy... no dobrze, gdzie one były. – Znowu podniósł rękę. – Wiem. Wykorzystujemy także i te informacje. Ale kto zostawia swoje *telefonino*? Nawet ten głupiec, który zabił swoją żonę, miał je w kieszeni, kiedy porzucił jej ciało w lesie – przypomniał, nawiązując do niedawnego śledztwa, które udało się zakończyć błyskawicznie z powodu tego niezwykle prostego błędu mordercy.

– O czym w takim razie mówisz? – zapytał Brunetti.

– Że sposób, w jaki o tym myślimy, uległ zmianie, a my nie zastanawiamy się nad tym. Przywykliśmy uważać za normalne, że inni ludzie wiedzą, co kupujemy lub czytamy albo gdzie byliśmy. – Vianello umilkł na chwilę, pozwalając Brunettiemu na wyrażenie zastrzeżeń.

Brunetti nie zrobił tego, więc Vianello dodał:

– A internet? Za każdym razem, gdy coś oglądamy, pozostawiamy za sobą trwały ślad: że czytaliśmy coś albo patrzyliśmy na coś, kupiliśmy coś lub próbowaliśmy kupić, albo, o ile wiem, że przeglądaliśmy rozkład jazdy, żeby się dowiedzieć, jak gdzieś dojechać.

Brunetti poczuł się lekko wytracony z równowagi tym, że patrzył na kogoś innego, ale widział to, co widywał codziennie rano w lustrze, słyszał mówiący głos i rozpoznawał go jako własny. O ile był w stanie stwierdzić, nigdy nie pozostawiał śladów, gdy łamał prawo. Czuł jednak narastającą nerwowość na myśl o czerwonym, jarzącym się śladzie wykroczeń, jaki mogła zostawiać za sobą signorina Elettra. Nie musiał nawet wykryć tego porucznik Scarpa – czy też ktokolwiek powiązany z jej działalnością – żeby wszystko przepadło; kierujący się najlepszymi intencjami dziennikarz mógłby sprawić, że wszyscy znaleźliby się przed sądem, zhańbieni, bez pracy i bez przyszłości.

Odsunął tę myśl, tak jak robił to wiele razy.

– To nas donikąd nie zaprowadzi – zauważył.

Jak każda połówka starego małżeństwa, znajdująca już wszystkie oznaki i wzorce zachowań, Vianello wyduł wargi i przechylił lekko głowę.

– W takim razie zadzwońmy do Pucettiego i dowiedzmy się, co znalazł.

Jak się okazało, młody funkcjonariusz nie znalazł niczego. Podobnie jak dottor Rizzardi, Pucetti nie zdołał odszukać żadnych śladów pobytu Davide Cavanelli na tym świecie; wydawało się, że jeśli brać pod uwagę źródła oficjalne, zaistniał w życiu dopiero, gdy je opuścił. Zanim jego nazwisko zostało zapisane w formularzu towarzyszącym jego ciału w kostnicy przy Ospedale Civile, nie trafiło do żadnego urzędowego rejestru miasta Wenecji. Nie było świadectwa urodzenia; rejestry kościelne nie odnotowały jego chrztu ani pierwszej komunii. Nie chodził do żadnej szkoły w mieście, ani do publicznej szkoły średniej, ani do szkoły specjalnej w Santa Croce dla dzieci niesłyszących. Nigdy nie została mu wydana *carta d'identità*; nigdy nie został zarejestrowany przez służbę zdrowia ani nie był w szpitalu. Nigdy nie występował o prawo jazdy, paszport, pozwolenie na broń czy licencję myśliwską.

Niewiele wiedząc o zmarłym mężczyźnie, Pucetti szukał także dokumentów mogących poświadczyć jego małżeństwo lub rodziny jego dzieci, ale natrafił w rejestrach na identyczną pustkę.

Gdy Pucetti, siedząc obok Vianella przed biurkiem Brunetti'ego, skończył recytować swoją listę braku informacji, trzech mężczyźni pograżyli się w zdumionym milczeniu, aż w końcu Brunetti odezwał się do Vianella:

– Najwyraźniej niektórzy ludzie mogą nadal prześlizgiwać się przez sieć.

– Ale to niemożliwe – odparł z oburzeniem Vianello. – Powinniśmy móc go znaleźć.

Brunetti powstrzymał się od komentarza.

– Szukałem wszędzie, *commissario*, nawet w naszych kartotekach zatrzymań, ale nie ma go tam. Nigdzie. Zszedłem do archiwów, ale nie ma żadnych jego akt – odezwał się Pucetti. Potem, z wahaniem, jakby się obawiał, że posunął się za daleko, kontynuował: – Znalazłem jednak nazwisko Cavanella.

Vianello odwrócił się do młodego policjanta, a Brunetti powiedział:

– To dobrze. Przyniosłeś to?

– Tak – odparł Pucetti, wyjmując wyblakłą tekturową teczkę

z większej leżącej na jego kolanach i podając obie przez blat Brunettiemu. Na aktach było nazwisko „Cavanella, Ana”; zapisane ręcznie, jak zauważył ze zdumieniem Brunetti. Teczka była niegdyś błękitna, ale lata, działanie światła i przenikliwa wilgoć archiwów zmieniły jej kolor na nieapetyczny szary i sprawiły, że tektura stała się nieprzyjemna w dotyku.

– Zaglądałeś do środka? – zapytał Brunetti.

– Nie – powiedział Pucetti. Zaryzykował mały uśmiech i przyznał się: – Ale chciałbym zajrzeć.

– W takim razie zróbmy to – zdecydował Brunetti i otworzył teczkę. Znalazł stary formularz ze skomplikowaną pieczęcią Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przybitą na górze i zajmującą niemal jedną czwartą strony. Poniżej widniały dwa napisane na maszynie akapity. – *Mirabile visu* – powiedział Brunetti i podniósł kartkę, żeby im pokazać.

– *Wow!* – powiedział Pucetti, używając angielskiego wykrzyknika, który zrobił międzynarodową karierę.

– Nigdy wcześniej nie widziałeś pisma maszynowego? – zapytał Vianello, uśmiechając się, ale nie żartując.

– Oczywiście że widziałem – odparł zawstydzony Pucetti.

Brunetti, czytający raport, ledwie ich słyszał.

– sześć łamane na dziewięć łamane na sześćdziesiąt osiem – odczytał na głos. – Podejrzana zatrzymana w Standzie, miała przy sobie w torbie cztery nieotwarte opakowania damskich pończoch, dwie nieużywane szminki oraz stanik (rozmiar trzy) z nieodczepioną metką. Na posterunku policji na Campo San Marcuola okazała *carta d'identità*, zaświadczającą, iż urodziła się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku. Jej pracodawczyni, u której zatrzymana także mieszka, wysłała sekretarkę. Kobieta zidentyfikowała zatrzymaną jako Anę Cavanellę, przedstawiła kopię umowy o pracę podpisaną przez matkę dziewczyny i zabrała dziewczynę do domu. Ze względu na wiek zatrzymanej nie zostaną jej postawione zarzuty, chociaż służby społeczne otrzymały raport o tym incydencie.

Popatrzył na pozostałych, którzy stali się milczącą publicznością.

– Przyjemny detal ten rozmiar stanika – zauważył Vianello.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy – powiedział Pucetti tak, jakby ta data była odległa o wiele lat świetlnych. Pod wieloma względami tak było, przynajmniej dla niego.

– Davide nosi jej nazwisko, a nie swojego ojca – stwierdził Brunetti, odkładając dokument i zamykając teczkę. Otworzył ją, by poszukać nazwiska kobiety, która zabrała Anę Cavanelę, ale nie zostało ono podane. Znalazł jednak adres w Dorsoduro.

Przesunął papier po stole do Pucettiego.

– To adres, który został tam podany. Zajrzyj do archiwów Anagrafe i sprawdź, kto tam mieszkał.

– Myśli pan, że mają to online? – zapytał Pucetti. – To znaczy, tak dawne informacje.

Chociaż Brunetti był wtedy jeszcze dzieckiem, nie myślał o tamtych czasach jako o „tak dawnych”, ale nie podzielił się tą obserwacją z Pucettim. Zamiast tego odparł:

– Nie wiem. Jeśli do nich zadzwonisz, powinni ci to powiedzieć. Jeśli nie, pojedziesz tam i sprawdzisz, czy mają adres w papierowych aktach.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? – pozwolił sobie zapytać Vianello.

Brunetti pomyślał o swoim bardzo krótkim spotkaniu z tą kobietą. Z doświadczenia wiedział, że motywem najczęściej sprawiającym, że ludzie dystansowali się od przerażenia lub rozpaczy, było poczucie winy. Czy to były jej tabletki, te, które połknął Davide? Czy zrobiła mu gorącą czekoladę i dała herbatniki, a on, z pełnym żołądkiem i kręgiem czekolady wokół ust, znalazł jej pigułki nasenne i połknął je; być może widział wcześniej, jak ona to robi przed położeniem się spać, i doszedł do wniosku, że on także powinien?

Poczucie winy miało sens, pasowało do tego, co zaobserwował w jej zachowaniu. W jaki sposób można by je lepiej trzymać na wodzy, niż odmawiając rozmowy albo wręcz akceptacji tego, co się wydarzyło?

– Dlaczego? – powtórzył Vianello. Pucetti w milczeniu obserwował dwóch starszych stopniem kolegów.

– Chodźmy z nią porozmawiać – zaproponował Brunetti, wstając.

Brunetti uznał, że będzie najlepiej, jeśli pójdą wszyscy trzej. On i Vianello, rozumował, reprezentują surowy aspekt prawa: poważni mężczyźni w słusznym wieku. Pucetti, wyglądający bardziej jak student, ze świeżą twarzą pełnego zapału chłopaka, który właśnie przyjechał z prowincji, mógł uosabiać prawo w mniej przerażającym wydaniu. Miał on – rzadką u tak młodych osób – niezrównaną zdolność budzenia zaufania w ludziach. Nie wyuczył się tego, tak jak kot nie musi się uczyć skłaniania ludzi, by drapali go po szyi. Uśmiechał się, patrzył im w oczy, ciekawy ich historii, a oni do niego mówili.

Foa, który siedział beczynnie w kabinie policyjnej motorówki, zabrał ich do San Polo, komentując rześki wiatr na Canale Grande, przekonany, że jest to znak zbliżających się obfitych deszczów. Brunetti był z tego zadowolony: lato było wyjątkowo suche, a Chiara przypominała im o tym z niezmordowaną częstotliwością; nadejście opadów, a tym bardziej ulewy, powinno położyć przynajmniej na pewien czas kres jej kazaniom o zbliżającym się armagedonie.

Gdy od adresu Cavanelli dzieliły ich jeszcze dwa mosty, Brunetti polecił, żeby Foa się zatrzymał i pozwolił im wysiąść. Przybycie trzech mężczyzn, jednego z nich w mundurze policjanta, będzie wystarczająco niepokojące dla signory Cavanelli; nie było sensu podpływać tam policyjną motorówką, zwracając uwagę całej okolicy.

Ponieważ dochodziła szóstą, odesłał Foę do komendy. Oni mogli zaraz po tej wizycie wrócić prosto do domów.

Zadzwoił do drzwi i po całej minucie usłyszał, jak otwiera się okno nad ich głowami. Stała w nim Ana Cavanella.

– To znowu pan? – powiedziała. – Czego pan teraz chce?

– Są pewne rzeczy, które chciałbym pani powiedzieć, *signora*. Dotyczące pani syna. Są też pewne informacje, których będziemy potrzebować do naszych akt. – To była całkowita prawda.

Za plecami usłyszał otwierane okno, ale kiedy odwrócił się, by popatrzeć na dom naprzeciwko, nie zobaczył nikogo, ani śladu ruchu w żadnym z okien.

Gdy znowu spojrzął na signorę Cavanelłę, jej uwaga także skoncentrowała się na domu naprzeciwko i na oknach piętro wyżej. Powiedziała coś, ale Brunetti usłyszał tylko ostatnie słowo: „...krowa”. Potem spojrziała w dół na nich.

– Zaraz przyjdę – powiedziała i dodała, jakby po namyśle: – Ale tylko jeden może wejść.

Mężczyźni przesunęli się pod drzwi. Brunetti powiedział Pucettiemu, żeby ustawił się tak, by to jego zobaczyła najpierw, gdy otworzy drzwi. Vianello bez pytania stanął za nimi, pozwalając, by większość jego sylwetki została zasłonięta przez Brunettiego.

Drzwi się otworzyły. Gdy tylko kobieta zaczęła być w nich widoczna, Pucetti uniósł rękę do głowy i zdjął czapkę od munduru gestem pełnym szacunku. Nie pochylił głowy, ale spuścił oczy pod jej spojrzeniem. Chiara pokazała kiedyś Brunettiemu książkę o zachowaniu psów i to, co wyczuwał od Pucettiego, sprawiało, że miał ochotę zawołać: „Samiec beta!”.

– Bardzo przepraszam, *signora* – odezwał się Pucetti, zachowując ostrożną odległość od drzwi. Nerwowość była wyraźnie słyszalna w jego głosie i widoczna w sposobie, jakim przekładał czapkę z ręki do ręki. Miał rozbiegany wzrok i odwrócił spojrzenie natychmiast, gdy kobieta na niego popatrzyła. A potem, jakby nie potrafił się powstrzymać, zapytał: – Czy pani syn grywał w piłkę na Campo San Polo?

Popatrzyła na niego uważnie.

– Co takiego?

– Czy grywał w piłkę nożną? Na Campo San Polo?

– Skąd to wiesz? – zapytała ostro kobieta, jakby zdradził publicznie wstydliwą tajemnicę rodzinną.

Pucetti odpowiedział, nie odrywając wzroku od swojej czapki:

– Czasem gram tam popołudniami z przyjaciółmi, *signora*. Jeśli mamy czas. Wydaje mi się, że pamiętam, że pani syn grał z nami kilka razy. – Jego dłonie stały się bardziej nerwowe, zaczął zginać materiał czapki, wyginając sztywny brzeg, aż

wszyscy usłyszeli skrzyknięcie. Potem bez większego sensu dodał: – Przepraszam.

– Grałeś tam? – zażądała odpowiedzi.

– Jeśli miałem czas, *signora* – wyjaśnił Pucetti, nie patrząc na nią.

Gdy Brunetti ponownie przeniósł wzrok na jej twarz, zobaczył, że złagodniała w sposób, jakiego nie wahałby się nazwać cudownym. Jej usta rozluźniły się, a wargi stały się znacznie pełniejsze i miększe. Spokój wygładził zmarszczki wokół jej oczu, których nie odrywała od Pucettiego. Widząc po raz pierwszy jej spokojną twarz, Brunetti potrafił sobie wyobrazić, jak atrakcyjna była dawniej.

– *Sì* – powiedziała do młodego mężczyzny. – To go bardzo cieszyło.

Brunetti zastygł jak wąż na kamieniu, zostawiając jej następny ruch. Kobieta cofnęła się o krok i zaprosiła ich, używając liczby mnogiej. Brunetti wszedł do środka i zatrzymał się, odwracając się do dwóch pozostałych mężczyzn po to tylko, by odkryć nieobecność Vianella. Za ledwie zdążył to zauważyć, gdy Pucetti, mrużąc: *Permesso*, wszedł za nim.

Signora Cavanella odwróciła się i ruszyła w stronę słabo oświetlonych schodów. Poszli za nią, starannie unikając jakiegokolwiek komunikacji słowami lub spojrzeniami. Pucetti pilnował także, by iść dwa kroki za Brunettim.

Na szczycie schodów kobieta otworzyła kluczem drzwi swojego mieszkania, ale nawet ta dziwna ostrożność nie skłoniła Brunettiego i Pucettiego do wymiany spojrzeń. W środku przeszła bardzo wąskim korytarzem, który musiał prowadzić na tyły budynku. Pod ślepą ścianą stała niska oszklona gablotka, podobna do tej, jaką miała w domu babka Brunettiego. Widział małe kartonowe pudełka poustawiane w środku, albo może raczej poupychane przypadkowo, ponieważ żaden ze stosów nie był prosty i nie uwzględniał rozmiaru pudełek. Na szczycie gablotki stały figurki, tandetne pamiątki kupowane w kioskach na całym świecie: zobaczył tancerkę flamenco, Eskimosa, niosącą kosz Nubijkę, mężczyznę w wielkim kapeluszu, który równie dobrze mógł być amerykańskim pielgrzymem, jak i holender-

skim wieśniakiem. Figurki stały lub leżały na podniszczonym koronkowym bieżniku, który nie był już ani biały, ani gładki.

Kobieta poprowadziła ich do małego saloniku i po raz kolejny Brunetti odniósł wrażenie, że maszyna czasu przeniosła go do domu babki. Stała tutaj taka sama opasła sofa, pokryta zielonym aksamitem, a wierzch wszystkich trzech poduszek oparcia był chroniony przez małe, poszarzałe pokrowce. Chociaż nie paliła się żadna z lamp, Brunetti zauważył, że miały spłowiałe klosze w kolorze cebuli, z miękkimi frędzlami. Mały telewizor z zaokrąglonymi brzegami stał dokładnie naprzeciwko pękatego fotela. Na jego oparciu wisiał ciemnozielony kocyk zrobiony z materiału kiepsko udającego wełnę. Z boku fotela widać było kilka paciorków wciśniętego między poduszki różańca, którego krzyżyk był ukryty poza zasięgiem wzroku.

Brunetti spojrział przez jedyne okno i zobaczył ścianę domu po drugiej stronie *calle*, oddaloną o niewiele ponad dwa metry.

Signora wzięła oburącz fotel i obróciła go przodem do sofy, którą im wskazała, zanim usiadła. Brunetti zajął miejsce na końcu z prawej strony, a Pucetti z lewej, jakby miał nadzieję, że w ten sposób pokaże przepaść w odczuciach pomiędzy nimi.

Brunetti rozpiął kurtkę; Pucetti siedział prosto, z czapką na kolanach i dłońmi starannie na niej splecionymi.

– Dziękuję, że nas pani wpuściła, *signora* – powiedział Brunetti. Nie marnował czasu na uśmiech, jego twarz wyrażała przyjazne zainteresowanie i nic więcej; urok osobisty pozostał Pucettiemu.

– Chciałbym zadać kilka pytań o pani syna – powiedział i umilkł na chwilę, ale nie zapytała o nic. – Obawiam się, że muszę pani powiedzieć, że prawo wymaga, by ktoś go zidentyfikował. Zazwyczaj jest to ktoś z rodziny, chociaż to nie jest konieczne. Może to także zrobić jego lekarz lub ktoś, kto znał go dobrze.

– Zrobię to – odparła spokojnym głosem.

– Jest w Ospedale Civile. Może tam pani przyjść o dowolnej porze pomiędzy ósmą a siedemnastą, będzie tam doktor Rizzarda lub jego asystent. Jestem pewien, że asystent pomoże pani przy wypełnianiu dokumentów.

– Jakich dokumentów? – zapytała. Miętkość zniknęła z jej twarzy, a zmarszczki wróciły tam, gdzie były, gdy Brunetti rozmawiał z nią po raz pierwszy.

– Istnieje obowiązek informowania Ufficio Anagrafe o wszystkich zgonach w mieście; zazwyczaj procedura polega na wykorzystaniu informacji z dokumentów zmarłego. W ten sposób możemy anulować jego kartę zdrowia i wycofać jego imię i nazwisko z różnych miejskich rejestrów. – Brunetti postanowił nie wspominać o zasiłku, który został wstrzymany po śmierci mężczyzny, podobnie jak dodatek pielęgnacyjny na opiekę nad osobą niepełnosprawną, który pobierała jego matka.

Uniół dłonie w geście, który, jak miał nadzieję, był uspokajający.

– To w zasadzie rutynowa sprawa, *signora*. Będą potrzebować tylko pewnych informacji i pani podpisu, a potem zajmą się przekazaniem tego do odpowiednich urzędów. – Wiedział, że to kłamstwo; biurokratyczne porządki po śmierci członka rodziny potrafiły czasem być równie trudne, jak długa droga do samej śmierci. Śmierć skazywała rodzinę na żałobę, a potem na niekończącą się wędrówkę od urzędu do urzędu. Ustalenie daty mszy i pogrzebu, miejsce na cmentarzu, zamknięcie kont bankowych, wstrzymanie wypłaty zasiłków, anulowanie abonamentu za telewizję i telefon, odcięcie wody, odcięcie gazu, wstrzymanie usług pocztowych. Każda z tych spraw wymagała zazwyczaj co najmniej jednej wizyty w odpowiednim urzędzie; wiele z nich mieściło się w ratuszu, ale niektóre znajdowały się przy Piazzale Roma lub w innym oddalonym przyczółku urzędowości w mieście. Urzędnicy siali dezinformację z nonszalancką pogardą dla czasu, jakiego potrzebowała osoba, której doradzali, by dotrzeć w dane miejsce i przekonać się, że jest w nieodpowiednim urzędzie i prosi o nieodpowiedni formularz lub zaświadczenie. Błędne adresy były rozdawane jak czekoladki nienasyconym dzieciakom.

Przekona się o tym sama, jeśli nie nauczyła się tego przy okazji śmierci rodziców. Ile milionów godzin było codziennie poświęcanych bogom lenistwa i niekompetencji? Jaka część każ-

dego dnia pracy zostawała złożona na ołtarzu Eris, bogini chaosu? Pomyślał, że w Indiach, gdzie jak słyszał, biurokracja była taka, iż Neapol przypominał przy tym Helsinki, to bogini Kali miesza w ludzkich sprawach.

Głos Pucettiego przywrócił go do rzeczywistości. Młody policjant mówił:

– ...najwyżej cztery lub pięć osób w drużynie, *signora*, więc bardzo się cieszyliśmy, kiedy przychodził.

– Znał zasady gry? – zapytała.

– O tak – odparł Pucetti. Opuścił głowę, jakby zamierzał coś wyznać. – Nikt z nas, szczerze mówiąc, nie przepadał za stanieniem na bramce. Ale Davide bardzo dobrze łapał piłkę i rzucał nam ją z powrotem. – Uśmiechnął się i uniósł ręce, jakby imitując podania jej syna. Potem, nagle poważniejszym głosem, powiedział: – Naprawdę mi przykro, *signora*. Lubiliśmy go. I będzie nam go brakowało.

Te komplementy wywołały tę samą transformację i wygładziły część znaków czasu. Usta signory Cavanelli poruszyły się, a Brunetti był ciekaw, jak bardzo odmieniłby ją uśmiech, ale nie uśmiechnęła się, powiedziała tylko:

– Przyjdę jutro rano.

– Dziękuję, *signora* – powiedział Brunetti. – Oszczędzi to wszystkim bardzo wiele czasu, jeśli będzie pani mogła przynieść jego dokumenty.

– Nie mogę – odparła nieoczekiwanie, jakby właśnie uświadomiła sobie niewykonalność tego zadania.

– Dlaczego, *signora*? – dociekał Brunetti.

– Zostały wszystkie ukradzione.

– Nie rozumiem – było jedyną rzeczą, jaka przyszła Brunettiemu do głowy.

– Ktoś włamał się tutaj kilka miesięcy temu i zabrał je.

Brunetti wyciągnął notes z wewnętrznej kieszeni kurtki, otworzył go i wyjął długopis.

– To nic nie da – powiedziała szorstko.

– Słucham?

– Zapisywanie daty. To nic nie da. Nie powiedziałam policji.

Brunetti pozwolił, żeby jego ręce opadły na kolana.

– Dlaczego, *signora*? – zapytał.

– Nikt im nie ufa – odparła, nieświadoma lub nieprzejmująca się tym, że rozmawia z funkcjonariuszem policji.

Brunetti był skłonny się zgodzić, że to zapewne pokrywało się z prawdą, ale nie zamierzał przyznawać tego przed tą kobietą. Zamiast tego podniósł notes i zapytał:

– Co takiego zostało zabrane?

– Wszystko.

– Rozumiem – powiedział Brunetti, a potem, zamiast prosić ją o wymienienie listy, zapytał: – *Carta d'identità*?

– Tak.

– Akt urodzenia i świadectwo chrztu?

Usiadła głębiej w fotelu i założyła nogę na nogę. Miała na sobie ciemną sukienkę, a ten ruch spowodował, że jej brzeg podjechał do połowy łydki; Brunetti nie mógł nie zauważyć, że ma zgrabne i długie nogi.

– O, to zgubiłam dawno temu. Kiedy się przeprowadzaliśmy.

– W odpowiedzi na jego spojrzenie wyjaśniła: – Wie pan, jak to jest.

– Oczywiście – powiedział Brunetti, który nie wiedział, jak to jest, po czym zanotował to. – Gdzie urodził się pani syn? – zapytał łagodnie. – I kiedy?

Chociaż mogło wydawać się oczywiste, że jego pytania do tego prowadzą, kobieta wydawała się zaskoczona.

– We Francji – powiedziała. – Pracowałam tam. Oboje pracowaliśmy, mąż i ja.

– Rozumiem. A w jakim mieście?

– Nie wiem – odparła spokojnym głosem mimo pytającego spojrzenia Brunettiego.

– Jak to możliwe, *signora*? – zapytał, odkładając notes na kolana, by skoncentrować się na jej odpowiedzi.

– Pracowaliśmy w niewielkiej wsi w pobliżu Poitiers, a lekarz powiedział nam, że są jakieś komplikacje z ciążą i powinnam urodzić dziecko tam, w szpitalu, ponieważ jest o wiele lepiej wyposażony. Kiedy zaczęły się bóle, mój mąż i ja pojechaliśmy. Samochodem. Pożyczył go nam przyjaciel. Ale mój mąż nie znał drogi, wylądowaliśmy w małym miasteczku i mogliśmy

tylko znaleźć gabinet lekarski, gdzie urodziłam dziecko.

– Czyli nazwa miejscowości powinna być na akcie urodzenia, prawda? – zagadnął z przyjaznym uśmiechem Brunetti.

Kobieta skinęła głową.

– Tak, ale nie wszystko poszło dobrze, byłam potem bardzo chora i przez miesiąc leżałam w szpitalu w Poitiers, a kiedy mnie wypuścili, uznaliśmy, że mamy dość Francji, więc zabraliśmy Davide i wróciliśmy do Włoch. Wtedy właśnie zgubiliśmy dokumenty.

– Przeprowadzili się państwo do Wenecji?

Wahała się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała:

– Nie, mieszkaliśmy z rodziną męża.

Brunetti znowu podniósł notes.

– Czyli gdzie dokładnie, *signora*? – zapytał.

– Dlaczego chce pan to wszystko wiedzieć? – zapytała ostro, a w jej głosie zabrzmiał upór.

– Ponieważ to im będzie potrzebne, *signora*. Nie o to chodzi, że mnie to szczególnie interesuje – odparł swobodnie, tak jakby mówił szczerze – ale ludzie w szpitalu będą potrzebować tych informacji, żeby ich system mógł działać. – Uśmiechnął się i potrząsnął głową, jakby chciał zasugerować, że uważa to za tak samo absurdalne jak ona.

– W takim razie im powiem – odparła z tą samą nutą agresywności w głosie, którą słyszał, gdy rozmawiała z nim po raz pierwszy.

Pucetti odezwał się tak, jakby po prostu nie był w stanie dłużej milczeć.

– Myślę, że *signora* powinna podawać te informacje tylko raz, *commissario*. – W jego głosie brzmiała najszczerza uległość, jednak dało się wyczuć stalowe zdecydowanie, które popchnęło go do działania: pozwólcie tej nieszczęsnej kobiecie na chwilę spokoju w żałobie. W jego słowach nie było cienia niesubordynacji, ale zachowanie jasno dowodziło, że uznał się za paladyna zrozpaczonej straty syna matki i robi wszystko, by chronić ją przed zimną obojętnością swojego przełożonego.

– Niech będzie – powiedział Brunetti, chowając notes i wstając. – W takim razie zostawimy panią w spokoju, *signora* – do-

dał tonem sugerującym jego podwładnemu, że to jeszcze nie koniec tej sprawy. Skinął głową signorze Cavanelli i rzucił Pucettiemu surowe spojrzenie, w którym nagana mieszała się z ostrzeżeniem.

Przy drzwiach odwrócił się do Pucettiego i powiedział głosem ciężkim od sarkazmu:

– Jeśli chcesz dopilnować, żeby *signora* nie była prześladowana także przez pracowników szpitala, to może pojedziesz tam z nią, żeby mieć na nią oko?

Pucetti otworzył usta, żeby się bronić, ale spojrzał na signorę Cavanellę, jakby chciał zapytać, czego ona chce. Potem opuścił głowę i pozwolił, żeby minął odpowiedni moment.

– Byłoby bardzo miło z jego strony, gdyby mógł pojechać ze mną – oznajmiła signora Cavanella, a Brunetti nawet nie próbował ukrywać furii, która przez moment pojawiła się na jego twarzy.

– Niech będzie, skoro tak pani chce. – Odwrócił się do drzwi.
– Zostawię państwa, żebyście umówili się na pasującą wam godzinę – powiedział i wyszedł z mieszkania, nie zwracając sobie głowy cichym zamykaniem drzwi.

Brunetti skręcił w pierwszą *calle* po prawej, poirytowany, że dalszy ciąg sceny znalazł się poza jego kontrolą i że nie pomyślał, by zapytać kobietę o pastylki, które zabiły jej syna. Kiedy zbliżył się do baru na rogu, w drzwiach zmaterializował się Vianello.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

Brunetti podszedł do niego.

– Pucetti popełnił poważny błąd, wstępując do policji – powiedział. – Mógłby zrobić karierę jako aktor.

Vianello wycofał się do baru i podszedł do stolika przy oknie, z dobrym widokiem na *calle*, co wyjaśniało jego nagłe pojawienie się w drzwiach. Kieliszek białego wina stał po lewej stronie dzisiejszej „Il Gazzettino”; Brunetti skinął na barmana i wskazał kieliszek.

Gdy Brunetti odsuwał krzesło, Vianello złożył gazetę i odłożył ją na bok.

– Opowiadaj – powiedział.

– Kiedy byliśmy jeszcze na zewnątrz – zaczął Brunetti – a ty zniknąłeś jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Pucetti kompletnie zniemacka zapytał ją, czy jej syn grywał w piłkę nożną na Campo San Polo.

Vianello skrzywił się, słysząc te słowa, i podniósł kieliszek.

Barman podszedł i postawił drugi kieliszek wina przed Brunettim, który podniósł go i wypił łyk.

– Powiedział, że grywał tam w piłkę z przyjaciółmi, a jej syn czasem był bramkarzem. – Zanim jeszcze Vianello zdążył to skomentować, Brunetti dodał: – Wiem, Pucetti mieszka w Castello, więc nie mam pojęcia, dlaczego miałby grywać w piłkę na placu San Polo.

– On nie znosi sportu – uzupełnił Vianello. – Któregoś dnia czytałem w pokoju odpraw „Gazzetta dello Sport”, a gdy on to zobaczył, powiedział, że nie cierpi piłki nożnej i mdli go, kiedy

musi o tym czytać albo słuchać, jak ludzie o tym rozmawiają. – Dopił wino i odstawił kieliszek na stół. – Więc możesz sobie od razu wybić z głowy, że grał w cokolwiek, a w szczególności w piłkę nożną na Campo San Polo.

Brunetti przez chwilę poruszał kieliszkiem, mieszając wino.

– W takim razie jest jeszcze bardziej przebiegły, niż przypuszczałem – stwierdził.

– A ta kobieta? – zapytał Vianello.

– Kłamała. Wymyśliła sobie włamanie, żeby wyjaśnić brak dokumentów; najwyraźniej nic nie miała, albo on nic nie miał. Akt urodzenia i świadectwo chrztu zaginęły, gdy przeprowadzali się tutaj z Francji. Gdzie, jak twierdziła, on się urodził. – Brunetti wypił wino i postawił kieliszek koło kieliszka Vianella.

– Dlaczego miałyby kłamać w takiej sprawie? – zastanowił się Vianello. Nie było w tym przypuszczenia, że Brunetti chowa w zanadrzu odpowiedź, ale zaproszenie do spekulacji.

– Może ukradła go sprzed supermarketu, bo chciała mieć dziecko – podsunął Brunetti.

– Albo wychowywała dziecko kogoś z rodziny – skontrolował Vianello. – Nikogo nie obchodzi, czy kobiety, które mają dzieci, są mężatkami, czy też nie.

– Teraz tak – przyznał Brunetti. – Jej syn urodził się jakieś czterdzieści lat temu. Wtedy było inaczej. Pomyśl o czasach, kiedy byliśmy dziećmi, i co nasi rodzice mówili o niezamężnych kobietach, które miały dzieci.

Vianello zastanowił się przez chwilę.

– Ale to, że słyszeliśmy, co rodzice o nich mówią, oznaczało, że niezamężne kobiety miały dzieci i działa się to dostatecznie często, żeby było o czym mówić. To znaczy, przy dzieciach – zauważył.

Cofając się pamięcią do czasów dzieciństwa, Brunetti musiał przyznać, że Vianello miał rację. Pamiętał, jak jego rodzice, właściwie jego matka i jej przyjaciółki, mówią o innych kobietach w sąsiedztwie, które bez kościelnego błogosławieństwa mieszkają z mężczyznami i mają z nimi dzieci. O ile pamiętał, dla jego matki liczyło się tylko to, czy dobrze traktują dzieci, co oznaczało pilnowanie, by były czyste, dobrze wychowane i sza-

nowały starszych, a także były obficie karmione i posyłane do szkoły, gdzie sobie dobrze radziły. Ale to była jego matka; wątpił, czy jej przyjaciółki podzielały tak elastyczną wizję moralną.

Jego rozważania przerwało wejście Pucettiego, który zobaczył ich z ulicy. Podeszedł do stolika i powiedział:

– Mam nadzieję, że nie mają panowie nic przeciwko, jeśli się napiję, mimo że jestem w mundurze.

– Tylko jeśli pozwolisz, że ja zapłacę – powiedział Brunetti i podeszedł do baru, by zamówić dla niego kieliszek białego wina. Kiedy wrócił, Pucetti siedział naprzeciwko Vianella i opowiadał mu o wizycie.

– Mam tam podejść i wstąpić po nią o dziesiątej jutro rano, a potem zabrać ją do szpitala – powiedział, biorąc od Brunettiego wino. Wypił szybko łyk i odstawił kieliszek. Odwrócił się do Brunettiego. – Mam nadzieję, że domyślił się pan, że nie chciałem okazać braku szacunku.

Brunetti roześmiał się, w czym zawtórował mu Vianello, a potem także Pucetti. Komisarz spojrział na Vianella i powiedział:

– Powiniesz go usłyszeć: „Myślę, że *signora* powinna podawać te informacje tylko raz”, a potem po najkrótszej chwili wahania dodał: „*commissario*”. – Popatrzył na młodego policjanta, zarumienionego z zawstydenia, i powiedział: – Dobra robota, Pucetti. – Następnie zapytał, poddając się ciekawości: – Skąd wiedziałeś o piłce nożnej?

Pucetti podniósł kieliszek i zamieszał wino. Jak pomyślał Brunetti, po to, żeby mieć na co patrzeć, gdy mówił.

– Chłopaki w pokoju odpraw rozmawiali o Cavanelli i jeden z nich, Corolla, powiedział, że grywał tam dawniej w piłkę i że pozwalali mu, to znaczy Cavanelli, stać na bramce, bo było im go żal. Często się przewracał, ale umiał grać dostatecznie dobrze, a poza tym nikt nigdy nie chce być bramkarzem. Powiedział, że wszyscy starali się, żeby się dobrze bawił – kontynuował Pucetti. – Klepali go po ramieniu, jeśli złapał piłkę albo obronił gola.

Skoro to zostało wyjaśnione, Brunetti przeszedł do rzeczy, pytając Pucettiego:

– Co myślisz o jej historii? – Żeby mu pomóc, dodał: – Przy-

szy nam do głowy dwa możliwe wyjaśnienia, czyli że ukradła komuś dziecko – uśmiechnął się, dając znać, że nie należy tego traktować poważnie – lub też wychowywała dziecko kogoś z rodziny. A może nawet przyjaciółki. – Uczciwość kazała Brunettiemu uzupełnić to, zanim jeszcze Pucetti wyraził opinię o jego propozycjach. – Nie wydaje mi się, by którakolwiek z tych teorii była prawdziwa. – Widział, albo przynajmniej tak mu się wydawało, podobieństwo w rysach twarzy i nie wątpił ani przez chwilę, że signora Cavanella była matką zmarłego mężczyzny.

– Ja uważam tak samo – dodał Vianello. – Myślę, że najbardziej oczywistym powodem jest to, że ojciec dziecka nie był jej mężem.

– Co to za różnica? – zapytał Pucetti. Pytanie, a jeszcze bardziej wyraźnie widoczne na jego twarzy zdumienie dowodziły jego wieku i pokolenia, z jakiego pochodził.

– Kiedyś tak było, Roberto – zapewnił go Vianello. – Możesz mi wierzyć. Gdy twoi dziadkowie byli w naszym wieku, wszyscy przyzwoici ludzie unikali kontaktów z kobietami mającymi nieślubne dzieci; zdarzało się nawet, że odbierano im dzieci i umieszczano je w sierocińcach.

Starsi mężczyźni patrzyli, jak Pucetti zastanawia się nad tymi słowami z wyraźnym niezrozumieniem, tak widocznym, jakby mu ktoś powiedział, że w dawnych czasach posyłano do pracy już ośmioletnie dzieci. Być może dlatego, że przez pierwsze dziesięć lat życia Brunetti mieszkał z rodzicami i dziadkami, miał instynktowną, autentyczną wiedzę o tym, jak było dawniej. Pucetti dorastał w świecie komputerów i swobód obyczajowych, więc myśl o tym, że kobieta mogłaby zostać wykluczona ze społeczeństwa w chwili urodzenia dziecka, była dla niego tak samo dziwaczna, jak pomysł, że ludzie byliby skłonni umierać raczej dla obrony idei niż dla posiadania jakiegoś obiektu.

Starsi mężczyźni najwyraźniej w tym samym momencie zdecydowali, że upieranie się przy lekcji historii jest bezcelowe.

– Czy mówiła coś jeszcze? – zapytał Brunetti.

Pucetti, także zadowolony z powrotu do teraźniejszości, odparł:

– Rozwinęła trochę tę historię o Francji. Okazało się, że jej

mąż był Francuzem i porzucił ją niedługo potem, jak przywiózł ich z powrotem do Włoch.

– Gdzie, jak twierdziła, mieszkali jego rodzice? – przypomniał sceptycznie Brunetti.

Pucetti uśmiechnął się.

– Powiedziała mi, że tak bardzo się pana bała, że wszystko jej się pomyliło. Najwyraźniej pojechali do jego rodziców do Francji, a potem wrócili do Włoch, chociaż nie powiedziała, gdzie zamieszkali. – Jego głos był neutralny, zostawiał swoim towarzyszom decyzję, na ile wierzyć tej opowieści. – Mieszkał z nimi bardzo krótko, a potem wrócił do Francji i nigdy więcej się z nią nie kontaktował.

– Nazywała go swoim mężem? – zapytał Vianello.

Pucetti wzruszył ramionami.

– Miałem przeczucie, że mógł to być tylko tytuł grzecznościowy. I wydawała się niepewna tego, gdzie mieszkali we Francji.

– Wspominała o Poitiers – przypomniał Brunetti.

– Wiem – oznajmił Pucetti z bardzo przebiegłym uśmiechem.

Vianello wyciągnął rękę nad stołem i szturchnął go w ramię.

– No dalej, Roberto, co jeszcze zrobiłeś, że jesteś taki dumny z siebie?

– Powiedziałem jej, że byłem tam kiedyś z moimi rodzicami, jako małe dziecko, i uwielbiałem bawić się na plaży.

Vianello oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. Potrząsnął głową.

– Ty przebiegły draniu – powiedział głosem stłumionym przez ręce. Potem popatrzył na niego wprost i zapytał: – Co powiedziała?

– Że z powodu dziecka nie miała czasu chodzić na plażę. Ale mąż mówił jej, że jest bardzo piękna. – Po krótkim wahaniu Pucetti powiedział z wyraźnym żalem w głosie: – To naprawdę było zbyt proste. Prawie było mi jej szkoda.

Użycie przez niego słowa „prawie” nie umknęło uszom Brunettiego, jednak powiedział tylko:

– Czyli nigdy nie była w Poitiers, ale jeśli ją o to zapytamy, powie po prostu, że pomyliło jej się z jakimś miastem nad morzem. Nawet jeśli ta historia jest prawdziwa, nie mamy możli-

wości sprawdzić. Francuzi nie będą z nami współpracować. Nie wierzę jej, ale gdyby to była prawda, dziecko zostałoby zarejestrowane pod nazwiskiem ojca, którego my nie znamy.

Pucetti wykonał drobny ruch, który przypominał Brunettiemu ucznia podnoszącego rękę w klasie.

– Jeśli mogę zapytać, *commissario*, dlaczego to dla pana takie ważne?

– Ponieważ opowiada zbyt wiele kłamstw – odparł bez wahania Brunetti. – Chcę wiedzieć, z jakiego powodu kłamie.

Postanowił powiedzieć im o czymś, co uświadomił sobie po rozmowie z Rizzardim.

– On nie może zostać pochowany, dopóki nie uda się go zidentyfikować.

– Czy to nie dlatego mam jutro rano jechać z jego matką do szpitala? – zapytał Pucetti. – Ona go na pewno zidentyfikuje.

– To nie wystarczy – odparł Brunetti, zdając sobie sprawę, jak zimno brzmi to stwierdzenie.

– Dlaczego? – zapytał Pucetti. Brunetti wiedział, że Vianello rozumie powody, i chciał, żeby Pucetti dowiedział się tego w taki sposób, by nigdy o tym nie zapomniał.

– Ponieważ musi istnieć jakiś oficjalny dowód, że zmarła osoba jest tą, za którą się ją uważa. Signora Cavanella może nazwać każdego swoim synem, a ten mężczyzna może być każdym człowiekiem. Dopóki ona nie będzie w stanie dostarczyć dokumentów poświadczających, że on jest tym, za kogo ona go uważa, państwo nie uwierzy jej na słowo. – Aby uniemożliwić Pucettiemu powiedzenie czegoś, czego mógłby później żałować, Brunetti dodał: – Zastanów się nad tym przez chwilę. Ludzie nie mogą zostać pochowani, dopóki nie ma pewności, kim są. – Potrafił znaleźć przykłady będące argumentami przeciwko temu twierdzeniu: kobieta, która rzuciła się z mostu, a jej ciało znaleziono dwieście kilometrów dalej; niezidentyfikowane ciało znalezione w polu. Uważał jednak, że najważniejsze jest przedstawienie zasady: niezidentyfikowane ciało nie może zostać złożone w ziemi, dopóki nie zostaną podjęte wszelkie wysiłki w celu ustalenia jego tożsamości. Uświadomił sobie, że ateizm, może powiązany z magią i tabu. Zmarli zasługiwali przy-

najmniej na to, żeby ich rozpoznać, a żywi zasługiwali przynajmniej na to, by wiedzieć, że ludzie, których kochali, są martwi, a nie zaginieni.

– Zabierz ją do Rizzardiego – powiedział do Pucettiego.

Vianello popatrzył na Pucettiego, jakby oceniał, czy podważać autorytet Brunettiego lub też jego decyzje w obecności umundurowanego policjanta. Uznał najwidoczniej, że młody człowiek jest dostatecznie dyskretny, ponieważ rzekł:

– Zachowujesz się tak, jakbyś nie wierzył, że to była przypadkowa śmierć, Guido.

To, że Vianello powiedział to przy młodszym policjancie, było oznaką zaufania, a przynajmniej tak postanowił zakładać Brunetti.

– Myślę, że była – stwierdził. – Prawdopodobnie uznał, że pigułki to coś do jedzenia, coś dobrego, skoro matka chowała je przed nim.

Tym, co go trapiło, nie były okoliczności śmierci mężczyzny, ale to, że zdołał przeżyć czterdzieści lat, nie pozostawiając żadnych urzędowych śladów swojego istnienia. Ta tajemnica i związany z nią smutek nie dawały spokoju Brunettiemu, choć nie chciał wyrażać tego na głos.

Po kolacji Brunetti powiedział Paoli o rozmowie z signorą Cavanellą i jej odmowie zdradzenia jakichkolwiek informacji dotyczących syna, a także o kłamstwach, które opowiadała zarówno jemu, jak i Pucettiemu, by wytłumaczyć brak dokumentów.

– Dlaczego miałyby kłamać w sprawie swojego syna? – zapytała Paola. – Przecież nie trzymała go przez te czterdzieści lat zamkniętego na strychu, prawda? – Usiadła wygodniej na podniszczonej starej kanapie, stojącej w jej gabinecie; spędzała tyle czasu w tej wygiętej pozycji, że czasem zastanawiał się, jak może w ogóle stać prosto i chodzić.

– To by sugerowało, że w ogóle nie był jej synem – rzekła, ale było to przypuszczenie, a nie zapytanie.

– Widziałem go tylko kilka razy, tak samo jak ty, ale był do niej podobny – powiedział Brunetti.

– Nie potrafię jej sobie przypomnieć – stwierdziła Paola, zamykając oczy i opierając głowę na oparciu sofa. – Ale mogłam nie zwrócić na nią uwagi. Po sześćdziesiątce, źle ufarbowane włosy, zgrabne nogi, ładna skóra, nadal atrakcyjna. W tym mieście są tuziny kobiet odpowiadających temu opisowi. – Milczała przez chwilę. – Ciekawe, gdzie ona pracuje.

– Dlaczego myślisz, że pracuje?

– Ponieważ manna spada z nieba tylko w Biblii, Guido. – Uśmiechnął się, czym zachęcił ją do dalszego mówienia. – Naszym nowym obowiązkiem jest pracować, dopóki nie padniemy, pamiętasz? Zanim zdążymy tego dożyć, oni wydłużą czas pracy do osiemdziesiątki. – Urwała na chwilę i dodała: – Nie, jestem niesprawiedliwa wobec naszych przywódców. Zlitują się nad kobietami i pozwolą nam przejść na emeryturę w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat.

– Nadal nie rozumiem, czemu ona zachowywała się tak dziwnie – powiedział Brunetti, przyzwyczajony do nagłych wtrąceń Paoli dotyczących rządu, każdego rządu, i równie przyzwycza-

jony do ignorowania ich.

– Ludzie są dziwni, jak bezustannie mi powtarzasz.

Przypomniawszy sobie rozmowę, jaką odbył tego dnia z Vianellem, i jego założenie, że ludzie są nadmiernie na widoku i pod obserwacją, nie tylko ze strony władz, ale każdej firmy zdolnej znaleźć sposób na szpiegowanie ich życia. Myśląc o przyjacielu, Brunetti poczuł kolejne ukłucie wstydu na wspomnienie arogancji, jaką było zasugerowanie mu, żeby poprosić Nadię o pomoc w śledztwie.

– Nie rozumiem tego – oznajmił, klepiąc Paolę po nodze i wstając. – Położę się do łóżka z Lukrecjuszem.

Rzuciła mu długie spojrzenie, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Jako twoja żona błędną na myśl o tym, że idziesz do łóżka z mężczyzną, który chce ci wyjaśnić Naturę Rzeczy.

Odwzajemnił uśmiech i wyciągnął do niej rękę.

– Masz ochotę spróbować go zastąpić? – zapytał.

Paola podniosła się z kanapy.

*

Następnego dnia rano nadciągnął deszcz, który Foa czuł w powietrzu; Brunetti włożył płaszcz przeciwdeszczowy i wziął parasol, wychodząc z domu. Postanowił popłynąć „jedyneką” z San Silvestro do Zattere i zatrzymał się, żeby kupić na drogę dzisiejsze „Il Gazzettino”. Na pokładzie zauważył, jak niewiele osób czytało gazetę; jak niewiele, w gruncie rzeczy, czytało cokolwiek. Oczywiście przesuwające się koło nich powoli najpiękniejsze na świecie widoki mogły odciągać je od zamieszczanych w „Il Gazzettino” zdawkowych opisów i błędnych analiz wydarzeń na świecie, ale mimo wszystko stale go zaskakiwało, jak niewielu ludzi lubiło czytać. On czytał, Paola czytała, dzieci czytały, ale uświadomił sobie, jak rzadko rozmawiał o książkach lub spotykał osobę, która wydawałaby się nimi żywo zainteresowana.

Skarcił się w duchu, do czego zawsze miał skłonności. Oto znowu zakładał, że potrafi zgadnąć, o czym z pewnością myślą inni ludzie; że jego poglądy są powszechnie podzielane. Lukrecjusz wiedział, że to, co dla jednego jest pokarmem, dla innego

może okazać się trucizną, i tej życiowej lekcji starał się nauczyć Brunetti.

Brunetti zmagał się z tymi rozważaniami, studiując ludzi po przeciwnej stronie łodzi, a jego gazeta leżała zapomniana na kolanach, czyniąc go kolejnym z tych, którzy siedzieli w *vaporretto*, wpatrując się w przestrzeń bez wyraźnego celu.

Wysiadł przy San Zaccaria i poszedł w deszczu do komendy. Wszedł do swojego gabinetu, strzepnął parasol tak, że zaczęłyby skomleć, gdyby mógł, odwiesił płaszcz do szafy na korytarzu i chodził w koło, aż jego buty przestały zostawiać mokre ślady na podłodze.

Włączył komputer i sprawdził e-maile, praktycznie nie zauważając, jak bardzo weszło mu to w nawyk w ciągu kilku ostatnich lat. Nie musiał już zaglądać do gabinetu signoriny Elettry lub do pokoju odpraw, by dowiedzieć się, co się dzieje; większość informacji czekała w jego komputerze. Były to jednak informacje bez niuansów, bez jawnego sceptycyzmu, z jakim Vianello przyjmował niektóre raporty, i bez analiz signoriny Elettry, pozwalających na zrozumienie wielu spraw.

Znalazł zaproszenie na konferencję w Palermo, mającą „wspierać koordynację działań pomiędzy lokalnymi społecznościami a organizacjami powołanymi do ochrony porządku w społeczeństwie”. Odsunął fotel i zapatrzył się w okno, pozwalając, by spłynęła na niego Chmura Ironicznej Rozpaczy. Czy to znaczyło, że został zaproszony na spotkanie mieszkańców Palermo z policją, czy też osoby zajmujące się przygotowaniem tej konferencji miały poczucie humoru i chodziło o spotkanie lokalnych społeczności z mafią, jedyną organizacją na tyle sprawnie zarządzaną, mającą jasno sprecyzowane cele działalności i wolną od infiltracji, by mogła zająć się ochroną porządku w społeczeństwie i jak najskuteczniej wysysać z niego resztki życia? W pierwszym odruchu chciał się komuś tym pochwalić, przesłać zaproszenie do Vianella i zapytać, czy ta druga możliwość jest trafna, ale nawyk niezostawiania śladów stał się jego drugą naturą, więc oparł się tej pokusie.

Wśród pozostałych e-maili znalazł wiadomość od Pucettiego: właśnie wychodził, by towarzyszyć signorze Cavanelli, ale

chciał przekazać Brunettiemu, że jego kuzyn chętnie porozmawia z nim o wspomnianej wcześniej sprawie. Podał numer *telefonino* i nic więcej. Brunetti wybrał ten numer na własnej komórce.

– Bianchini – odezwał się męski głos po trzecim dzwonku.

– Dzień dobry, signor Bianchini, mówi przyjaciel pana kuzyna, Roberta. Zasugerował mi, żebym do pana zadzwonił.

– Aha – odparł mężczyzna, a potem dodał, wiedząc, że nie ma sensu wspominać celu tej rozmowy: – Pomyślałem, że mogliśmy się spotkać na kawie.

Brunetti spojrzął na zegarek.

– Mam dzisiaj przed południem niewiele pracy – oznajmił, chociaż nie wiedział tego na pewno, ponieważ nie przeczytał pozostałych e-maili – dlatego mogliśmy się spotkać o dowolnej porze, jaka by panu odpowiadała.

– Tak się składa, że ja także jestem wolny przed południem. Może w tym barze koło Ponte dei Greci? Przypuszczam, że go pan zna.

– Tak – odparł neutralnie Brunetti.

– O jedenastej?

– Zgoda – powiedział Brunetti i zakończył rozmowę grzecznym pożegnaniem.

Komisarz pomyślał, że Pucetti zdołał wyjątkowo szybko przekonać kuzyna do rozmowy z nim. Siedział przez chwilę i zastanawiał się od nowa nad dziwną gorliwością, z jaką Patta omawiał sytuację na Campo San Barnaba. Pattę obchodziły jego rodzina i praca, więc było mało prawdopodobne, by poprosił Brunettiego o pomoc, jeśli jedna z tych dwóch rzeczy nie była zagrożona. A może chodziło tu tylko o działania Patty mające na celu zdobycie przychylności burmistrza, rodzaj depozytu w banku oddanych przysług?

Czy wszędzie tak było? – zastanawiał się Brunetti. Czy wszystko było powiązane i władza w jednym miejscu automatycznie stawała się sprzymierzeńcem władzy w innym miejscu? Czy chroniły same siebie i siebie nawzajem, a reszta świata mogła iść do diabła?

Przypomniał sobie, że Rizzardi miał przesłać raport na temat

stanu użębienia zmarłego mężczyzny, dlatego przewinął listę wiadomości, ale nie znalazł e-maila od patologa. Od autopsji minęły dwa dni, więc raport powinien zostać już złożony.

– „Powinien zostać” to nic nie znaczy – powiedział na głos.

Napisał e-mail, powiadamiając Rizzardiego, że raport do niego nie dotarł, i prosząc patologa, by pamiętał o informacji o zębach. Miał go właśnie wysłać, gdy pomyślał o drażliwości Rizzardiego. Skasował ostatnie zdanie i napisał zamiast tego, że jest szczególnie zainteresowany, co ustalono w sprawie użębienia, ponieważ to może okazać się jedynym sposobem na fizyczną identyfikację zmarłego mężczyzny. Wysłał tę wersję. Przypomniał sobie, jak jego przyjaciel, który pracował jako agent gwiazd muzyki, użył kiedyś określenia *diva dienst*, aby opisać sposób, w jaki musiał traktować niektórych piosenkarzy, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Było to połączenie szacunku, uwielbienia i gotowości do odgadywania najmniejszych nawet zachcianek. Oto teraz on, komisarz policji, zajmował się *doctor dienst*.

Gdy przeczytał e-maile, zajął się papierowymi dokumentami do przejrzenia. Udało mu się z pierwszymi trzema, które zrozumiał, podpisał i przełożył na drugą stronę biurka. Jednakże czwarty, raport dotyczący zwiększenia liczby kradzieży kieszonkowych, kradzieży z włamaniem i rozbojów, sprawił, że Brunetti całkiem dosłownie zaczął sobie rwać włosy z głowy. Właśnie w tym momencie Claudia Griffoni, najnowsza z pozostałych komisarzy, zastukała do jego drzwi i weszła, nie czekając na odpowiedź. Eleganckie nogi były dzisiaj na wpół widoczne spod ciemnozielonej wełnianej spódnicy, a resztę jej osoby zasłaniał długi beżowy sweter z golfem.

– Ukrywa się pan? – zapytała.

– Przed rzeczywistością – przyznał Brunetti. Wskazał dokument. – Czytam właśnie o dwudziestoośmioprocentowym wzroście włamań w ostatnich sześciu miesiącach.

– Zgłoszonych włamań – poprawiła go, przypominając, że powinien dodać do tego wysnutą z własnego doświadczenia prawidłową liczbę osób, które nie zwracały sobie już głowy zgłaszaniem przestępstw. – Jednakże amnestia nie była pozbawio-

na sensu – zauważyła, przechodząc przez pokój i siadając na jednym z krzeseł przed biurkiem. – Skoro więzienia są pełne, a Europejski Trybunał Praw Człowieka krzyczy na nasz rząd, to trzeba wypuścić część przestępców, chociażby po to, by zrobić miejsce dla kolejnych.

Nie znalazł na to odpowiedzi. Wokandy były tak przepelnione, że w przypadku apelacji trzeba było w Wenecji czekać dzie więć lat na rozprawę. Pijani kierowcy, którzy zabijali całe rodziny, byli umieszczani w areszcie domowym. Stale nasilała się klątwa kontroli mafijnej nad krajem, ale, czemu nie należało się dziwić, żaden rząd nie był skłonny do badania wzrastającej symbiozy mafii i polityki.

– Może porozmawiamy o pogodzie? – zaproponował.

Uśmiechnęła się, co poprawiło mu trochę humor.

– Z przyjemnością, ale obawiam się, że muszę pomówić z panem o naszym Mrocznym Nemesis.

– Co takiego znowu zrobił?

– Tu nie chodzi o to, co Scarpa robi, prawda? – zapytała. – Raczej o to, czego nie pozwala zrobić.

– Na przykład?

– Foa został zaproszony przez Guardia Costiera, żeby spędził z nimi tydzień, poczynając od pierwszego dnia miesiąca.

– W jakim celu?

– Żeby zaznajomić ich z wybrzeżem i miejscami, gdzie małe łodzie mogą przybijać do brzegu.

– Co takiego jest przemycane?

– Papierosy – wyjaśniła. – Ale o tym pan wie.

Brunetti skinął głową.

– Wydaje się, że teraz zaczęli także przemycać ludzi. Przynajmniej tak uważa Guardia Costiera.

– Skąd?

– Małe łodzie przyplývają z Albanii i Chorwacji, ale wszystko wskazuje na to, że większe statki czekają dalej od brzegu, a ich pasażerowie przesiadają się do mniejszych łódek, żeby tu wylądować.

– Jakie statki?

– Frachtowce, tankowce. Niektóre tak duże, że mogą z łatwo-

ścią zabierać po pięćdziesiąt osób.

– I nikt tego nie zauważył? – zapytał.

Znowu się uśmiechnęła.

– Myśli pan, że załogę obchodzi, co się z nimi stanie? Większość z nich i tak jest nielegalnymi imigrantami, więc są zapewne skłonni pomagać ludziom, którzy ich zdaniem są w podobnej sytuacji.

– Dlatego poprosili o pomoc Foę?

Skinęła głową.

– Ich dowódca wysłał zaproszenie. Foa mówił mi, że wielu przydzielonych tutaj marynarzy pochodzi z południa i nie zna w ogóle wybrzeża. On jest weneccjaninem, jego rodzina mieszka tu od pokoleń – wyjaśniła. – Zna wybrzeże jak własną kieszeń i mógłby im pokazać najbardziej prawdopodobne miejsca przemytu.

– Co takiego zrobił Scarpa?

– Odmówił wydania zgody, odmówił jej za pierwszym razem i odmówił po raz kolejny, gdy dowódca Guardia Costiera ponowił zaproszenie.

– Czy udzielił jakiegoś wyjaśnienia?

– Powiedział, że Foa jest pracownikiem policji, a nie marynarki, więc nie ma żadnego prawnego zabezpieczenia w wypadku, gdyby coś zrobił z ich łodzią, którą by pilotował.

– Co jego zdaniem miałby zrobić, zamienić się w pirata i napasać na statek do Chioggii?

– Porucznik nie zniżył się do wdawania się w szczegóły, mówił o ogólnej zasadzie. – Głosem pełnym wstrętu dodała jeszcze: – Scarpa nie zauważyłby zasad, nawet gdyby usiadły koło niego w *vaporetto* i dały mu po głowie.

– Poza tym nie korzysta z *vaporetto* – zauważył Brunetti i słysząc siebie wypowiadającego te słowa, nagle wszystko zrozumiał. – To dlatego, że Foa nie chciał go wozić, prawda?

Griffoni znowu się uśmiechnęła.

– Oczywiście. Jest jednym z nielicznych, którzy potrafili mu się postawić i nie zgadza się go nigdzie zawieźć, jeśli nie dostanie pisemnego polecenia od Patty.

– Ten Scarpa to wredny mały gnojek – stwierdził Brunetti.

– Mówiąc najłagodniej – zgodziła się Griffoni. – Poza tym, że nie jest taki mały.

– Myślę, że mówiłem to w znaczeniu moralnym – wyjaśnił Brunetti. Griffoni skinęła głową, przyjmując to do wiadomości i zgadzając się z tym. – Czyli zablokował ten wniosek? – zapytał. Komisarz skinęła głową. – Czy Foa chciałby się tym zająć? Zależy mu na tym?

– Z pewnością by mu nie zaszkodziło; współpraca z innymi służbami, to, że został osobiście poproszony o pomoc... – w tym momencie Griffoni pozwoliła, żeby jej głos stał się monotony jak głos polityka – ...w walce z nielegalną imigracją.

– Skarbnik partii politycznej ukradł trzysta milionów euro, a politycy wpadają w histerię na myśl o nielegalnej imigracji – powiedział ze znużeniem Brunetti.

– Zaproponował, że może oddać pięć – przyznała z pewną ironią.

Brunetti odchylił fotel i zakołysał go na tylnych nogach. Splótł palce za głową.

– Byłem w zeszłym tygodniu w barze i dwie osoby koło mnie rozmawiały właśnie o tym: o trzynastu milionach. Jedna z nich, kobieta co najmniej o dziesięć lat starsza ode mnie, odstawiła filiżankę na spodek i powiedziała tylko jedno słowo: „Bomby”.

Zauważył, że to przykuło uwagę Griffoni, ale nadal trzymał ręce za głową i wpatrywał się w sufit, kontynuując:

– Towarzyszka jej kobieta zapytała, co ma na myśli, a ona wyjaśniła, że jedynym sposobem na pozbycie się ich jest zbombardowanie Montecitorio i pozabijanie ich wszystkich.

Opuścił głowę i zobaczył, że słucha go uważnie.

– Ta druga kobieta była w zbliżonym wieku, miała torbę na zakupy i wybierała się na most Rialto. Wydawała się zaskoczona i powiedziała: „Ale to by zniszczyło budynek, a on jest taki piękny”.

Zabrał ręce z za głowy i pozwolił, żeby przednie nogi fotela opadły na podłogę.

– I właśnie to, Claudio, klasa średnia myśli o naszym parlamencie.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała zlekceważyć komentarz

tej kobiety lub wagę, jaką przywiązywał do niego Brunetti, ale po chwili zastanowienia powiedziała:

– Podoba mi się jej troska o budynek. – Potem wróciła do kwestii, z którą przyszła. – Co możemy zrobić w sprawie Foi?

– Patta prosił mnie o przysługę. Jeśli mi się uda, poproszę w zamian za to, żeby Foa dostał ten przydział.

– Nie chce pan tego wykorzystać dla siebie?

– To brzmi tak, jakbym był wiewiórką zakopującą orzechy na zimę – zauważył ze śmiechem.

Jego śmiech okazał się zaraźliwy. Gdy przestali się śmiać, Griffoni powiedziała:

– Wymieniamy się nimi bezustannie: ja robię to dla ciebie, ty robisz tanto dla mnie.

– Wszyscy mamy też listy, dokładne co do *centesimo*, zapisane w pamięci.

– Jak wiewiórki – podsumowała, podziękowała za poświęcony jej czas i wyszła z gabinetu.

Chociaż do jedenastej pozostał jeszcze kwadrans, Brunetti postanowił pójść do baru i zaczekać na Bianchiniego. Wyjrzał przez okno i stwierdził, że nadal pada, więc zabrał parasol. Ponieważ bar był niedaleko, przy moście, nie zawracał sobie głowy płaszczem od deszczu.

W środku przywitał się i zamienił kilka słów z Bambolą, wysokim Senegalczykiem, który zazwyczaj stał za barem. Brunetti obejrzał ciastka, zobaczył, że zostało ostatnie z jabłkiem i ricottą, więc zamówił je, ale poprosił, żeby podać je dopiero wtedy, gdy przyjdzie osoba, z którą jest tutaj umówiony. Bambola wziął metalowe szczypcy i przełożył ciastko na mały talerzyk, który postawił po lewej stronie ekspresu do kawy. Drzwi otworzyły się, uderzając w ścianę. Dwóch gondolierów w słomkowych kapeluszach, pracujących na przystani za rogiem, weszło do środka i podeszło do baru.

Byli, co nie powinno dziwić, hałaśliwi i wulgarni; nie przerywali rozmowy, na którą składały się przechwałki o ich seksualnych podbojach wśród klientek. Bambola obsługiwał ich z uniożonym szacunkiem, w którym nie potrafili dostrzec odrazy tak namacalnej, jakby niemal krzyczała o swojej obecności. Nazywał każdego z nich raz za razem „signore” i używał formalnego *lei*, chociaż oni bez pytania zwracali się do niego *tu*. Zamówili po kieliszku białego wina i *tramezzino*, a Brunetti był zdumiony, gdy każdy z nich zapłacił oddzielnie. Doświadczenie życiowe nauczyło go, że włoscy mężczyźni cechują się genetyczną osobliwością, która sprawia, że nigdy i pod żadnym pozorem nie zgadzają się, by ktoś w ich towarzystwie musiał sam płacić za to, co pije. Potem jednak przypomniał sobie, że ma do czynienia z gondolierami, czyli ludźmi o zupełnie odmiennej konstrukcji genetycznej. Zostali przy barze, opierając się o ladę, żeby widzieć kanał i przystań gondoli, i prowadzili nadal rozmowę, która, jak wyczuwał, była w jakimś stopniu wymierzona

w Bambole.

Brunetti odszedł od baru, zabierając ze sobą gazetę. Usiadł przy swoim ulubionym stoliku z tyłu sali, otworzył dziennik, popatrzył na nagłówki i zaczął się zastanawiać nad tym, co może mieć mu do powiedzenia Bianchini.

Do baru wszedł mężczyzna, bardzo wysoki, szczupły, w wieku zbliżonym do Brunettiego, ale niemal całkowicie łyсы. To, co pozostało z jego włosów, było krótko przystrzyżone i otaczało z tyłu jego głowę, jakby pogardzał wszelkimi próbami ukrywania łyсыny. Brunetti zauważył spojrzenie, jakie rzucił gondolierom, ale oni, wypatrując klientów na przystani u wylotu kanału, nie zwrócili na to uwagi. Podeszedł do Bamboli i skinął mu głową. Afrykanin płynnym gestem wskazał Brunettiego, mężczyzna jeszcze raz skinął głową w podziękowaniu i odwrócił się.

– Jedna z nich to była czarna Amerykanka, z dupą wielką jak u kobyły – usłyszał Brunetti. – Była za to napalona, niesamowicie napalona, jak to czarne.

Bianchini zatrzymał się i stał całkowicie nieruchomo przez jakieś pięć sekund, a potem odwrócił się do gondolierów. Gestem, który nie mógł ujść ich uwagi, rozpiął kurtkę i stanął stabilniej.

– Przepraszam bardzo – powiedział zwykłym głosem i po chwili dodał: – *signori*.

Popatrzyli na niego, a Brunetti widział zaskoczenie malujące się na ich twarzach.

– Wydaje mi się, że być może już pora, by wrócili panowie do swoich łodzi. – Jego głos był bardzo głęboki, spokojny i całkowicie wyprany z emocji.

Wyższy z gondolierów uniósł stopę, jakby chciał zrobić krok w stronę nieznanego, ale jego towarzysz – starszy, mądrzejszy, szybszy – położył mu rękę na ramieniu i obrócił go tak, żeby na niego spojrzeć. Nie cofając ręki z ramienia kolegi, potrząsnął lekko głową i skierował się do drzwi. Musiał pociągnąć drugiego za sobą, a potem pochylił głowę i powiedział coś do niego. Młodszy odwrócił się, żeby spojrzeć na Bianchiniego, a potem wyszedł za swoim towarzyszem z baru.

Bianchini spojrział na barmana, który uśmiechnął się do nie-

go.

– Czy podać panu teraz kawę, *commissario*? – zawołał do Brunettiego.

– Tak, poproszę – odparł Brunetti z twarzą tak obojętną, jakby właśnie oderwano go od lektury gazety.

Mężczyzna podszedł do niego, a Brunetti wysunął nogi spod stolika, żeby wstać.

– Sandro Bianchini – przedstawił się mężczyzna, wyciągając rękę. Mocny uścisk dłoni był tylko powitaniem, a nie próbą męskiej dominacji.

Bianchini był wyższy od Brunettiego, chociaż znacznie szczuplejszy, żyłasty. Na czole miał stare blizny po trądziku, a lekki zarost być może ukrywał podobne ślady na policzkach. Ciemne oczy były osadzone głęboko pod grubymi brwiami, ale pełne usta i życzliwy uśmiech zaprzeczały jakimkolwiek oznakom szorstkości, jakie można by w nim dostrzec.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedział Brunetti i usiadł. Bianchini zajął miejsce naprzeciwko niego.

Bambola nagle znalazł się przy nich. Postawił talerzyk z ciastkiem przed Brunettim i kawę przed oboma mężczyznami. Przyniósł jeszcze dwie szklaneczki z wodą, które postawił w milczeniu i wrócił na swoje miejsce za barem.

– Mój kuzyn powiedział, że chciałby się pan dowiedzieć czegoś o *vigili* – powiedział Bianchini, przechodząc od razu do rzeczy. Milczał przez chwilę. – To dobry chłopak, ten Roberto.

– Tak, to prawda – zgodził się Brunetti. Wsypał saszetkę cukru do kawy i zamieszał ją, a potem przeciął łyżeczką ciastko na pół.

– Czy mówił panu, o co chodzi? – zapytał Brunetti.

– O sklep z maskami na Campo San Barnaba.

Brunetti skinął głową. Podniósł przez serwetkę ciastko i odgryzł kawałek.

– Chciałby pan może połowę? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odparł Bianchini z życzliwym uśmiechem. – Nie mogę jeść takich rzeczy. – Widząc zmarszczone brwi Brunettiego, dodał: – Cukrzyca. – Z tymi słowami wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki tubkę słodzika i wrzucił dwie maleń-

kie białe tabletki do kawy.

Brunetti wypił łyk kawy i uznał, że to nie jest mężczyzna, przy którym należy marnować czas.

– Powiedziano mi, że *vigili* są opłacani, żeby ignorować stoliki przed sklepem. – Słyszając samego siebie wypowiadającego te słowa, Brunetti poczuł, że ogarnia go nagle zażenowanie. Czy on, tak jak pupilek Patty, Scarpa, był zobowiązany do spełniania każdej zachcianki przełożonego? – Właścicielką licencji na handel jest narzeczona syna burmistrza, więc istnieje ryzyko skandalu, gdyby dowiedziała się o tym opinia publiczna. *Vicequestore* pragnąłby tego uniknąć. – Umilkł i dopił kawę. Nie miał ochoty na resztę ciastka, więc odsunął talerzyk na bok.

– Czy to wszystko? – zapytał Bianchini, nie próbując nawet ukrywać zaskoczenia w głosie i na twarzy.

– Tak sądzę. Moim zadaniem jest strzeżenie reputacji burmistrza.

– Ojejej – powiedział Bianchini z uśmiechem – jakże delikatni stali się nasi politycy. Ani się obejrzymy, jak zaczną popępniać harakiri, gdy ktoś ich przyłapie z rękami w kasie.

– Myślę, że to możliwe tylko w Japonii – stwierdził sucho Brunetti – a w dzisiejszych czasach nawet oni nie robią tego tak często, jak powinni.

– Wielka szkoda – odparł Bianchini. – Zawsze uważałem, że to doskonały przykład.

– Skończyły się czasy „Made in Japan” – powiedział Brunetti.

– Teraz wszystko jest „Made in China” i standardy się obniżyły. Bianchini znowu nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Czyli wie pan, o co tu chodzi? – zapytał.

Brunetti nie wiedział, w każdym razie akurat nie w tym przypadku, ale to go nie powstrzymało od powiedzenia:

– Trudno nie wiedzieć, prawda?

Bianchini potrząsnął głową i milczał przez dłuższą chwilę.

– Nie musimy roztrząsać szczegółów, ale może być pan pewien, że burmistrz może spać spokojnie.

– Czy byłby pan skłonny trochę to rozwinąć? – zapytał Brunetti.

Bianchini odwrócił głowę i spojrzał w okno baru, na miejsce, gdzie gondolierzy stali teraz przy łodziach. Siedział w milcze-

niu, popijając wodę, aż odstawił szklankę z powrotem na stół.

Brunetti siedział nieruchomo i czekał.

– Ludzie mają dość Chińczyków – zaczął Bianchini bez żadnych wstępów. – Wykupują sklepy i nikt nie pyta, skąd pochodzą pieniądze. Ich sklepy są pełne chińskich pracowników i nikt nawet nie próbuje ich pytać o zezwolenie na pracę czy na pobyt. Guardia di Finanza nigdy nie sprawdza ich rachunków. – Umilkł na chwilę, żeby zobaczyć, co powie Brunetti, ale ponieważ komisarz milczał, Bianchini dodał: – Wszyscy zostawiają ich w spokoju i pozwalają się zajmować swoimi sprawami.

Doświadczenie zawodowe Brunettiego nakazywało mu podchodzić z dużą podejrzliwością do miejskich legend, ale to samo doświadczenie udawadniało, że niektóre z nich okazywały się prawdziwe.

– No i? – zapytał.

Bianchini dopił wodę.

– No i tak jakby postanowiliśmy wyrównać szanse. Są pewne naruszenia zasad, których nie widzimy i nie będziemy widzieć. – Spojrzał w oczy Brunettiemu i ciągnął: – A nawet jeśli dostajemy coś za to, nie ma weneccjanina, który zobaczyłby w tym coś złego. – Mówił z przekonaniem, włączając siebie do tych weneccjan.

Bianchini wypił resztę kawy i odstawił filiżankę.

– Burmistrz nie musi się niepokoić o żadne konsekwencje. – Mówił z taką pewnością, że nie można było wątpić w jego słowa.

Bianchini przesunął się w bok i wstał. Sięgnął do tyłu po portfel.

– Nie, nie – powiedział Brunetti, przypominając sobie, jak tamten wyprosił gondolierów z baru. – Bambola nie weźmie od pana pieniędzy. – Przesunął filiżankę i talerzyk do przodu, a potem sam wstał. Gdy stanął koło Bianchiniego, zauważył wyraźnie różnicę ich wzrostu: był wysokim mężczyzną, ale partrył Bianchinemu na podbródek.

Brunetti podszedł do drzwi, dał gestem znać Bamboli, że zapłaci później, i wyszedł na zewnątrz ze swoim towarzyszem.

Obaj mężczyźni popatrzyli na brzeg kanału, gdzie jeden z gon-

dolierów rozmawiał z parą młodych japońskich turystów. Obserwowali, jak zaprowadził ich do gondoli i pomógł im wsiąść, a potem sam wskoczył na pokład. Jedną stopą odepchnął łódź od *riva* i zgiął się z wdziękiem, żeby podnieść wiosło. Łódź zniknęła po prawej stronie. Bianchini skręcił w stronę San Marco, a Brunetti podziękował mu za poświęcony czas, otworzył parasol i skierował się z powrotem do komendy.

*

Zatrzymał się w pokoju odpraw po drodze do gabinetu, ale nie zobaczył ani śladu Pucettiego. Na górze sprawdził e-maile i znalazł raport załogi karetki, która przyjechała na wezwanie z domu Cavanelli. „Godzina zgłoszenia: 6.13; godzina przybycia: 7.37; nazwisko osoby, która wpuściła ratowników do domu: Ana Cavanella; stan pacjenta: zmarły; okoliczności dodatkowe: w łóżku, w piżamie, oznaki wymiotów; przybycie do kostnicy: 8.46”. To było wszystko.

Był także e-mail od Rizzardiego, z załączonym czymś, co okazało się brudnopisem protokołu z sekcji. Brunetti przewinął dokument, omijając wzrost, wagę i przybliżony wiek, czekoladę i herbatniki, aż do opisu ciała, w tym zębów. Zmarły miał dwie amalgamatowe plomby i ślady wskazujące na ekstrakcję lewej górnej ósemki. Żaden z tych zabiegów nie miał miejsca w ostatnim czasie, a wszystkie „były zgodne ze standardami i stylem włoskiej stomatologii”.

– Jakiegokolwiek by to były standardy – mruknął pod nosem Brunetti, który chodził do holenderskiego dentysty na Lido.

Odpisał Rizzardiemu, wyjaśnił, że mogą potrzebować ewidencji dentystycznej do ustalenia tożsamości chłopaka, i poprosił o zrobienie zdjęć rentgenowskich. Potem zszedł na dół, by porozmawiać z signoriną Elettrą.

Zastanawiała się przez kilka minut nad tym problemem i powiedziała, że będzie musiała sporządzić listę adresów e-mailowych dentystów zarejestrowanych w stowarzyszeniu stomatologicznym prowincji weneckiej, a następnie rozesłać im zdjęcia rentgenowskie wraz z fotografią zmarłego mężczyzny i opisem jego niepełnosprawności. Wtedy, jeśli jego dentysta jest z tej

provincji, mogą dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Zakładając, że leczenie nie było prowadzone w innej prowincji – dodała.

– Jego matka nie sprawiała wrażenia osoby, która zabrałaby go do specjalisty spoza prowincji – powiedział Brunetti, ale potem uznał, że powinien sprawdzić inne możliwości, zanim do tego przejdą.

Signorina Elettra przeczesła włosy palcami lewej ręki.

– Wszystko to jest bardzo dziwne – powiedziała.

– Co takiego?

– Że nazywa pan signorę Cavanelłę jego matką, chociaż jeszcze go pan nie zidentyfikował.

Brunetti szybko skinął głową, żeby się z tym zgodzić.

– Nie mam cienia wątpliwości co do tego, kim on jest. Ale nie wystarczy, że on jest do niej podobny ani że nazywa go swoim synem. Przynajmniej nie w świetle prawa.

Signorina Elettra ułożyła łokcie na biurku i oparła twarz na dłoniach. Zauważył, że kiedy jej skóra została naciągnięta przez dłonie, ubył jej kilka lat; nie chciał przyznawać, że dostrzegł tę różnicę.

– Można by pomyśleć, że w świecie, w którym wszyscy zostajemy zarejestrowani już w chwili urodzenia, a nawet wcześniej, w chwili zrobienia badań prenatalnych, coś takiego powinno być niemożliwe – zauważyła z wyraźnym zdziwieniem w głosie.

– Gdyby był cudzoziemcem, zrozumiałabym to: trzeba sprawdzić hotele, zobaczyć, skąd pochodzą jego buty i ubranie, zamieścić zdjęcie w gazetach, skontaktować się z ambasadami. To wszystko standardowa procedura.

Popatrzyła na Brunettiego, ale nie miał żadnych dodatkowych sugestii.

– Ma pan jego ciało. Ma pan jego matkę. Został zabrany z domu, w którym mieszkał. Mimo to nie może go pan z i d e n t y f i k o w a ć. – Wiedział, że nie traktowała tego w żadnym stopniu osobiście, więc mógł przypuszczać tylko, że wyprowadzało ją z równowagi tak oczywiste zakłócenie porządku rzeczy. – Człowiek nie może gdzieś mieszkać przez całe życie i nie zostawić żadnych śladów. To po prostu niemożliwe.

Brunetti zgodził się z tym, ale z jakiegoś powodu jego myśli przeniosły się ze zmarłego mężczyzny na jego matkę; zastanawiał się, czy o niej można by powiedzieć to samo. Musiał istnieć jakiś powód trudności, jakie robiła przy próbach zidentyfikowania syna; w takim razie z pewnością nie zamierzała im powiedzieć, o co mogło chodzić. Ale musiały istnieć jakieś ślady.

– Proszę pozwolić, że po coś pójdę – powiedział.

Wrócił do swojego gabinetu, przeszukał akta i luźne kartki, jakie nagromadziły się na jego biurku, powtarzając sobie, jak zawsze w takich okolicznościach, że powinien utrzymywać większy porządek w dokumentach i teczkach, bo wystarczy pomyśleć, ile czasu traci, szukając różnych rzeczy, gdy wystarczyłoby, że...

Znalazł teczkę i dotyk wyblakłej, pomarszczonej tektury napełnił go znowu niechęcią. Otworzył teczkę, znalazł adres, wyjął z szuflady egzemplarz *Calli, Campielli e Canali* i poszukał odpowiedniego budynku. Znalazł go, ogromny beżowy prostokąt, naprzeciwko Campiello degli Incurabili, po przeciwnej stronie kanału. Sprawiał wrażenie olbrzymiego, a Brunetti wysilił pamięć, przypominając sobie tę okolicę, ale nie był tam od kilkadziesiąt lat, więc nie potrafił jej sobie wyobrazić dokładnie.

Zabrał plan miasta na dół, przytrzymując palcem otwartą stronę, i otworzył go na biurku koło komputera w gabinecie signoriny Elettry.

– Proszę spojrzeć – powiedział – to w Dorsoduro.

– Co takiego? – zapytała z autentycznym niezrozumieniem.

– Miejsce, gdzie Ana Cavanella mieszkała w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, gdy została zatrzymana za kradzież w sklepie.

– Ile miała lat?

– Szesnaście – odparł Brunetti.

– Co się potem stało?

– Nic. Była nieletnia. Jej pracodawczyni przysłała kogoś po nią i na tym sprawa się zakończyła. – Widząc, że to wyjaśnienie jej nie satysfakcjonuje, dodał: – Pucetti nie zdołał znaleźć nic dotyczącego jej syna, ale w archiwum na dole były jej stare akta, więc przyniósł je tutaj.

Przechylił książkowy plan w jej stronę, a ona przesunęła palcem po mostach i wzdłuż *calli* prowadzącej do 616. Podniosła plan, przekartkowała do końca, a potem do przodu, aż znalazła strony z indeksem budynków. Patrzył, jak jej palec przesuwają się po liście budynków, aż znieruchomiał, a ona przeczytała na głos: – Palazzo Lembo. – Popatrzyła na Brunettiego. – Czy coś to panu mówi?

– Król miedzi – odparł.

– Słucham? – zdziwiła się signorina Elettra.

Brunetti uśmiechnął się.

– To nie było za pani czasów. Lembo, nie pamiętam, jak miał na imię, był nazywany królem miedzi. Jego rodzina miała gdzieś kopalnię, wydaje mi się, że w Afryce lub może w Ameryce Południowej. To było dawno, na początku zeszłego wieku. Zajmowali się też innymi surowcami, ale nie pamiętam dokładnie, co to było. Możliwe, że cyna. Na pewno jednak ich głównym produktem była miedź.

– W szkole znałam dziewczynkę nazwiskiem Lembo. Miała na imię Margherita. Ale wydaje mi się, że jej rodzina była z Turynu.

– Nie, nie, ta rodzina Lembo mieszkała tutaj od czasu krucjat – odparł Brunetti. Wiedział, że rodzina Brunettich także, ale tego rodzaju rzeczy liczyły się tylko w przypadku arystokracji lub bogaczy. Biedni ludzie mieli dziadków, bogaci mieli przodków.

– *Palazzo* zostało prawdopodobnie podzielone na mieszkania – zauważyła signorina Elettra.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić – stwierdził Brunetti.

Rzuciła mu bardzo pytające spojrzenie.

– Naprawdę zainteresowała pana ta sprawa, *commissario*.

Nie potrafił z jej tonu wywnioskować, czy pochwała to, czy też nie. Milczenie otaczające Davide Cavanellę mogło być przypadkiem urzędniczego niedopatrzenia, ale mogło też oznaczać coś innego.

– Chyba poproszę Foę, żeby mnie tam zabrał, i rzucę okiem na to *palazzo*.

Foa, zadowolony, że może się wybrać na przejażdżkę, o której nie wiedział, że jest w zasadzie tylko dla przyjemności, podał Brunettiemu rękę i pomógł mu wsiąść na pokład. Wyprawa do Dorsoduro, żeby popatrzeć na budynek, miała tyle samo sensu, ile wożenie *vice-questore* na obiad, i była zdecydowanie przyjemniejsza, ponieważ Brunetti przynajmniej stał na pokładzie i cieszył się jazdą, a nie siedział w kabinie, rozmawiając przez *telefonino*. Brunetti dowiedział się tego pośrednio, podobnie jak wielu rzeczy, jakie wiedział. Foa nigdy otwarcie nie krytykował przełożonego, ale być może dlatego, że rozmawiali w dialekcie weneckim, wykorzystywał szeroki zakres praktycznie nieprzekładalnych odniesień i mimiki.

Foa wybrał trasę przez Canale della Giudecca, a nie przez Canale Grande, ponieważ stwierdził, że krótsza trasa prowadzi na tyły budynku. Oczywiście go znał; czy istniało w mieście jakieś miejsce, przez które nie przepływał łodzią w ciągu ostatnich dwudziestu lat? Gdy skręcali w Rio delle Toreselle, Foa zwolnił, żeby zakręcić. Potem zwolnił jeszcze bardziej, gdy zbliżyli się do Calle Capuzzi po lewej stronie.

– To tutaj – powiedział Foa, wskazując zwieńczony wysokim łukiem ciemnozielone drzwi u szczytu trzech omszonych schodów sięgających wody.

Brunetti nigdy nie zwrócił uwagi na te drzwi, ale kto zauważyłby drzwi wyglądające dokładnie tak samo jak tysiące drzwi w tym mieście?

– Wiesz coś o tym miejscu? – zapytał.

Foa podpłynął do wylotu najbliższej *calle* i przełączył motor na jałowy bieg.

– Kiedyś mieszkali tu jacyś bogacze. Pamiętam to, ponieważ dawniej była tu przycumowana naprawdę piękna łódź.

– Kiedy to było?

– Chyba ze dwadzieścia lat temu. Może dawniej. – Po chwili

zastanowienia Foa dodał: – Nie widziałem tej łodzi od lat.

– Możesz podpłynąć trochę bliżej *riva*? – zapytał Brunetti. – Chciałbym się rozejrzeć i przyjrzeć temu pałacowi.

Foa przybliżył łódź do *riva*. Na szczęście trwał przypływ, więc Brunetti nie musiał używać śliskich schodów i mógł wysiąść od razu na chodnik. Przeszedł wąską *calle* do drzwi pod numerem 616, ciężkiej dębowej płyty polakierowanej na ciemnobrazowo i podzielonej na cztery wysokie prostokąty przez grube ukośne deski w tym samym kolorze. Nowoczesny mosiężny zamek był niemal zielony od wilgoci.

Po lewej stronie znajdowała się zmatowiała mosiężna tabliczka z nazwiskiem „Lembo” wygrawerowanym poniżej pojedynczego dzwonka. Król miedzi czy może cyny? Brunetti cofnął się o krok, by przyjrzeć się fasadzie *palazzo*. Była wąska i wznosiła się na trzy piętra w górę, szary tynk odpadł w wielu miejscach, odsłaniając cegły pod spodem. Dwa proste łukowate okna znajdowały się po lewej stronie drzwi, a jedno po prawej, wszystkie zabarykadowane żelaznymi prętami, w które wżarły się rdza i zaniedbanie. *Quadrifora* na parterze były poczerniałe na szycie, jakby przez całe stulecia dym sączył się na zewnątrz przez cztery wąskie okna i brudził rzeźbiony marmur ponad nimi, co w gruncie rzeczy mogło być zgodne z prawdą.

Okna na piętrze wyżej wydawały się niemal dwa razy wyższe, sprawiały też wrażenie dziwnie wybielonych w porównaniu z resztą budynku. Miały wyraźnie współczesne framugi i szyby, a dzielące je marmurowe kolumnienki były szokująco białe, gładkie i niemal pozbawione ozdób, w odróżnieniu od podniszczonych żebrowanych kolumnienek w oknie poniżej.

Brunetti cofnął się jeszcze o krok i oparł się plecami o budynek naprzeciwko. Ponad oknami zobaczył linię drobnych *barbacani* podtrzymujących marmurową rynnę, chociaż późniejsza nadbudowa niskiego piętra szczytowego sprawiła, że rynna pełniła już tylko funkcję dekoracyjną. Prawdziwa rynna, metalowa i nieprzyjemnie widoczna, przerdzewiała w kilku miejscach, biegła poniżej pokrytego dachówką dachu i zostawiła na fasadzie dwa ciemne pierzaste wycieki z pleśni i rdzy.

Brunetti odwrócił się w prawo, minął *fondamenta* i znalazł

się na wprost mostu na San Vio. Przeszedł przez niego i wstąpił do baru po lewej stronie, gdzie często pijał kawę i znał pracujących tam kelnerów, chociaż nie z imienia. Zamówił kieliszek białego wina, rozejrzał się po ludziach siedzących przy stolikach, szukając znajomych twarzy, ale nikogo nie rozpoznał.

Gdy barman przyniósł wino, Brunetti podziękował mu. Wskazał *calle* gestem podbródka i zapytał, pamiętając o użyciu dialektu weneckiego:

– Czy rodzina Lembo nadal mieszka w tym *palazzo*?

Mężczyzna, niski, krępy, łysiejący, z bulwiastym nosem i pomarszczoną skórą alkoholika, odstawił kieliszek na ladę i cofnął się pół kroku, jakby chciał zachować dystans od tego pytania.

Odbywający się następnie proces myślowy był czymś, co Brunetti obserwował od dziesięcioleci. Barman mógł nie znać jego rangi ani wydziału, jednak z pewnością, choć niedokładnie, wiedział, że Brunetti, jego wieloletni klient, ma coś wspólnego z policją. To oznaczało, że mężczyzna musi zestawić swoje poczucie obowiązku obywatelskiego (które prawdopodobnie było równe zero) z sumą wspomnień o zachowaniu Brunettiego przez cały ten czas, a następnie z wagą wszelkich zobowiązań, jakie mógł mieć wobec rodziny Lembo. Te obliczenia nastąpiły błyskawicznie, a Brunetti był zapewne ich bardziej świadomy niż przeprowadzający je mężczyzna.

– Ich córka nadal tam mieszka – oznajmił barman po chwili wahania tak krótkiej, że większość osób w ogóle by jej nie dostrzegła. Odwrócił się i włączył młynek do kawy stojący obok ekspresu, chociaż plastikowy pojemnik był ponad w połowie zapelniony.

Brunetti wypił łyk wina, przeczekał hałas, a gdy zapadła cisza, poprosił o *tramezzino* z tuńczykiem i karczochem. Dostał je na talerzyku, owinięte papierową serwetką.

– Ana Cavanella też tam kiedyś mieszkała, prawda? – zapytał Brunetti, zjadając kęs kanapki. Zawierała zbyt dużo majonezu, co z nieznanym dla niego przyczyn było coraz częstszym przypadkiem w całym mieście.

– Czy chodzi o jej syna? – zapytał barman.

– Tak – odparł Brunetti, nie widząc powodów, by kłamać.

– Co się z nim stało?

– Połknął tabletki nasenne, zwymiotował i zadławił się na śmierć – wyjaśnił Brunetti.

Mężczyzna ochronnym gestem uniósł dłoń do gardła i trzymał ją tam, mówiąc:

– Och, biedna kobieta.

– Znał ją pan? – zapytał Brunetti całkowicie naturalnie, jakby byli starymi przyjaciółmi, a temat po prostu pojawił się w rozmowie.

– Wiele lat temu – powiedział mężczyzna. – Chyba czterdzieści. Może nawet więcej. – Dodał jeszcze: – Ile on miał lat?

– Był po czterdziestce – odparł Brunetti i napił się wina. Następne słowa powiedział bardzo swobodnie. – Ona nadal jest atrakcyjną kobietą. Musiała go urodzić, gdy była bardzo młoda.

Mężczyzna rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, Brunetti odpowiedział ugryzieniem kanapki i pokiwaniem głową z aprobatą.

– Rozmawiałem z nią trzy dni temu, tuż po jego śmierci. To okropne, naprawdę okropne.

W barmanie zwyciężyła ciekawość.

– Jak to się stało? Zawsze mi się wydawało, że ten chłopak jest przygłupi. Można by pomyśleć, że matka będzie uważać z tabletkami i innymi takimi rzeczami.

– Wydaje mi się, że nie możemy uważać przez cały czas – westchnął Brunetti.

Dwaj mężczyźni weszli do baru i zamówili kawę. Barman obsłużył ich i szybko wrócił do Brunettiego. Podniósł kieliszek, który przetaił ręcznikiem.

– Jak ludzie nazywali tego Lembo? – zapytał Brunetti, jakby miał to określenie na końcu języka, ale potrzebował odrobiny pomocy kogoś z lepszą pamięcią. – Księciem czegośtam?

– Królem – odparł barman, zadowolony, że wie to jako pierwszy. – Królem miedzi.

Brunetti uśmiechnął się z aprobatą.

– Oczywiście. Dziękuję. – Powtórzył tę nazwę, tak jak zwykle robią to ludzie. – Król miedzi. – Potrząsnął głową nad niecodziennością tego określenia. Dokończył *tramezzino* i nie zamówił następnego, ponieważ nie chciał, by barman ruszył się

z miejsca.

– Mój ojciec – skłamał Brunetti – opowiadał mi dawniej o nim. – Ciągnął dalej, jakby pozwalał wspomnieniom na sączenie się do jego głowy. – Miał łódź... to znaczy mój ojciec... i zabierał go... – Urwał i pozwolił, by na jego twarzy odbiło się głębokie zakłopotanie. – Nie pamiętam, czy na ryby, czy może na Piazzale Roma. – Potrząsnął głową, by podkreślić, że wiek odbiera nam tak wiele wspomnień. – Opowiadał o jego córkach. Jedna z nich była mniej więcej w moim wieku i powtarzał mi, że powinienem być choć trochę taki jak ona: spokojniejszy i bardziej posłuszny.

– To na pewno była Lucrezia – powiedział barman.

W oczach Brunettiego pojawiła się radość.

– Tak, oczywiście. Tak miała na imię. – Spojrzał przelotnie w oczy barmana i dodał: – Nigdy jej nie spotkałem, ale muszę się przyznać, że czasem miałem ochotę popłynąć razem z ojcem łodzią i wrzucić ją do wody. – Roześmiał się, spojrzawszy na swoje buty i potrząsnął głową.

– Dlaczego?

Z uśmiechem pokazującym, że zainteresowanie barmana jego rodzinnymi wspomnieniami sprawia mu przyjemność, Brunetti wyjaśnił:

– Ponieważ mój ojciec tyle o niej mówił. Mówił, że jest taka i jeszcze inna, że ma wszystko, czego ja nie miałem.

– Czy pana ojciec jeszcze żyje? – Barman zaskoczył go tym pytaniem.

– Nie, dlaczego?

– Ponieważ gdyby żył, mógłby mu pan powiedzieć, że się mylił.

Brunetti uśmiechnął się z udanym zaskoczeniem.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Jest pan szanowanym człowiekiem. Policjantem, prawda? – zapytał mężczyzna.

– Jestem policjantem – przyznał Brunetti. – Nie wiem czy szanowanym.

– Cóż, Lucrezia z pewnością nie jest szanowana.

Brunetti po raz kolejny sprawiał wrażenie zaskoczonego i, jak

starał się pokazać, odrobinę zatroskanego.

– Co się stało?

– Mężczyźni. Alkohol. Kłopoty z dziećmi. Rozwód.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Brunetti, mówiąc tak, jakby właśnie dostał złe wieści o dawnym przyjacielu. Potem postanowił zaryzykować. – Cieszę się, że mój ojciec się o tym nie dowiedział.

– Nikt nie ma ochoty słuchać złych rzeczy o ludziach, których lubi, prawda? – zapytał barman.

– Nie, na pewno nie. – Brunetti potrząsnął głową i odpowiedział na wyświechtany frazes innym wyświechtanym frazesem.

– Ale życie bywa zabawne: mówi nam rzeczy, których nie chcemy słyszeć. – Potrząsnął głową i doszedłszy do wniosku, że najlepiej postąpi, nie zadając dalszych pytań, sięgnął do kieszeni i wyjął garść drobnych. Zapytał, ile płaci, zostawił większą kwotę na ladzie, podziękował barmanowi za poświęcony mu czas i wyszedł z baru.

Foa siedział na pokładzie, pochylony nad „La Gazzetta dello Sport”, i wyglądał, jakby miał ochotę raczej ją zjeść, niż czytać. Gdy usłyszał kroki Brunettiego, wyciągnął rękę ponad szczeliną przy brzegu, by pomóc mu wsiąść na łódź.

– Jakiś nowy skandal? – zapytał Brunetti, wskazując ogromne nagłówki.

Foa złożył gazetę i schował ją pod pulpit.

– To dziwne, *commissario* – powiedział, przechodząc obok Brunettiego, by odwiązać cumę. – Wszyscy wiemy, że to udawanie, że wszystkie mecze są ustawione, ale można by pomyśleć, że będą lepiej trzymać to, co robią, w tajemnicy. – Sięgnął w dół i uderzył gazetę grzbietami palców. – Bezustannie gawędzą o tym przez telefon, wysyłają i odbierają e-maile, rozmawiają o tym, ile chcieliby dostać za przegranie meczu, i podają nazwiska zawodników, którzy są gotowi w tym pomóc. – Przekręcił kluczyk, uruchomił silnik i odepchnął się od *riva*, kierując się na Canale Grande.

Skręcili w prawo, by wrócić do komendy. Foa wyczerpał swój zasób komentarzy dotyczących piłki nożnej oraz ducha sportowego, ale Brunetti zastanawiał się, czy może być nadal zainte-

resowany pogawędką.

– To *palazzo* należy do rodziny nazwiskiem Lembo – zaczął.
– Słyszałeś może o nich?

Wodna taksówka płynęła prosto na nich, ponieważ jej pilot rozmawiał przez *telefonino*. Nie zdejmując ręki ze steru, Foa zatrąbił ostro syreną. Pilot podniósł głowę, zauważył ich, upuścił *telefonino* i szybko skręcił w prawo.

– Głupi drań – rzucił Foa, gdy łódzie się wyminęły. – Tak – powiedział, zapominając o taksówce.

– Dużo?

– Wystarczająco. Niech mi pan da jeden dzień, a będę wiedział o wiele więcej. – Odwrócił się i uśmiechnął do Brunettiego, niezdolny ukryć zadowolenia z faktu, że został potraktowany jak prawdziwy policjant.

Brunetti z przyjemnością stał i obserwował budynki i światło, tak jak często zauroczony ich zwyczajnym, nieskończonym pięknem. Kamień, niebo, złoto, marmur, przestrzeń, proporcje, chaos, nieład, chwała.

Wpłynęli do przystani. Foa zgasił silnik i bez wysiłku zarzucił linę cumowniczą na słupek, a potem wyskoczył na brzeg i wyciągnął rękę do Brunettiego. Drugi raz tego dnia młodszy mężczyzna podawał mu rękę; Brunetti lekko ujął wyciągniętą dłoń i wyskoczył na *riva*.

*

Uznał, że już czas, by rzucić signorinie Elettrze trochę świeżego mięsa, więc zajrzał do jej pokoju. Nie było jej przy biurku, ale drzwi do gabinetu Patty były otwarte, a Brunetti słyszał ze środka głosy, z których jeden należał do sekretarki. Mógł stanąć przy drzwiach i posłuchać, o czym mowa, ale ten pomysł mu się nie spodobał; za chwilę zacznie przeszukiwać pliki w jej komputerze, wykorzystując umiejętności, których go nauczyła.

Zamiast tego podszedł do okna i spojrzął na wody kanału; myślał o barmanie i o tym, czego się od niego dowiedział. „Córki”. Po pewnym czasie usłyszał kroki i zamykające się drzwi gabinetu Patty. Signorina Elettra przeszła przez pokój i obdarzyła go uśmiechem. Usiadła przy komputerze.

– Jestem święta – powiedziała, nie pytając go, czego dowiedział się w Dorsoduro.

– Jest pani święta – powtórzył Brunetti. – Jest pani zapewne także męczennicą.

– Jestem męczennicą.

– Czego on chciał?

– Tego gabinetu – zaskoczyła go odpowiedzią.

– Jak to? – zapytał, a potem, gdy zaczęło mu świtać to co oczywiste, zadał jeszcze bardziej oczywiste pytanie. – Dla kogo?

– Dla porucznika Scarpy – powiedziała, jakby to mogła być jedyna odpowiedź. Z pewnością tak było.

– Ale dlaczego?

– Jak sądzę, po to, by ich symbioza mogła się stać jeszcze silniejsza – odparła gniewnie. Brunetti zastanawiał się, kiedy i czy w ogóle widział ją kiedyś naprawdę rozgniewaną do tego stopnia, że jej twarz poczerwieniała, a głos stał się wymuszony, tak jak w tej chwili.

– Nie może pani temu zapobiec? – zapytał Brunetti, uświadamiając sobie, jak niepewnie brzmi jego głos.

– Oczywiście, że mogę – odparła. – Ale nie chcę.

– Dlaczego? – zapytał, niezdolny do ukrycia zaskoczenia.

– Ponieważ nie chcę zostać zmuszona do opuszczenia tego miejsca.

Serce Brunettiego stanęło. Nie miał skłonności do egzaltowanych reakcji ani egzaltowanych wypowiedzi, ale poczuł, że serce mu stanęło, a przynajmniej zatrzymało się na kilka uderzeń i zaczęło bić znowu szybszym rytmem.

– Ale nie może pani chyba o tym myśleć – jęknął, zanim zdołał zapanować nad swoim głosem. – To znaczy, jeśli miałyby pani odejść, to chyba z lepszego powodu niż coś takiego. – Zastanowił się nad zaproponowaniem jej swojego gabinetu, ale wiedział, że Patta nigdy by się na to nie zgodził. Miał wrażenie, jakby wpadł na ścianę.

– Nie chodzi mi o opuszczanie w sensie opuszczania. Chodziło mi o opuszczenie tego piętra.

– Dokąd? – zapytał Brunetti, ukrywając ulgę i zastanawiając

się nad planem budynku.

– Wystarczy, że przemebluję tylko kilka innych gabinetów – powiedziała, opanowując złość.

W łatwości, z jaką wypowiedziała te słowa, jakby zadanie nie wydawało się bardziej skomplikowane niż wyciągnięcie korka z butelki prosecco, było coś, co zagrało na nerwach Brunettiemu. W pamięci obejrzał jeszcze raz budynek, poszukując gabinetów, które mogłyby być dla niej odpowiednie, oraz nazwisk osób aktualnie zajmujących te gabinety. Znalazł – na tym samym piętrze co jego gabinet, ale po przeciwnej stronie budynku, znacznie mniejszy pokój z widokiem na ogród na tyłach. Obecnie zajmowały go dwie ogromne szafy, których nikt nie próbował przesuwać, gdy wstawiono tam biurko i przydzielono ten gabinet Claudii Griffoni.

Powstrzymał się przed uderzeniem dłonią w czoło i wykrzyknięciem: „Aha!”, ale to nie zmniejszyło jasności tego objawienia. Signorina Elettra nie żywiła szczególnej sympatii do Claudii – to było niezwykle proste. Brunetti nie miał pojęcia, gdzie szukać przyczyny: nie chciał przypisywać tego kobiecej zawiści i aby uniknąć dyskusji na ten temat, postanowił nigdy nie wspominać o tym Paoli.

Życiowa mądrość podpowiedziała mu, że powinien się trzymać od tego z daleka, nie komentować i udawać, że nie jest to przedmiotem jego troski lub zainteresowania, o ile tylko signorina Elettra znajdzie sobie gabinet.

– Cóż – powiedział lekko. – Mam nadzieję, że się to pani uda. – Zastanowił się nad *quid pro quo*, jakie mógł zaproponować w rozmowie z Pattą. Wiedział, że konsekwencją powstrzymania się od interwencji w tym przypadku będzie zakłócenie codziennego spokoju.

Starając się jasno przekazać, że to, co ma do powiedzenia, jest znacznie ciekawsze niż jakiegokolwiek rozmowy o gabinetach i przeprowadzkach, powiedział:

– Mam dla pani nazwisko.

– W celu?

– W celu przyjrzenia się mu. – Zauważył, że to zwróciło jej uwagę. – Wybrałem się do Dorsoduro, by popatrzeć na *palaz-*

zo. – Próbując jeszcze bardziej rozluźnić atmosferę, dodał: – I wróciłem z nazwiskiem.

– Jakim? – zapytała, odwracając ekran komputera, by na niego spojrzeć.

– Lucrezia Lembo.

– Żona króla miedzi?

– Córnka. Były co najmniej dwie i najwyraźniej nadal mieszka ją pod tym adresem.

Signorina Elettra uśmiechnęła się prawdziwym uśmiechem, odprężonym i spokojnym, a Brunetti obserwował, jak uchodzą z niej złość i napięcie.

– Zobaczę, co uda mi się znaleźć – powiedziała.

– Osoba, która powiedziała mi o niej, mówiła także, że miała trudne życie: mężczyźni, problemy z dziećmi, rozwód, alkohol.

Signorina Elettra ściągnęła usta.

– To aż za dużo jak na jedną osobę.

– Byłbym ciekaw wszystkiego, co zdoła pani znaleźć o którejkolwiek z sióstr. Nie wiem, jak ma na imię druga – dodał. Przypominał sobie niejasno, że oboje ich rodzice nie żyją.

Elettra nacisnęła kilka klawiszy, a potem jeszcze kilka, czytała coś przez chwilę, nacisnęła kolejne klawisze, a kiedy Brunetti zobaczył, że się uśmiechnęła, zastanowił się, czy to z powodu powrotu do pracy, czy też z powodu perspektywy dostania się do baz danych różnych miejskich instytucji bez zaprzętania sobie głowy trywialnymi sprawami, takimi jak nakazy, upoważnienia czy też zgoda ratusza.

Podziękował jej i skierował się do własnego gabinetu, zadowolony, że zdołał przywrócić rozdrażnioną i rozgniewaną kobietę na jej właściwe miejsce, piratki całkowicie pozbawionej szacunku dla zasad i przepisów.

U stóp schodów, które miały go zaprowadzić do jego gabinetu, Brunetti spojrzął na zegarek i zobaczył, że minęła druga. Był to najprawdopodobniej jeden z ostatnich dni w roku z przyjemną temperaturą, więc komisarz poczuł się upoważniony, po tym, co zdecydował się uznać za swoje poranne obowiązki, do zjedzenia obiadu z żoną. Paola powiedziała mu, że dzieci będą nieobecne, więc może się spóźnić, ile tylko chce, a on postanowił trzymać ją za słowo.

Idąc w stronę Rialto, bawił się czymś, co jego zdaniem przypominało tę trójwymiarową grę orientalną, o której czytał, ale której zasad nie rozumiał. Nazywała się chyba go. Nie miał pojęcia, jakie były jej zasady, więc wymyślił własne: zakładał, że ludzie przeniesieni do innego pokoju na innym piętrze zgodzą się na to bez narzekań i kłótni, naśladując biblijnego mężczyznę, który podniósł swoje łóżko i odszedł.

Scarpa do gabinetu signoriny Elettry, signorina Elettra do gabinetu Claudii Griffoni. Wielkie szafy do archiwum, gdzie ich wysokie półki zabezpieczą jakieś dokumenty przed pleśnią i upływem czasu. Gdzie miała się przenieść Griffoni? Do przeobionego składziku, który od lat był gabinetem porucznika Scarpy?

Podczas posiłku nie wspomniał ani słowem o problemie gabinetu signoriny Elettry, uznając *calamaretti con piselli* za bardziej interesujące niż terytorialne spory jego współpracowników. Zaczekał aż do chwili, gdy stojąc obok Paoli, wycierał naczynia i odkładał je do szafki, ale wycierał je bardzo powoli i nie zwracał uwagi na to, co robi. Wycierał kieliszek do wina, aż w końcu Paola sięgnęła mokrą ręką, zabrała mu kieliszek i postawiła go na blacie.

– Co takiego nie daje ci spokoju? – zapytała.

– Kobiety.

Rzadko się zdarzało, by Brunetti zdołał kompletnie zaskoczyć

Paolę, więc wyraz jej twarzy sprawił mu pewną satysfakcję.

– Ogólnie? Czy też szczególne przypadki? – zapytała. Oplukała ręce i wzięła od niego ścierkę, by je wytrzeć.

– Szczególne przypadki – odparł Brunetti.

Wydawało się, że Paola zignorowała te słowa.

– Byłoby miło mieszkać na pierwszym piętrze – rzekła.

– Z wilgocią i bez światła? – zapytał Brunetti, przypominając sobie pokoje na parterze w budynku komendy. Nie ośmielił się nawet pomyśleć o przeniesieniu tam kogoś z uczestników swojej gry.

– Schodzilibyśmy tylko jedno piętro, gdy mielibyśmy ochotę pójść na kawę do baru – poprawiła go. Sięgnęła po *caffetiera*, nalała wody, wysypała kawę, zakręciła szczelnie pokrywkę i postawiła ekspres na kuchence. Z całą pewnością miała zamiar powrócić do tematu kobiet, więc Brunetti przeszedł z powrotem do salonu i stanął przy oknie. Podczas obiadu chmury zgęstniały i zaczął padać lekki deszcz.

Paola przyniosła dwie filiżanki, z nasypanym cukrem. Podawała mu jedną, stanęła, mieszając w swojej, i zapytała:

– Które szczególne przypadki?

– Signorina Elettra i Claudia Griffoni – odparł.

– Starły się o coś? – zapytała.

Napił się kawy, a potem opróżnił filiżankę i odstawił ją na stół.

– Zawsze mówisz o kobiecej zawiści.

– O ile nie mówię o męskiej zawiści – przypomniała mu. Usiadła na brzegu kanapy i czekała.

– Chodzi o gabinet – zaczął. – Ale to tylko pretekst. Elettra od początku jej nie lubiła. To widać wyraźnie za każdym razem, gdy o niej wspominam.

– A co o tym myśli Griffoni?

Brunetti nigdy nie zastanawiał się nad tym.

– Nie jestem pewien, czy to zauważyła.

Paola pomachała ręką w powietrzu.

– Ziemia do Guido. Planeta Ziemia do Guido. Jesteś tam?

– Co to ma znaczyć?

– To ma znaczyć, że jeśli Elettra kogoś nie lubi, nie ma mowy

o tym, żeby ta osoba tego nie zauważyła.

Pomyślał o signorinie Elettrze i jej stałym, publicznym podpuszczaniu porucznika Scarpy, zupełnie różnym od łagodnych, niemal ciepłych docinków, na jakie pozwalała sobie wobec vice-questore Patta. Pierwszego z tych mężczyzn się brzydziła, drugi zaledwie ją irytował. W przypadku Griffoni była jednak nieskazitelnie uprzejma, jak wobec nikogo innego w komen-dzie.

Gdy wyjaśnił to Paoli, odparła:

– A jak zachowuje się Griffoni?

– Tak samo. Zupełnie jakby zwracała się do głowy państwa.

– Cóż, tak przecież jest, nieprawdaż?

– Co takiego?

– Signorina Elettra, przynajmniej sądząc z twoich słów, wszystkim rządzi. Albo też z całą pewnością rządzi Patta, na jedno wychodzi.

– Co z tego wynika?

– To, że formalność Griffoni może oznaczać po prostu szacunek dla jej pozycji. – Zanim Brunetti zdążył się sprzeciwić, do-dała: – Pamiętaj, że jest Sycylijką, a oni są znacznie bardziej hierarchiczni w sposobie myślenia od nas. Jeśli pochodzą z dobrej rodziny, impuls nakazujący im grzeczność jest jeszcze silniejszy.

– Minęły już trzy lata.

– Dojdą do porozumienia. Moim zdaniem to brzmi tak, jakby każda z nich czekała po prostu, aż ta druga zacznie się zachowywać choć odrobinę swobodniej.

Brunetti nie potrafił w to uwierzyć.

– Co ja mam zrobić? – zapytał. – Trzymać się z boku i interweniować, gdy będą się tarzać po podłodze, próbując rozszarpać sobie gardła?

– Mówiłeś coś o gabinecie – przypomniała mu Paola. – Chodzi o to, kto go dostanie?

– Tak.

– Kto podejmuje decyzję?

– Patta.

– Czy masz jakiś sposób, by zaszantażować go i zmusić do po-

wstrzymania działań wojennych?

Oczywiście po dziesiątkach lat spędzonych na uniwersytecie potrafiła wymyślić najbardziej podstępny sposób rozwiązania problemu. Brunetti zapomniał na razie powiedzieć przełożonemu, że synowi burmistrza nic nie grozi z powodu łapówek płaconych Polizia Municipale. Patta nie musiał się jednak koniecznie dowiedzieć, jak łatwo przyszło mu to odkrycie. Niech myśli, że Brunetti prosił różne siły porządkowe o przysługę, zwrócił się do starych przyjaciół, by przymknęli oko na ten proceder, i ryzykował własną reputację w celu obrony syna burmistrza, a także kampanii mającej na celu reelekcję i całej przyszłości politycznej burmistrza.

Jeśli zdoła sprawić, że jego wysiłki wydadzą się dostatecznie herkulesowe, może uda mu się dodać prośbę o to, by Foa został czasowo skierowany do Guardia Costiera.

Pochylił się i pocałował żonę.

– Drzę na myśl o tym, czego nauczyłaś się przez te wszystkie lata z powieści, które czytasz – powiedział i wrócił do komendy.

*

Padło coraz gęściej i zanim jeszcze Brunetti dotarł na miejsce, pierwszy większy deszcz zamienił się w pierwszą poważną jesienną ulewę. Komisarz, zadowolony, że włożył lekki płaszcz nieprzemakalny, nie próbował się zatrzymać, żeby ją przeczekać, ale chociaż przez ostatnie dziesięć minut przyspieszył kroku, gdy dotarł do komendy, miał przemoczoną głowę i ramiona.

Przeczesał włosy obiema dłońmi, a potem wytarł je w chusteczkę do nosa i tą samą chusteczką przetarł włosy. Na górze powiesił płaszcz na drzwiach szafy i postanowił zejść na dół, by porozmawiać z signoriną Elettrą.

Po raz kolejny nie zastał jej przy biurku. Po raz kolejny drzwi do gabinetu Patty były otwarte i dobiegał zza nich głos jego przełożonego, ale Brunetti nie słyszał dokładnie, co mówi. Podszedł do okna i stanął przy nim, żeby oprzeć się pokusie, ale gdy spojrzął na dół, zobaczył, że na *riva* stoi signorina Elettra mająca właśnie wsiadać do policyjnej motorówki. Foa trzymał

ją za rękę, żeby nie straciła równowagi na śliskim pokładzie.

Brunetti przysunął się bliżej do drzwi.

– Rozumiem powagę sytuacji, *signore* – mówił uspokajającym tonem Patta. – Może być pan pewien, że jeden z moich najlepszych ludzi zajmuje się tą sprawą. – Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. – Tak, to weneccjanin.

Brunetti, jeden z najlepszych ludzi Patty, przeszedł bezgłośnie przez pokój i wrócił na górę do własnego gabinetu.

Jego telefon zadzwonił, gdy od drzwi dzieliło go kilka metrów. Przyspieszył kroku i podniósł słuchawkę po siódmym dzwonku.

– Brunetti – powiedział.

– Guido? Tu Ettore – usłyszał głos Rizzardiego.

– O co chodzi?

– Wydarzyło się coś dziwnego i pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć.

– Co takiego?

– Przysłałeś tu jednego ze swoich ludzi razem z matką tego zmarłego mężczyzny, prawda?

– Tak. Coś się stało?

– Nic, zidentyfikowała ciało. Ten młody mężczyzna zachowywał się wobec niej z ujmującą uprzejmością.

– Czy to dlatego dzwonisz?

– Nie. Dlatego, że ona tu znowu jest.

– Tu, to znaczy gdzie?

– Tu w szpitalu.

– Z tobą?

– Nie. Na ostrym dyżurze.

– Skąd o tym wiesz?

– Od Favara – wyjaśnił, mając na myśli jednego ze swoich asystentów. – Zobaczył ją, gdy przyszła zidentyfikować syna, i rozpoznał, gdy przywiozła ją karetka, więc przyszedł, by mi o tym powiedzieć.

– Co się stało?

– Nie wiem. Nie widziałem jej.

– Mówił coś o niej?

– Tak. Powiedział, że to wyglądało, jakby ktoś ją pobił.

Brunetti zadzwonił do sali odpraw, ale dowiedział się tylko, że Pucetti jest na patrolu. Poprosił o numer *telefonino* młodego policjanta, wpisał go we własną komórkę i zadzwonił. Pucetti odebrał i poinformował, że jest na placu Świętego Marka, gdzie obserwuje gołębie i turystów chowających się przed deszczem.

Brunetti powiedział o telefonie od Rizzardiego i był zaskoczony gwałtownością, z jaką odpowiedział mu młody mężczyzna.

– Co się stało? Jest poważnie ranna?

Brunetti powtórzył, że wie tylko to, co usłyszał od Rizzardiego: kobieta jest na ostrym dyżurze i wygląda, jakby ktoś ją zaatakował.

– Możemy się spotkać na miejscu, *commissario*? – zapytał Pucetti.

– Właśnie po to dzwonię – odparł Brunetti, zaskoczony, że Pucetti sam się tego nie domyślił. – Zaraz wychodzę. Rizzardiego spotka się z nami na miejscu. – Spojrzał na zegarek. – Będę za kwadrans.

Młodszy policjant rozłączył się, zanim zrobił to Brunetti.

Wyrzwał przez okno: ani śladu Foi lub jego łodzi. Włożył płaszcz przeciwdeszczowy, wyjął z dna szafy parasol i wyszedł z komendy, powiedział funkcjonariuszowi przy drzwiach, że idzie do szpitala, żeby porozmawiać ze świadkiem.

Deszcz nasilił się, gdy komisarz przebywał pod dachem, i niebawem jego buty zaczęły przemakać przy palcach, a potem wzdłuż boków. Ulewa oczyściła chodniki i sprawiła, że ulice opustoszały. Chociaż po drodze do szpitala zauważał niewielu ludzi, wewnątrz panowała zwykła krzątania z udziałem odwiedzających, lekarzy, pielęgniarek oraz odzianych w szlafroki i kapcie pacjentów.

Automatyczne drzwi rozsunęły się, gdy się zbliżył, więc wszedł do poczekalni przy Pronto Soccorso. Minął okno recepcji i skręcił w pierwszy korytarz, zamierzając znaleźć albo Rizzar-

diego, albo Pucettiego.

– *Signore* – zawołał za nim czyjś głos. – Musi się pan zarejestrować.

Brunetti wyjął legitymację policyjną i wrócił do drzwi małego pomieszczenia, w którym za komputerem siedział recepcjonista. Mężczyzna przypominał sowę, miał rzadkie włosy i wewnątrz przeszklonego pudła wyglądał, jakby znajdował się na właściwym miejscu.

Brunetti uniósł legitymację policyjną.

– Szukam doktora Rizzardiego – powiedział.

Mężczyzna za biurkiem, niezadowolony i zamierzający wygrać choćby w najdrobniejszej sprawie, pouczył go:

– Powinien pan pokazać mi legitymację, zanim pan wejdzie.

Brunetti już miał coś odwarknąć, gdy przypomniał sobie mantrę, wbijaną mu do głowy przez Paolę od dwudziestu lat: „To jedyna władza, jaką ma ten człowiek, i jedyna, jaką kiedykolwiek będzie mieć w życiu. Albo okażesz mu, że go szanujesz, albo narobi ci więcej kłopotu, niż to jest warte”.

– Ach, przepraszam – powiedział Brunetti, chowając legitymację do portfela. – Zapomniałem.

Mężczyzna skinął głową, wyraźnie udobruchany.

– Pacjentka jest w trzeciej sali po lewej.

– Jeden z naszych funkcjonariuszy powinien się tu niedługo pojawić. Mógłby pan skierować go do nas? – zapytał Brunetti i dodał, przypominając sobie mądrość Paoli: – Bardzo proszę.

Recepcjonista uniósł dłoń, chętny teraz do pomocy.

– Oczywiście, *signore*.

Brunetti zapukał do drzwi, odczekał kilka sekund i wszedł do środka. Rizzardi stał u stóp łóżka, czytając formularz przymocowany do grubej plastikowej podkładki. Komisarz pomyślał, że niezwykle dziwnie jest widzieć Rizzardiego z żywym pacjentem, ale przypomniał sobie, że mimo wszystko ma do czynienia z lekarzem.

Rizzardi spojrzął na Brunettiego i machnął podkładką, żeby zaprosić go bliżej.

Brunetti podszedł. Rizzardi uniósł podkładkę, żeby pokazać, że jest to źródło wszelkich informacji, jakich może mu udzielić.

Odezwał się przyciszonym głosem:

– Może mieć wstrząs mózgu, ale bardzo lekki, liczne sińce na twarzy i rozcięcie nad lewym okiem. Dwa palce lewej dłoni są zmiażdżone, ma też pęknięte jedno żebro.

Brunetti popatrzył na leżącą na łóżku kobietę i był zaszokowany tym, o ile drobniejsza się stała. Wydawała się o wiele niższa niż wtedy, gdy stała, a kołdra otulała jej drobną talię. Spała. Miała zaskakująco głęboko osadzone oczy, a wokół lewego zaczęła się już pojawiać czerwonawo-szara obwódka. Policzki zapadły jej się w okolicach ust, ale może to była tylko kwestia oświetlenia i kontrastu jasnej skóry policzków z ciemniejszą skórą wokół i pod oczami. Rozpoznał ją przede wszystkim po włosach, jedynej rzeczy, która nie uległa zmianie.

Jej lewa ręka spoczywała na kołdrze, a dwa palce były unieruchomione i zabandażowane.

– Co się stało? – zapytał Brunetti.

Rizzardi opuścił podkładkę i powrócił na swoje miejsce w nogach łóżka.

– Nie wiem – przyznał. – Widziałem tylko to. – Postukał w kartkę papieru, a potem wziął Brunettiego pod ramię i odprowadził go od łóżka. – Favaro powiedział, że to wygląda, jakby została pobita. Jej obrażenia mogą potwierdzać tę teorię. – Jego głos był cichy, chłodny i rzeczowy.

Brunetti spojrział na drugą stronę pokoju i jeszcze raz przyjrzał się twarzy i dłoni kobiety.

– A jeśli ja też powiem, że to tak wygląda? – zapytał, mając w pamięci efekty pobicia, jakie widział wielokrotnie w swojej karierze zawodowej.

Rizzardi wzruszył swobodnie ramionami i odparł cieplejszym głosem na pytanie Brunettiego.

– Zgodziłbym się z tobą.

Zanim Brunetti zdążył coś dodać, drzwi się otworzyły i wszedł Pucetti. Spojrział na obu mężczyzn, na kobietę, a potem znowu na Rizzardiego. Lekarz skinął mu głową, co przypomniało Brunettiemu, że widzieli się tego dnia rano, gdy Pucetti towarzyszył signorze Cavanelli w kostnicy.

– Co się stało, *dottore*? – zapytał młody policjant przyciszony

nym głosem. – Czy wszystko z nią będzie dobrze? – Jego troska była widoczna jak na dłoni.

– Karetka przywiozła ją trzy godziny temu. Może mieć wstrząs mózgu, uderzyła się w głowę. Widzisz jej palce, są zmiążdżone. Uderzyła się też w twarz – powiedział Rizzardi. – Mogła się przewrócić. – Brunetti był zaniepokojony jego opisem, całkowicie pozbawionym odwołań do jakiegokolwiek udziału drugiego człowieka.

– *Oddio* – zauważył Pucetti. Stał bez ruchu, tuż koło drzwi. Potem otrząsnął się, jakby wracał do normalności. – Czy mam pójść porozmawiać z ratownikami z karetki? – zapytał Brunetti.

– Dobry pomysł – przyznał Brunetti i zwrócił się do Rizzardiego: – Czy ona może zostać sama?

– Oczywiście – odparł Rizzardi z całkowitą pewnością, z jaką lekarze komentują niepewne rzeczy.

Brunetti uświadomił sobie, że trudno im rozmawiać w tym samym pokoju, w którym leży kobieta.

– Chodźmy na kawę – zaproponował. – Porozmawiaj z nimi, a potem przyjdź do nas do baru, zgoda? – zwrócił się do Pucetti.

– Tak jest – odparł Pucetti i rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie kobiecie, wyszedł spiesźnie.

Obaj mężczyźni bardzo cicho opuścili pokój, jak zwykle robią to ludzie w szpitalu. Gdy szli korytarzem, w kierunku znajdującego się przy wejściu baru, Brunetti zapytał normalnym już głosem:

– Jak myślisz, co się stało?

Rizzardi nic nie mówił przez chwilę, dopóki Brunetti nie dodał:

– To zostanie między nami.

– Chętnie ci powiem – odparł Rizzardi z uśmiechem. – Zastanawiałem się nad możliwymi wyjaśnieniami, a nie nad tym, czy podzielić się z tobą moją opinią. – Umilkł, gdy doszli do dziedzińca, gdzie deszcz padał coraz gęściej.

Drzewa nie zaczęły jeszcze tracić liści, a ulewa nie zdołała zerwać zbyt wielu z nich. Brunettiemu przyszło do głowy, że o tej

porze roku wszystkie liście powinny już leżeć na ziemi.

– Przypuszczam, że widziałeś podobne przypadki. – Rizzardi stał z rękami w kieszeniach i obserwował dwa koty śpiące na niskim kamiennym murku. – Mogły powstać, gdy się bronila, ale mogła też uszkodzić palce, próbując złagodzić upadek. Nastąpiło też uderzenie w głowę, ale mogło być tak, że uderzyła się o ścianę lub stopień schodów, upadając. Ma skaleczenia na twarzy, po lewej stronie, co oznaczałoby, że zadała je praworęczna osoba, jeśli ktoś ją uderzył. Jednak ten rodzaj obrażeń jest częsty przy upadku.

Jeden z kotów otworzył oczy, wstał i wygiął grzbiet w łuk, a potem położył się znowu i w jednej chwili zapadł w głęboki sen.

– Może istnieje jeszcze inne wyjaśnienie. Niewykluczone, że załoga karetki będzie coś wiedziała, albo ta kobieta powie nam, co się stało, gdy się obudzi. – Lekarz popatrzył na Brunettiego. – A twoim zdaniem jak to wygląda?

Brunetti przesunął prawą dłoń po włosach i stwierdził, że nadal są wilgotne. Wytrzeł rękę o spodnie i ruszył dalej w kierunku baru.

– Widziałem ich wystarczająco dużo, zazwyczaj kobiet pobitych przez partnerów lub mężów. To może być jeden z takich przypadków. Są wszystkie oznaki: głowa, twarz, palce.

W barze zamówił dwie kawy, nie pytając Rizzardiego, czego się napije.

Gdy podano im kawę, lekarz wypił łyk.

– Uderzyłem mężczyznę raz – odezwał się. – Raz jeden w całym życiu. Ale nie potrafię sobie wyobrazić uderzenia kobiety.

– Dlaczego go uderzyłeś? – zapytał Brunetti.

– Och, to była taka jedna sprawa – odparł Rizzardi.

Brunetti odwrócił się i popatrzył na niego.

– Wszystko jest jakąś s p r a w ą, Ettore. Dlaczego go uderzyłeś?

– Płynąłem *vaporetto* – zaczął Rizzardi. Podniósł filiżankę kawy, przyjrzał się temu, co w niej pozostało, zamieszał kilka razy i wypił do końca. – Po mojej lewej stronie stał mężczyzna. A przed nim była mała dziewczynka. No dobrze, może nie taka

mała. Miała może ze trzynaście lat, czyli tak, była wciąż małą dziewczynką. Gdy ten mężczyzna myślał, że nikt nie patrzy, pochylił się w bok, położył rękę na jej pupie i ścisnął. Nie zabrał tej ręki. Patrzyłem na nią, śliczną dziewczynkę w sukience. To było lato, więc miała lekką sukienkę.

Rizzardi odstawił filiżankę na spodek i odwrócił się, by spojrzeć na Brunettiego.

– Dziewczynka popatrzyła na niego, ale on nie cofnął ręki i uśmiechnął się do niej. Była przerażona, zawstydzona i zakłopotana. – Odwrócił się do barmana, zamówił szklankę wody mineralnej i znowu popatrzył na Brunettiego. – Dlatego go uderzyłem. Zacisnąłem dłoń w pięść i uderzyłem go w brzuch. Jestem lekarzem, więc nie chciałem ryzykować uderzenia w głowę lub w twarz. Nie chciałem złamać mu niczego ani uszkodzić ręki, więc myślę, że nie uderzyłem bardzo mocno. Ale dostatecznie mocno.

Woda została przyniesiona. Rizzardi podniósł szklankę i wypił połowę.

– Zgiął się wpół, a gdy jego głowa znalazła się na wysokości moich kolan, pochyliłem się i powiedziałem: „Jeśli jeszcze kiedyś to zrobisz, zabiję cię”. – Lekarz westchnął. – Nigdy w życiu nie zrobiłem niczego podobnego, nie straciłem nad sobą panowania w takim stopniu.

– Co on zrobił? – zapytał Brunetti.

– Wysiadł na najbliższym przystanku. Nigdy więcej go nie widziałem.

– A ta dziewczynka?

Twarz Rizzardiego pojaśniała.

– Powiedziała: „dziękuję, *signore*”, i uśmiechnęła się do mnie.

– Twarz Rizzardiego odmieniła się w uśmiechu. – Nigdy w całym swoim życiu nie byłem z siebie tak dumny. – Odczekał kilka sekund i dodał: – Wiem, że powinienem się tego wstydić, ale tak nie jest.

– Zrobiłbyś to znowu? – zapytał Brunetti.

– Bez namysłu – odparł Rizzardi i roześmiał się.

W tym właśnie momencie pojawił się Pucetti i przystanął, zdumiony; podobnie jak Brunetti, przez wszystkie te lata nigdy

nie słyszał, by Rizzardi się śmiał.

Brunetti, zadowolony, że ma okazję, by oderwać się od tego, o czym opowiedział Rizzardi, zapytał:

– I co powiedzieli?

– Zgłoszenie dostali od mężczyzny, który minął ją na ulicy, w pobliżu Zattere. Powiedział, że zobaczył kobietę siedzącą na stopniach budynku, z zakrwawioną twarzą. Odezwał się do niej, ale miał wrażenie, że go nie rozumie, więc wezwał karetkę.

– Zapisali jego nazwisko?

– Tak. Został z nią, dopóki nie przyjechali.

– Powiedział im coś jeszcze?

– Nic takiego. Tylko tyle, że wracał do domu i zobaczył tę kobietę.

– Czy ona coś mówiła?

– Powiedziała im, że się przewróciła.

– Gdybym dostawał dziesięć euro za każdym razem, gdy to słyszę, mógłbym przejść na emeryturę – wtrącił Rizzardi i zapytał Pucettiego, czy napije się kawy.

Pucetti popatrzył na Rizzardiego, nie odpowiedział, a potem oznajmił, że nie ma ochoty na kawę.

Brunetti zapłacił i wyszli z baru, minęli dziedziniec i wrócili na Pronto Soccorso. Tym razem Brunetti uniósł rękę na widok mężczyzny za szybą, a recepcjonista odwzajemnił gest pozdrowienia i uśmiechnął się.

Gdy Brunetti otworzył drzwi do pokoju, zobaczył, że kobieta ma otwarte oczy. Ale zanim trzej mężczyźni podeszli do łóżka, jej oczy znowu się zamknęły.

– *Signora?* – zapytał Brunetti. Nie było odpowiedzi.

Rizzardi, który najwyraźniej postanowił się nie wtrącać, nie odezwał się.

Pucetti pochylił się i powiedział łagodnie:

– Signora Ana, to ja, Roberto. – Położył prawą rękę na jej ramieniu. – *Signora*, czy pani mnie słyszy?

Powoli otworzyła oczy, zobaczyła jego twarz blisko swojej twarzy i uśmiechnęła się.

– Proszę nic nie mówić, *signora*. Wszystko jest dobrze, wszystko będzie dobrze.

– Czy możesz ją zapytać... – zaczął Brunetti.

Pucetti wyprostował się i odwrócił do komisarza.

– Myślę, że dość już przeszła, *commissario*. Nie uważa pan? – Potem, uwzględniając także Rizzardiego, dodał: – Sądzę, że powinniśmy wyjść i pozwolić jej odpocząć.

Brunetti cofnął się i unióśł ręce z otwartymi dłońmi. W jego głosie zabrzmiała chęć zachowania twarzy lub reputacji.

– Rzeczywiście przeszła za dużo. Masz rację. – Odwrócił się i skierował do drzwi. Mijając Rizzardiego, powiedział: – Chodźmy, Ettore. Pucetti ma rację.

Dwaj mężczyźni podeszli do drzwi i zatrzymali się. Pucetti pochylił się i znowu położył dłoń na ramieniu kobiety.

– Proszę spróbować się przespać, *signora*. Wrócę, gdy tylko będę mógł. – Gdy usiłowała coś powiedzieć, unióśł jeden palec, jakby chciał go łagodnie położyć na jej wargach. – Nie, nie teraz. Wszystko może poczekać. Proszę się przespać. I proszę zdrowieć. – Najdelikatniej jak to możliwe ścisnął jej ramię i bardzo powoli odszedł od łóżka, w drzwiach obejrzał się jeszcze, jakby chciał się upewnić, że wszystko z nią w porządku.

Trzej mężczyźni wyszli z pokoju, a Pucetti ostrożnie i bardzo cicho zamknął drzwi.

Brunetti nie wiedział, czy powinien się roześmiać, czy odwrócić plecami do młodszego policjanta. Z pewnością w trakcie kariery policyjnej zdarzało mu się oszukiwać świadków, rzadko jednak był w tym aż tak dobry, choć nie wiedział, czy właśnie takim słowem należy określić to, co na jego oczach zrobił Pucetti. Młody mężczyzna był genialnym kłamcą, miał do tego talent taki, jaki inni miewają do muzyki, golfa lub robótek ręcznych. To porównanie wydało się Brunettiemu niestosowne, chociażby dlatego że te pozostałe uzdolnienia były neutralne, podczas gdy kłamstwo trudno byłoby chyba za takowe uznać. Jeśli miało się przyczynić do poznania okoliczności śmierci syna signory Cavanelli, z pewnością było pożyteczne, a co za tym idzie – dobre. Och, jak bardzo jezuickie stało się jego myślenie.

Popatrzył na gładką twarz młodego policjanta i zastanowił się, gdzie by go umieścił Dante. Wśród oszustów? Fałszywych doradców? Czy Pucetti byłby uwięziony w płomieniu, czy też rozszarpywany na kawałki przez siebie podobnych?

Rizzardi oszczędził mu konieczności wygłoszenia komentarza, mówiąc:

– Całkowicie ci uwierzyłem. – Dodał jeszcze: – Widziałem was razem rano i byłeś wtedy bardzo miły dla niej.

Pucetti spojrział w podłogę i zacisnął wargi.

– Nie wiem, czy podoba mi się, że mogę to robić, *dottore*. – Podniósł oczy, by popatrzeć, jak ubrana w biały fartuch lekarka zbliża się do nich i mija ich, a potem znów spojrział na Rizzardiego. – Większość ludzi tak bardzo chce wierzyć w to, co mówią inni, że to jest aż za łatwe. – Dodał gorąco: – Wie pan, nie mówię tego ot tak sobie. Naprawdę nie podoba mi się, że to takie łatwe. – Umilkł na chwilę. – Nie jest też łatwo robić jej coś takiego. On był jej jedynym dzieckiem.

Słuchając, jak Pucetti to mówi, Brunetti uświadomił sobie, jak

bardzo chciałby mu wierzyć. Jego myśli pobiegły do Paoli, tak przebiegłej i podstępnej, jak to tylko możliwe, a jednak pozostającej jedną z nielicznych uczciwych osób, jakie znał.

Rizzardi przerwał tok jego myśli.

– Muszę już wracać. Zostawię was, żebyście mogli do woli roztrząsać sprawę tej nieszczęsnej kobiety. – Z tymi słowami odwrócił się i odszedł.

Brunetti i Pucetti skierowali się do wyjścia. Młodszy policjant skorzystał z okazji, by powiedzieć komisarzowi, że *parocco* poinformował go, iż objął parafię zaledwie sześć miesięcy temu i nigdy nie słyszał o signorze Cavanelli. Przy drzwiach popatrzyli na *campo*. Deszcz ustał, niebo się przetaiło i Brunetti nie potrzebował już parasola. W tym momencie uświadomił sobie, że musiał go gdzieś zostawić, przy wejściu do Pronto Soccorso, w pokoju signory Cavanelli lub też w barze. Zastanawiał się, gdzie one się podziały, te wszystkie parasole, których zapomniał w pociągach, na łodziach, w biurach i sklepach przez dziesiątki lat?

Wyszedł na chłodniejsze powietrze: jesień właśnie nadeszła.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło dziś rano – poprosił Pucetiego. Stojąc w tym miejscu, wdychając odświeżone powietrze i obserwując chmury przesuwające się szybko na zachód, nie miał ochoty wracać do komendy. Ruszył w stronę mostu, kierując się do domu, a Pucetti poszedł za nim.

Gdy przechodzili koło szkoły, Pucetti zrównał się z nim i zaczął wyjaśniać, co zaszło. Przybył punktualnie do domu signory Cavanelli i pilnował się, by zachowywać się formalnie i grzecznie, nic więcej. Ale na drugim moście, gdy zatrzymała się, zanim na niego weszła, Pucetti wziął ją pod ramię i puścił natychmiast, gdy znaleźli się po drugiej stronie. Ponieważ postanowiła iść pieszo, minęli jeszcze wiele mostów i zanim doszli do ostatniego, tego przed szpitalem, przez który właśnie przeszli z Brunettim, utarł się zwyczaj, że młody policjant pomagał jej za każdym razem.

To właśnie ona zapytała Rizzardiego, czy Pucetti może wejść z nią do kostnicy, a potem właśnie on wziął ją za ramiona i pomógł utrzymać się na nogach, gdy Rizzardi odsłonił prześciera-

dło zakrywając twarz jej syna.

Później pomógł jej wypełnić formularze i omal nie zarekwirował karetki, żeby odwiozła ją do domu. Brunettiego ciekawiły motywy postępowania Pucettiiego, ale nie wiedział, jak sformułować pytanie. Młody mężczyzna sam z siebie wyjaśnił to, gdy wchodzili na Campo San Bortolomeo.

– Początkowo uznałem, że dobrym pomysłem będzie zdobycie jej zaufania wszelkimi dostępnymi metodami, ale ostatecznie zrobiło mi się jej żal, *commissario*. Była zdruzgotana jego śmiercią. Nikt nie umiałby tego udawać.

Brunetti przystanął pod pomnikiem zawsze eleganckiego Goldoniego i powstrzymał się od przypomnienia Pucettiemu, że on sam udawał silne emocje niezwykle przekonująco. Zamiast tego powiedział młodszemu policjantowi, że spisał się doskonale i jeśli chce, może już skończyć służbę. Pucetti zdecydował jednak, że wróci do komendy. Brunetti uniósł dłoń w swobodnym pożegnaniu i skierował się prosto do domu.

*

Następnego dnia rano Brunetti zadbał o to, by pojawić się w komendzie punktualnie, chociaż nikt nie zwracał szczególnej uwagi na to, o której przychodzi do pracy. Zadzwoił do szpitala z domu tuż po ósmej i rozmawiał z siostrą oddziałową opiekującą się oddziałem Any Cavanelli. Signora spokojnie prześpała noc; lekarz, który ją badał, zdecydował, że powinna zostać jeszcze dobie, zanim będzie mogła wrócić do domu. Pielęgniarka nie wiedziała, czy ktoś ją odwiedzał, oznajmiła tylko, że do jej pokoju została przeniesiona jeszcze jedna kobieta.

Signorina Elettra była w swoim gabinecie, stała przy szafie koło drzwi i chowała teczkę na miejsce. Widząc ją ubraną w kaszmir – rdzawopomarańczowy kardigan – po długiej letniej przerwie, Brunetti zyskał potwierdzenie, że nadeszła jesień.

– Och, *commissario*, proszę tu podejść, a opowiem panu niezwykle rzeczy.

Zbliżył się za nią do biurka. Zamiast włączyć komputer, wyjęła wystające z boku małe *chiavetta*.

– Czy możemy użyć pańskiego komputera, *signore*?

Szybkie spojrzenie powiedziało mu, że drzwi gabinetu Patty są otwarte, co sugerowało, że jeszcze nie przyszedł do pracy. Tak, lepiej, by Patta nie zaczął dnia od widoku Brunettiego spiskującego z signoriną Elettrą i jej komputerem.

Na górze pozostawił jej włożenie *chiavetta* i włączenie komputera, a sam przez ten czas odwiesił płaszcz i szalik do szafy.

– Proszę – zawołał do niej.

Signorina Elettra usiadła w jego fotelu i czule przesunęła dłonią po klawiaturze komputera, który załatwiła dla niego rok temu. Nie wiedział, co takiego zrobiła, by to osiągnąć, ani ilu policjantów w Bari musiało się obejść bez podstawowego wyposażenia, ponieważ on miał tę zaawansowaną maszynę, będącą przedmiotem zazdrości młodszych policjantów i źródłem niemądrej dumy dla niego. Skłonienie w jakiś sposób Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, żeby kupiło mu maserati, byłoby porównywalnym przykładem podejrzanego i zmarnotrawionego konsumpcjonizmu.

Z jej uśmiechu dało się jasno wywnioskować, jak bardzo ceniła maszynę, z której korzystała, co sprawiło, że Brunetti nie po raz pierwszy zastanowił się, dlaczego powierzyła ten komputer jemu, zamiast zatrzymać go dla siebie. Podszedł do biurka i przesunął wokół niego jedno z krzeseł dla gości.

– Proszę spojrzeć – powiedziała Elettra, wskazując ekran. Rozpoznał dwustronny dokument, który zobaczył: okładki i wewnętrzne strony *carta d'identità*, wydanej sześć lat temu przez Comune di Venezia. Jako datę urodzenia kobiety podano rok 1953, miejsce urodzenia: Wenecja, a adres zamieszkania: San Polo. Jej stan cywilny był określony jako *nubile*, a nie *sposata*, jej zawód zaś jako *casalinga*, czyli gospodyni domowa lub kobieta zajmująca się domem. Pobierała najniższą państwową emeryturę.

Signorina Elettra nacisnęła klawisz i dowód tożsamości został zastąpiony przez raport z ULSS, zawierający nazwisko kobiety i ten sam adres, a także nazwisko opiekującego się nią lekarza. Mieszkał także w San Polo.

Następny klawisz i Brunetti zobaczył listę i przyczyny wizyt le-

karskich, a także następujące po nich diagnozy i przepisane leki, przynajmniej z ostatnich siedemnastu lat, od czasu gdy zaczęto digitalizować dokumentację. Przebiegając po nich spojrzaniem, zobaczył, że była jedną z tych osób, które, podobnie jak jego matka przez większość życia, mogłyby doprowadzić lekarzy do bankructwa. Była u lekarza sześć razy w ciągu ostatnich dwunastu lat, dwa razy z powodu grypy, raz z powodu infekcji pęcherza moczowego i dwa razy po skierowanie na badania cytologiczne. Rok temu dostała receptę na popularny środek nasenny.

– A jej syn? – zapytał Brunetti.

Signorina Elettra potrząsnęła głową.

– Nic. On nie istnieje. Nie urodził się, nie chodził do szkoły, nigdy nie był u lekarza ani w szpitalu. – Popatrzyła na niego i dodała: – To samo, co znalazł Pucetti. A raczej, czego nie znalazł.

Wpisała „Davide Cavanella”, a na ekranie wyświetlił się dokument z nazwiskiem i, po drugiej stronie, rzędem XXXXXX zamiast informacji. Nigdy nie był aresztowany, nie wydano mu prawa jazdy ani licencji łowieckiej, nie miał paszportu ani *carta d'identità*, nigdy nie pracował na posadzie państwowej ani nie płacił składek emerytalnych. Nie otrzymywał także zasiłku jako osoba niepełnosprawna. Signorina Elettra wpadła na jeszcze jeden pomysł, a może chciała pokazać, że sprawdziła każdą ewentualność. Wróciła do poprzedniego ekranu i kliknęła w wiersz: „Matka nie pobiera zasiłku pielęgnacyjnego”.

W kraju pełnym pozorowanych niewidomych, krewnych pobierających emeryturę za członków rodziny, którzy zmarli dzieśnięć lat temu, oraz osób ze stwierdzoną stuprocentową niepełnosprawnością, grających w golfa i tenisa, był człowiek autentycznie niepełnosprawny, który nigdy nie domagał się niczego od państwa.

– Nic? – zapytał, pewien, że signorina Elettra przeszukała także inne miejsca i nawet mu o tym nie powiedziała.

– Nic. Z punktu widzenia jakiegokolwiek oficjalnej ewidencji on nie istnieje i nigdy nie istniał.

Przez pewien czas siedzieli w ciszy, wpatrując się w ekran. Si-

gnorina Elettra nacisnęła jeszcze jeden klawisz i ekran stał się pusty, jakby ilustrując życie Davide Cavanelli. Brunetti pomyślał, że to melodramatyczny gest, ale zachował tę opinię dla siebie.

– A Lucrezia Lembo? – zapytał, szukając jakiegokolwiek innej możliwości.

Dłonie signoriny Elettry powróciły na klawiaturę. Otworzyła listę plików i zaznaczyła jeden z nich. Gdy go otworzyła, pojawiła się kolejna *carta d'identità* z czarno-białym zdjęciem niemłodej kobiety, patrzącej surowo w obiektyw, jakby podejrzewała go o złe intencje. Jej oczy były jasne, co sugerowało, że ciemna cera jest raczej efektem działania słońca niż naturalnym kolorem, miała też minimalny makijaż, o ile w ogóle, więc nic nie maskowało jej czujnych oczu i mocno zaciśniętych warg. Popatrzył na strony wewnętrzne i odczytał jej datę urodzenia: dwa lata przed Aną Cavanellą, a jej rodzice mieszkali w Dorsoduro. Miała wpisany wzrost 174 cm, stan cywilny: *sposata*, kolor włosów: *bionda*, obecny zawód: *direttrice*, co, bez żadnych wskazówek, czego była dyrektorem, mogło oznaczać dosłownie wszystko.

– Coś jeszcze? – zapytał.

W milczeniu zaprezentowała mu dokumentację medyczną Lucrezii Lembo z ostatnich piętnastu lat, co okazało się obszerną lekturą. Po pięćdziesiątce rozwinęła się u niej cukrzyca, najwyraźniej jednak dzięki lekom udawało się ją utrzymywać pod kontrolą; dwa razy była hospitalizowana z powodu zapalenia płuc, a zgodnie z notatkami jej lekarza, nadal dużo paliła, co, jak zaznaczył ten sam lekarz, zaostrzało zarówno zapalenie płuc, jak i cukrzycę. Niewiele wskazywało na to, by poddawała się jakimkolwiek okresowym badaniom: nigdy nie miała robionych badań cytologicznych ani mammografii, chociaż w dokumentacji znajdowały się liczne zalecenia lekarza, by je wykonała.

Przyjmowała avandię na cukrzycę, tavor na nerwicę, zoloft na depresję, a w przeszłości miewała zapisywany lek o nazwie Anatabuse, który, jak wiedział Brunetti, podawano alkoholikom i który sprawiał, że każdy alkohol bardzo im szkodził. Dostała

jedną receptę sześć, a jedną cztery lata temu, ale nic więcej od tamtego czasu. Brunetti przesunął wzrokiem po długiej liście leków, które zapisywano jej regularnie, i zauważył sporo popularnych antybiotyków; innych nie znał.

Miała paszport i przez wiele lat regularnie odnawiała jego ważność. Nie było żadnych śladów tego, dokąd z nim jeździła.

Trzy lata temu zaczęła dostawać państwową emeryturę, ponieważ przepracowała dwadzieścia siedem lat jako dyrektor do spraw produktów w Lembo Minerals.

– Czym się zajmuje Lembo Minerals? – zapytał.

– Wydobywają rudę, przede wszystkim miedzi, z kopalni na całym świecie i transportują ją do fabryk w innych krajach.

– To wszystko?

– W skrócie tak – odparła signorina Elettra. – Przynajmniej tak wynika z publicznie dostępnych informacji.

– To co w takim razie produkują?

– Większe i mniejsze kawałki ziemi, jak sądzę, z wetkniętą w nie pewną ilością metalu.

– Była dyrektorem do spraw produktów – zauważył, wskazując słowa wyświetlone w formularzu na ekranie.

– To była firma jej ojca – podsunęła signorina Elettra.

– To znaczy?

– To znaczy, że powinniśmy być wdzięczni, że dał jej pracę, a ona płaciła podatki i składki emerytalne. Inaczej mógłby po prostu wszystko jej dawać i już, bez żadnych podatków.

– Nie myślałem o tym w ten sposób – przyznał Brunetti.

Signorina Elettra zignorowała to, albo przynajmniej udała, że bagatelizuje.

– Proszę spojrzeć – powiedziała. Nacisnęła kilka klawiszy i ekran rozjaśnił się kolorami. Gdy oczy Brunettiego przywykły do tej zmiany, zobaczył, że to okładka hiszpańskiego tabloidu. Zdjęcie przedstawiało dojrzałą kobietę w bikini, jakiego naprawdę nie powinna była już wkładać, na pewno nie w tym wieku, unosząc rękę, by osłonić trwale opaloną twarz przed słońcem. W tle widać było standardowy basen wyłożony turkusowymi kafelkami oraz liczne palmy. Niezwykle przystojny młodzieniec w równie skąpym stroju kąpielowym, który mógł nosić

z klasą, podawał kobiecie papierosa, a znacznie młodsza para, ubrana w grube szlafroki plażowe z białej bawełny, przysiadła, przyciskając do siebie kolana, na krawędzi oślepiająco białych plastikowych krzeseł, starając się z całych sił wyglądać, jakby nie wiedzieli, kim jest dwoje pozostałych ludzi.

Hiszpański nagłówek był dostatecznie łatwy, by dało się go przetłumaczyć: „Lucrezia, księżniczka miedzi, i jej nowy towarzysz życia bawią się dobrze w domu przyjaciół na Ibizie”. Signorina Elettra dotknięciem klawisza przewróciła stronę: Brunetti był pod wrażeniem sposobu, w jaki to zostało pokazane, jakby w odpowiedzi na ruch ludzkiej ręki. Czasopismo otworzyło się na dwóch stronach rozkładówki, zawierających kolejne zdjęcia całej czwórki. Na stronie po lewej były dalsze fotografie pary w kostiumach kąpielowych, w tym jedna pokazująca Lucrezię Lembo od tyłu, niezwykle niekorzystna, nie tylko dlatego, że ciało na jej udach zaczynało żałośnie więdnąć, ale dlatego, że widać było, jak młody mężczyzna wsuwa dłoń pod elastyczny materiał majtek bikini. Tekst na drugiej stronie wyjaśniał, że dwoje ubranych na biało młodych ludzi – którzy byli całkowicie zasłonięci na wszystkich zdjęciach – to jej syn i córka, Loredano i Letizia.

– Chyba lubią tę literę – stwierdziła signorina Elettra.

Brunetti zignorował tę uwagę i zapytał, wskazując ekran:

– Ile lat temu to było?

Cofnęła widok do okładki magazynu i pozwoliła mu odczytać datę: dwanaście lat temu. Lucrezia musiała być po pięćdziesiątce, chociaż jej twarz wydawała się co najmniej o dziesięć lat młodsza. Jej dzieci zbliżyły się chyba do dwudziestki, czyli obecnie miały około trzydziestu lat.

– A ten młody człowiek? – zapytał.

– Chodzi panu o jej męża? – odparła signorina Elettra, a Brunetti poczuł, że ogarnia go fala żalu, jak na wiadomość o chorobie lub śmierci przyjaciela.

Nie chciał, by signorina Elettra oskarżyła go o zbyt pospieszne ocenianie ludzi lub też o równoważną zbrodnię zbyt pochopnego szafowania współczuciem, dlatego nic nie powiedział, ale jeszcze raz przyjrzał się twarzy i posturze młodego mężczyzny.

Jego ciało promieniowało pewnością siebie. Czy istniało jeszcze jakieś pragnienie, które chciałby zaspokoić? Czy było jeszcze coś, czego mógł pragnąć?

Brunetti zmusił się, by odwrócić oczy od fotografii, zakłopotany tym, że jego nieprzyjemne uczucie wobec tego obcego mężczyzny może być tak silne. Powiedział sobie, że ma przestać się zachowywać jak nastoletni sir Galahad, i zapytał:

– A co z drugą siostrą czy też siostrami?

– Były trzy siostry – odparła signorina Elettra. – Lavinia, Lorenza i Lucrezia.

– Z Lorenzą odrobinę przesadzili – powiedział Brunetti, z ulgą przyjmując łatwość znowu ironicznego tonu.

– Tak się składa, że ona nie żyje.

– Co się stało?

– Zgodnie z raportami, jakie czytałam, utonęła w ich basenie – odparła signorina Elettra. Myśli Brunettiego pobiegły do pierwszego zdjęcia.

– Gdzie?

– Nie – powiedziała. – Nie tam. – Szybko dodała: – Powinam była od razu wyjaśnić. Mieli ranczo w Chile, wydaje się, że jakiś rodzaj *finca*, i tam właśnie została znaleziona. – Zanim komisarz zdążył zapytać, dodała: – Osiem lat temu. Była najmłodsza w rodzinie, miała zaledwie dwadzieścia lat, gdy to się stało – zakończyła ponuro.

Brunetti zajął się obliczeniami na podstawie dat, a gdy skończył, spytał:

– Miały tę samą matkę?

– Nie. Ich ojciec zostawił pierwszą żonę po trzydziestu czterech latach i założył rodzinę z – jest pan na to gotów? – fizyko-terapeutką, która zajmowała się nim, gdy złamał obojczyk na nartach. Lorenza była ich córką.

– Ile miał lat?

– Gdy zostawił żonę?

– Tak.

– Sześćdziesiąt.

Tego rodzaju często powtarzająca się historia z pewnością nie była jego sprawą. Zazwyczaj przydarzała się jego znajomym,

gdy byli koło czterdziestki; Lembo po prostu zaczął o pokolenie dłużej.

– On zmarł w zeszłym roku, prawda? – zapytał Brunetti. Przypominał sobie niejasno, że czytał o jego śmierci, ale najlepiej pamiętał własne zaskoczenie tym, że w gazecie z takim żalem pisano o śmierci kolejnego dinozaura.

– Mieszkali tutaj, ale nie w *palazzo*.

– Gdzie? Oni?

– Mieszkał na Giudecce. Nie z fizykoterapeutką; zostawiła go po śmierci ich córki. Miał towarzyszkę życia oraz osoby zatrudnione do sprzątanania i gotowania. Nie ożenił się z tą towarzyszką.

Brunetti miał wrażenie, że rozegrał właśnie kolejną rundę gry w odkrywanie intryg tej rodziny. Bogata blondynka wyszła za żigolaka w wieku własnego syna. Bogaty mężczyzna, który nie mógł doczekać się syna, porzucił żonę dla młodszej kobiety, tylko po to, by urodziła mu się kolejna córka. Córka zmarła.

– A ta druga córka? Lavinia?

Signorina Elettra nie sięgnęła do klawiatury.

– Studiowała za granicą i została tam na stałe. Ma teraz pięćdziesiąt jeden lat.

– Gdzie mieszka?

– W Irlandii. Wykłada matematykę w Trinity College w Dublinie. – Zanim zdążył zapytać, dodała: – W tym tygodniu prowadziła zajęcia.

Brunetti poczuł przyływ ulgi na myśl o tym, że życie jednej z córek ułożyło się dobrze. Ponownie zastanowił się nad Lucrezią.

– Może pani się cofnąć i pokazać mi nazwisko jej lekarza?

– Czyjego? – zapytała, zaskoczona.

– Signory Cavanelli.

Signorina Elettra szybko wyświetliła dokumentację medyczną, a komisarz zapisał nazwisko, adres i numer telefonu lekarza. Nazwisko wydało mu się znajome: Luca Proni. Czy sam nie chodził do szkoły z Umbertem Pronim? Z pewnością w mieście była tylko jedna rodzina o takim nazwisku.

Wyjął telefon i wybrał numer gabinetu lekarza. Nagrana wia-

domość poinformowała go, że doktor przyjmuje od 9 do 13 i od 16 do 19, od poniedziałku do piątku. W nagłych przypadkach pacjenci mogą dzwonić na jego *telefonino*. Brunetti był zaskoczony, słysząc coś takiego od lekarza rodzinnego, a jeszcze bardziej, gdy został podany numer komórki. Zapisał go i bezwładnie wybrał.

Po trzech dzwonekch odezwał się niski głos:

– Proni.

– Dottor Proni – zaczął Brunetti, decydując, że nie ma sensu marnować czasu ani próbować go oszukiwać. – Mówi Guido Brunetti. Chodziłem do szkoły z Umbertem.

– To pan został policjantem, prawda? – zapytał lekarz całkowicie neutralnym tonem.

– Tak.

– Umberto często o panu opowiadał. – Ze sposobu, w jaki to powiedział, nie dało się ocenić, co takiego mógł opowiadać Umberto.

– Mam nadzieję, że mówił o mnie dobrze – odparł lekko Brunetti, zastanawiając się, co wiele lat temu mógł mu powiedzieć Umberto na temat swojego młodszego brata. Niczego sobie nie przypomniiał.

– Oczywiście. – Po chwili dodał: – Jak mogę panu pomóc, *commissario*?

– Jest pan zapisany jako lekarz rodzinny Any Cavanelli.

Nastąpiła krótka chwila wahania.

– Tak, jestem.

– W takim razie wie pan już, *dottore*? – zapytał Brunetti. Proni był jej lekarzem, więc szpital na pewno się z nim kontaktował.

– O czym? – zapytał Proni głosem, w którym brzmiały jednocześnie ciekawość i troska, ale ani odrobiny zaniepokojenia.

– Signora Cavanella jest w szpitalu.

– Co takiego? – zapytał doktor.

– Przykro mi, *dottore*. Myślałem, że zadzwonili do pana.

– Nie. Co się stało?

– Została wczoraj znaleziona przy Zattere. Powiedziała mężczyźnie, który ją znalazł, że upadła. – Brunetti mówił neutral-

nym tonem, ograniczając się do przekazywania informacji. Gdy Proni nie odpowiedział, komisarz ciągnął: – Ma podejrzenie wstrząsu mózgu, złamane dwa palce, a jej twarz jest mocno posiniaczona. Jednakże lekarz, który ją badał, stwierdził, że nic jej nie zagraża.

Proni nadal milczał.

– Chciałbym z panem porozmawiać – dodał Brunetti.

– Rozumie pan, że jestem jej lekarzem – odparł Proni, tym razem wykorzystując ten fakt do stworzenia bariery dla informacji.

– Wiem o tym, *dottore*. – Brunetti zrezygnował z pomysłu zapytania o Davide; chciał tylko porozmawiać z Pronim twarzą w twarz. – Wiem, co to znaczy w kategoriach pana odpowiedzialności zawodowej.

– Ale mimo to chce pan ze mną porozmawiać?

Brunetti postanowił powiedzieć mu prawdę.

– Tak, chciałbym. Są pewne rzeczy, których w jej przypadku nie rozumiem. Dotyczące także jej syna.

– Chodzi panu o jego śmierć?

– Tak.

– To był wypadek – stwierdził Proni.

– Też tak uważam, *dottore*. Ale chciałbym zrozumieć, jak mogło do tego dojść.

– To brzmi jak prywatna ciekawość, *commissario*.

Brunetti sapnął cicho, zrozpaczony tym, jak łatwo dało się go przejrzeć.

– To niewykłuczone.

– W takim razie porozmawiam z panem – zaskoczył go odpowiedzią Proni.

Brunetti spojrział na zegarek.

– Mógłbym być w pana gabinecie za dwadzieścia minut, *dottore*.

– Dobrze – usłyszał Brunetti, i lekarz się rozłączył.

Brunetti podszedł do okna, wychylił się i zobaczył na *fondamenta* Foę rozmawiającego z policjantem przy drzwiach. Komisarz zawołał pilota po nazwisku i krzyknął, że musi popłynąć do San Polo; Foa uniósł rękę na znak zgody. Schodząc po schodach, Brunetti był świadomy dezaprobaty, jaką wyraziłaby Chiara, gdyby się dowiedziała, że przepłynął całe miasto w policyjnej łodzi, choć równie dobrze mógłby skorzystać z transportu publicznego, nawet jeśli by wybrał linię numer dwa, potrzebowałby ponad dwudziestu minut, by znaleźć się na miejscu. Jej aktualna mantra brzmiała „Ludzie powinni nauczyć się czekać”.

Wsiadł do łodzi, ignorując wyciągniętą do pomocy rękę pilota. Foa przekręcił kluczyk, ożywił silnik i odpłynął od nabrzeża, kierując się do *bacino*.

– Obawiam się, że to ostatnie dni, kiedy można stać na pokładzie – powiedział pilot przyjaźnie.

– Dla osób takich jak ja z pewnością – odparł Brunetti. – Aż do pierwszych oznak wiosny tobie pozostawię wystawianie się na warunki pogodowe.

Foa uśmiechnął się, słysząc poufały ton.

– Zadzwoń do kilku znajomych w sprawie rodziny Lembo, tak jak mnie pan prosił. Żeby sprawdzić, czego jeszcze uda mi się dowiedzieć.

– Doskonale – stwierdził Brunetti. – Co takiego mieli ci do powiedzenia?

– No cóż – powiedział Foa, biorąc szeroki zakręt w prawo, żeby dostać się na Canale Grande. – To *una famiglia sfigata*. – W ten sposób wyrażała się ulica, ale z tych nielicznych informacji, jakie zdobył Brunetti, wynikało, że ta rodzina rzeczywiście jest „pokręcona”.

– Co jeszcze ci powiedzieli?

– Jedna ich córka umarła. Chyba w Brazylii. Druga jest w Ir-

landii czy gdzieś tam, ale wydaje się, że wyszła na ludzi. Jest jeszcze ta jedna, która miała dzieci, Lucrezia. – Prychnął z rozpaczą na to imię. – Kto zrobiłby coś takiego dziecku, nazywając je w ten sposób?

– Swoje dzieci nazwała Loredano i Letizia.

Foa wydał kolejny pomruk dezaprobaty.

– Przypuszczam, że chciała przypodobać się rodzicom. Z tego, co mówili moi przyjaciele, wynika, że trzymali rodzinę żelazną ręką. – Po chwili namysłu Foa dodał: – Chociaż kilku z nich mówiło, że to głównie matka. Prawdziwa tygrysyca. Do tego głęboko religijna.

– Co to znaczy? – Brunetti spojrzał na szczyt dzwonnicy San Giorgio akurat w momencie, gdy anioł postanowił obrócić się na wietrze i pomachał do komisarza skrzydłami.

– Przyjaźniła się z patriarchą, zawsze zakładała czarną woalkę, gdy szła na mszę, i była najgorszym rodzajem *basabanchi*. – Po chwili dodał: – Mówiono mi, że wyniosła to z domu rodzinnego.

Brunetti uśmiechnął się, czując przyływ miłości do ojczystego języka. Widywał je jako chłopiec: zasłonięte woalkami kobiety w czerni, pochylające się, jakby chciały pocałować oparcie kościelnej ławki przed sobą. *Baciere in banco*. Tylko dialekt antyklerykalnej – dumnej i od wieków antyklerykalnej – Wenecji mógł przekreślić te słowa, działanie i koncept z tak jadowitą odrazą. *Basabanchi*.

– Matka trzymała przy sobie w *palazzo* zakonnicę, zatrudniała też guwernantkę, która miała wychować dziewczynki na prawdziwe damy. Jej ojciec – to znaczy, ojciec matki, czyli dziadek dziewczynek – miał jakiś tytuł, ale otrzymany od Sabaudów, więc w gruncie rzeczy bezwartościowy.

Brunetti pomyślał, że tę opinię wygłaszaną przez vox populi warto powtórzyć Paoli. Miał nadzieję, że przekaże tę uwagę swojemu ojcu; z pewnością doceniłby to, ponieważ jego tytuł był starszy o kilka stuleci. Foa umilkł i spojrzał kątem oka na Brunettiego, który pokiwał głową, zgadzając się z nim.

– To wszystko są plotki – ciągnął pilot. – Wie pan, jak to jest, gdy ludzie siedzą w barach i rozmawiają o innych ludziach.

– Których tam nie ma, więc nie mogą się bronić? – zapytał ze śmiechem Brunetti. Nie dodał, że pomagało także, jeśli omawiana osoba była bogata, odniosła życiowy sukces lub też jedno i drugie.

– Właśnie tak. Poza tym wszystko wskazuje na to, że ta rodzina zawsze – no dobrze, jak mi mówiono, głównie dziadek – zawsze podawała ludzi o byle co do sądu. Nikt tego nie lubi. Jeśli ktoś przeszkodził mu w zawarciu umowy albo chciał kupić interesującą go nieruchomość, następnego dnia przy śniadaniu spotykał sześciu prawników. Pytałem mojego ojca i powiedział, że nigdy nie słyszał o nim dobrego słowa.

Brunetti powstrzymał się od zauważenia, że lista ludzi, o których sam nigdy nie słyszał dobrego słowa, była dłuższa niż sporządzona przez Leporella lista podbojów Don Giovanniego. Zamiast tego zapytał:

– Czy poznałeś kiedyś którąś z tych córek?

– Ja nie, ale mój najlepszy przyjaciel Gregorio powiedział mi, że miał romans z Lucrezią. Dawno temu, przed ślubem. To nie było nic poważnego. – Brunetti bez trudu zrozumiał, że nie chodziło o ich wspólny ślub. – Gregorio zawsze uważał, że zrobiła to na złość matce.

– Jaką miała opinię? – zainteresował się Brunetti. – To znaczy, gdy była młoda.

– Sam pan wie, jak to jest – powiedział Foa i skrzywił w lewo, w Rio de la Madoneta. – Kiedy tylko kobieta spotyka się z mężczyzną, wszyscy zaczynają mówić, że on z nią spał. – Brunetti schował ten okruch wiedzy do kieszeni w swojej pamięci, by wyciągnąć go następnym razem, gdy ktoś przy nim zacznie mówić o postępie ludzkości.

Potem, jakby chcąc zadośćuczynić za to, co powiedział, Foa dodał:

– Gregorio mówił, że była miłą dziewczyną. Przyjaźnili się potem jeszcze długo.

– A teraz już nie?

– Nigdy w życiu. On się ożenił z dziewczyną z Giudekki, która trzyma go naprawdę krótko. Gdyby się dowiedziała, że choćby zadzwonił do innej kobiety, ustawiłaby w ogródku krzyż i po-

słałaby go po gwoździe.

– A on by poszedł?

– Obawiam się, że tak. – Foa miękko zatrzymał łódź po prawej stronie kanału.

– Nie musisz na mnie czekać – powiedział Brunetti.

– Dziękuję panu. Pójdę na kawę, a potem wrócę do komendy. Gdyby pan zmienił zdanie, proszę zadzwonić, to podpłynę po pana.

Brunetti powiedział, że tak zrobi, choć drżał na myśl o reakcji Chiary na wieść, że dwa razy podróżował łodzią przez całe miasto, a za drugim razem nie miał żadnych powodów, by się spieszyć. Ona prawdopodobnie także wysłałaby go po gwoździe.

Sprawdził adres w *Calli, Campielli e Canali*, więc bez trudu znalazł niepozorny budynek z ciemnozielonymi podwójnymi drzwiami. Nazwisko lekarza widniało przy jednym z dzwonek, a drzwi otworzyły się, gdy tylko Brunetti zadzwonił. W holu pachniało wilgocią, co nie było niczym dziwnym po wczorajszym deszczu. Na samym końcu korytarza drzwi naprzeciwko wejścia były otwarte. Brunetti wszedł przez nie i zobaczył typową poczekalnię przed gabinetem lekarza, z ustawionymi pod ścianami krzesłami, chociaż te krzesła były pojedyncze, drewniane, zabytkowe i piękne. Co jeszcze bardziej zaskakujące, na ścianach zamiast zwykłych sentymentalnych portretów psów i dzieci wisiły trzy delikatne grafiki, które przykuły wzrok komisarza. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to surrealistyczny miejski pejzaż z abstrakcyjnymi wieżami i kopułami, ale bliższe przypatrzenie się udowodniło, że to jego oczy, a nie linie, tworzyły iluzję miasta. Linie były tak gęste, że tło grafiki wydawało się szare; Brunetti zastanawiał się, jakiej techniki użył artysta, by rozmieścić je tak blisko i bezbłędnie, ponieważ w żadnym miejscu linia nie stykała się z drugą.

Brunetti wyjął z kieszeni okulary do czytania i założył je, aby lepiej przyjrzeć się tym magicznym liniom, przyciągającym wzrok widza z siłą elektromagnesu. Drugi rysunek sugerował plażę, choć także w tym przypadku to widz narzucał tę rzeczywistość grafice, na której odstęp między horyzontalnymi liniami o różnej szerokości sugerowały zmienność powierzchni

i faktury piasku i morza.

Trzecia musiała przedstawiać fasady budynków po wschodniej stronie Campo San Polo, ale tylko weneccjanin mógł to zobaczyć, tak jak tylko weneccjanin rozpoznałby Palazzo Soranzo i Palazzo Maffetti-Tiepolo. A może nie. Gdy Brunetti się cofnął, odległość przemieniła to wszystko w zwykłe linie, gęsto nakreślone, ale całkowicie abstrakcyjne i pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Przesunął spojrzeniem po trzech rysunkach i z ogromną ulgą zauważył, że są za szkłem. Potem przysunął się bliżej do trzeciego i magia znowu zadziałała: *palazzi* zmateriałyzywały się pomiędzy liniami. Wystarczyło odsunąć się czterdzieści centymetrów, by znowu zniknęły.

– *Commissario?* – odezwał się za nim męski głos.

Brunetti odwrócił się, zdjął okulary i zobaczył niskiego, krępego mężczyznę, młodszego od niego o jakieś dziesięć lat. Chociaż lekarz nosił okulary, Brunetti zauważył, że jedno oko miał odrobinę większe od drugiego lub też inaczej osadzone na twarzy. Gdy jednak przyjrzał się ustom, w poszukiwaniu podobnej asymetrii, stwierdził, że są idealnie równe. Poszukał śladów podobieństwa do Umberta i znalazł je w ogólnej kanciastości rysów: uszy przylegały do głowy, a wydatna szczeka była niemal tak szeroka jak policzki.

Brunetti wyciągnął rękę.

– Dziękuję, że pozwolił mi pan przyjść – powiedział. Nauczył się, że witając się z ludźmi, którzy zgodzili się z nim porozmawiać, należy powiedzieć tylko tyle i początkowo nie mówić niczego, co by im przypomniało, że przyszedł, by zadawać pytania. Schował okulary do kieszeni.

– Podobają się panu te grafiki? – zapytał lekarz.

– Nawet więcej niż podobają. – Brunetti odwrócił się do rysunków i z odległości zobaczył, że wszystkie trzy zmieniły się w inne obrazy. – Skąd je pan ma?

– Stąd – odparł Proni. – Od miejscowego artysty. – Odwrócił się. – Być może będzie nam wygodniej w moim gabinecie.

Przytrzymał otwarte drzwi przed Brunettim, który minął coś, co musiało być recepcją i pokojem pielęgniarek, a potem wszedł do gabinetu, w którym znajdowało się biurko z kompu-

terem i niedużym bukietem pomarańczowych tulipanów. Przed biurkiem stały dwa kolejne stare krzesła, więc Brunetti podszedł do jednego z nich, pozwalając lekarzowi zająć swoje miejsce za biurkiem. Wypytywanie przez policję stanowiło dla większości ludzi tak niecodzienne przeżycie, że najlepiej było sprawić, by wszystko wokół było dla nich tak komfortowe i zwyczajne, jak to tylko możliwe.

Brunetti usiadł i rozejrzał się po pokoju. W oknach zobaczył grube kraty – standardowe zabezpieczenie każdego gabinetu lekarskiego, w którym były, lub przypuszczano, że mogą być, leki. Oszklona szafka pomiędzy oknami, na której półkach piętrzyły się w nieładzie pudełka lekarstw, była dokładnie tym, na co mieliby nadzieję narkomani: obietnicą koktajlu psychotropów. Brunetti z przyjemnością zobaczył jeszcze jeden rysunek na ścianie naprzeciwko okien. Gdyby nie zwrócił uwagi na obrazki w poczekalni, wziąłby ten za abstrakcyjną akwarelę w odcieniach szarości, ale teraz wiedział już, że kolor brał się z bliskości linii, między którymi był chyba niespełna milimetr odstępu.

Proni zwrócił na siebie uwagę Brunettiego, mówiąc:

– Dzwoniłem do szpitala i rozmawiałem z ordynatorem jej oddziału. Powiedział, że chcą ją zatrzymać jeszcze przynajmniej jeden dzień. Wstrząs mózgu jest bardzo lekki, ale wolą być ostrożni.

– Czy powiedziała mu, co się stało? – zapytał Brunetti, chociaż był pewien, że zna odpowiedź.

– Tylko to, co mówiła mężczyźnie, który ją znalazł: że spadła ze schodów. – Powiedziawszy to, Proni nie odrywał wzroku od Brunettiego.

– Miejmy nadzieję, że tak właśnie było – odparł komisarz.

– Co chce pan przez to powiedzieć, *commissario*?

– Dokładnie to, co powiedziałem, *dottore*: mam nadzieję, że tak właśnie było.

– A nie...?

– A nie był to napad na nią.

– Kto mógłby coś takiego zrobić? – zapytał lekarz, autentycznie zdziwiony.

Brunetti pozwolił sobie na cień uśmiechu.

– Pan powinien wiedzieć lepiej niż ja, *dottore*.

Proni natychmiast się oburzył.

– Pozwolę sobie powtórzyć własne słowa: co chce pan przez to powiedzieć?

Brunetti uniósł dłoń i udzielił pojednawczej odpowiedzi, aby uśmierzyć jego gniew.

– Jako jej lekarz wie pan więcej ode mnie o jej życiu. Ja wiem tylko, że jest matką zmarłego mężczyzny, Davide Cavanelli. – Wiedział nieco więcej, ale jego wiedza zawierała niewiele faktów i żadnych przydatnych informacji.

– Jakie rzeczy pana zdaniem miałbym wiedzieć, *commissario*? – zapytał Proni, pamiętając o użyciu najgrzeczniejszej formy.

Brunetti odpowiedział równie formalnie.

– Chciałbym usłyszeć wszystko, co mógłby mi pan powiedzieć na temat relacji signory Cavanelli z jej synem.

– Była jego matką.

Wyęzając się z całych sił, Brunetti nie zdołał znaleźć w tym zdaniu sarkazmu, więc odpowiedział całkowicie naturalnie:

– Czy była dobrą matką?

Twarz Proniego nawet nie drgnęła.

– To podlega całkowicie subiektywnemu osądowi, którego ja nie mam kwalifikacji wygłaszać. – W jego głosie nie było przeprosin, tylko informacja. – Dbała o jego potrzeby fizyczne, jak najlepiej mogła, w miarę swoich możliwości, jeśli właśnie o to pan pyta.

Brunetti nie o to pytał, ale mimo wszystko nie miał tej informacji wcześniej, więc był za nią wdzięczny. Jednakże wydało mu się interesujące, że lekarz mówił akurat o potrzebach fizycznych, a także że nie sprecyzował, o jakie możliwości chodzi.

Nie zamierzał wspominać Proniemu, że widział dokumentację medyczną Any Cavanelli; żaden lekarz nie powinien wiedzieć, jak łatwo te dane były dostępne dla kogoś dysponującego dostatecznymi informacjami, by ich szukać.

– Może pan w przybliżeniu opisać mi jej stan zdrowia?

Oczy lekarza lekko się zwięzły, jakby spodziewał się pytania

o syna, nie o matkę. Wydawało się, że zastanawia się nad pytaniem, a potem odpowiedział:

– Powiedziałbym, że jak na kobietę w tym wieku, jest zdrowa. Nie pali i nigdy nie paliła, nie nadużywa alkoholu, a właściwie prawie nie pije, i o ile mi wiadomo, nigdy nie brała narkotyków.

– Czy przepisał jej pan tabletki nasenne, *dottore*?

To pytanie nie mogło być dla lekarza zaskoczeniem, a jednak nie zdołał ukryć zdenerwowania, odpowiadając na nie. Odwrócił wzrok od Brunettiego, popatrzył na rysunek na przeciwległej ścianie, a potem powiedział, nie odrywając wzroku od obrazka:

– Tak, przepisałem.

– Mam wrażenie, że moje pytanie pana zaniepokoiło. Czy mógłbym się dowiedzieć dlaczego?

– Ponieważ nie podoba mi się, że jestem w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialny za śmierć Davide. – Mówiąc to, patrzył na Brunettiego.

Brunetti potrząsnął głową. Jego całkowite zagubienie nie było udawane.

– To zbyt surowy osąd, nie uważa pan, *dottore*?

– Surowy, ale nie zbyt surowy – powiedział Proni. – Ona nigdy wcześniej ich nie zażywała; zawsze była pacjentką przyjmującą bardzo niewiele leków. Powinienem jej powiedzieć, żeby spróbowała pić coś ciepłego przed snem lub chodzić na spacer wieczorem. – Podrapał się machinalnie tuż ponad oprawką okularów, a potem potarł czubkami palców czoło w górę i w dół. – Powinienem być o tym pomyśleć.

– O czym pomyśleć?

– Że są bardzo kolorowe i mają gładkie, słodkie powleczenie, jak cukierki. Będą bardzo atrakcyjne dla kogoś w psychicznym wieku Davide. – Znowu się podrapał. – Ale nie zrobiłem tego. Po prostu wypisałem jej receptę.

– Jaki właściwie był jego wiek psychiczny? – zapytał Brunetti.

Proni rzucił mu spojrzenie, jakby zaprosił go do domu, a potem przyłapał na przetrząsaniu szuflad.

– Nie mam pojęcia.

– Rozumiem – odparł łagodnie Brunetti. Dodał: – Czy kiedy-

kolwiek był on pana pacjentem, *dottore*?

– Czy muszę odpowiadać na to pytanie?

– Pozwoli to zaoszczędzić wiele czasu.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Że, w końcu, ale dopiero za pośrednictwem odpowiednich czynników, po otrzymaniu nakazu z urzędu i kilku dniach pracy, tak, byłby pan zobowiązany odpowiedzieć na to pytanie.

Proni odsunął od biurka fotel, którego nogi nieprzyjemnie zgrzytnęły na wykładanej kafelkami podłodze.

– Przyszedłem do nich do domu raz, gdy miał grypę, i jeszcze raz, gdy cierpiał na ostrą biegunkę. Za pierwszym razem mogłem tylko powiedzieć jego matce, żeby trzymała go w łóżku i w cieple oraz dopilnowała, by dużo pił. Nie pamiętam, co mu zapisałem, to było całe lata temu.

– Czy to była oficjalna wizyta?

– Nie rozumiem? – spytał Proni, wyraźnie zaskoczony.

– Czy recepta była wypisana dla niego?

– Oczywiście, że została wypisana dla niego. To przecież on był chory.

– Przepraszam, *dottore*, wyraziłem się nieprecyzyjnie. Czy na recepcie było jego imię i nazwisko?

Proni popatrzył na Brunettiego, jakby nagle zauważył, że dym mu idzie uszami.

– Powiedziałem panu, że to było wiele lat temu, *commissario*. Nie pamiętam, co mu zapisałem, i nie pamiętam, na kogo została wystawiona recepta. Miał objawy, wypisałem receptę i to wszystko.

Brunetti pomyślał, że nie ma nic do stracenia, stawiając na szczerłość.

– *Dottore*, dostrzegam pana irytację i wydaje mi się, że rozumiem jej przyczyny. – Zażenowany tym, że nie zostały mu żadne instrumenty poza szczerością, mówił dalej. – Widywałem go przez całe lata. Pracował w pralni chemicznej, do której moja żona i ja zanosimy ubrania. Czasem spotykałem go też na ulicy. Zawsze wydawał się niezwykle... nie wiem, jakie słowo będzie tu właściwe. Chyba bezradny. – Umilkł, ale Proni nic nie powiedział. Jakiś wewnętrzny zmysł stosowności i przyzwoitości

powstrzymał Brunettiego od wymyślenia kłamstwa w stylu Puccettiego i powiedzenia lekarzowi, że jego syn znał Davide i grywał z nim w piłkę nożną.

– Co z nim było nie tak, *dottore*? – Zanim Proni zdążył odpowiedzieć, Brunetti dodał: – Nie interesuje mnie, czy poza tym widywał go pan lub leczył z innych powodów. Chciałbym wiedzieć jedno: co z nim było nie tak?

Proni pochylił się do przodu i powiedział:

– Urodził się jako dziecko głupiej kobiety. Urodził się jako dziecko kobiety, która to, co z nim było nie tak, postrzegала jako klątwę boską, jakby mieszkała w chacie w lesie i wierzyła w czarownice. Podobnie jak większość chrześcijan, wiedziała wszystko o winie i nic o miłosierdziu, więc trzymała go w ukryciu – proszę pamiętać, że to była klątwa – nie czyniła nic, by go czegoś nauczyć, i Bóg jeden wie, jak go wychowywała. Dlatego właśnie wydawał się tak bezradny, dlatego był taki zagubiony i wyobcowany.

– Czy ona panu to powiedziała, *dottore*?

Twarz Proniego poczerwieniała, albo z powodu historii, którą opowiadał, albo dlatego, że Brunetti podał ją w wątpliwość. Jego usta zacisnęły się, a asymetria oczu stała się wyraźniejsza.

– Nie musiała mi tego mówić, *commissario* – dodał spokojniejszym głosem. – To było widać w sposobie, w jaki go traktowała, i we wszystkim, co o nim mówiła.

Proni nieoczekiwanie wstał.

– To wszystko, co mam do powiedzenia, *commissario*.

Brunetti wstał, pochylił się nad biurkiem i wyciągnął rękę. Proni uściśnął ją bez wahania.

– Niech spoczywa w spokoju – powiedział lekarz. – Miał go bardzo niewiele za życia.

Wyczuwając, że nic już nie zyska na dalszych pytaniach, Brunetti odwrócił się do drzwi. W poczekalni zatrzymał się i skinął głową w kierunku trzech grafik, które zmieniły się znowu, odpowiednio do większej odległości, z jakiej na nie patrzył.

– Powiedział pan, że to miejscowy artysta – rzekł Brunetti, wskazując grafiki. – Czy rozpoznalbym jego nazwisko?

– Zapewne tak – powiedział Proni z uśmiechem, który odjął

jego twarzy wiele lat.

– Kto to taki? – zapytał Brunetti, czując, że został do tego pytania zachęcony.

– Davide Cavanella – odparł Proni, wymijając go. – To powinno wyjaśnić mój gniew wobec jego matki. – Przytrzymał drzwi otwarte, więc Brunetti wyszedł.

Ponieważ był tak blisko domu, Brunetti postanowił nie wracać do komendy. Dzieci miało nie być na obiedzie; on także powiedział Paoli, że nie przyjdzie, ale rozmowa z doktorem Pronim sprawiła, że zapragnął z nią porozmawiać.

Zastał ją tam, gdzie się spodziewał: leżącą na kanapie i czytającą. Podniosła głowę, gdy wszedł, ani odrobinę niezaskoczona, więc poczuł się w obowiązku zapytać:

– Co by było, gdyby tu wszedł psychopatyczny morderca?

Podniosła z piersi kawałek papieru, włożyła go do książki, rzuciła książkę w nogi kanapy i odparła:

– Psychopatyczny morderca wchodził jak ty po schodach, a jego klucze dzwoniły tak samo jak twoje.

– Tak dobrze słyszysz? – zapytał z zaskoczeniem wyraźnie widocznym dla nich obojga.

– Masz tu na myśli mój podeszły wiek czy też lata znoszenia pod wspólnym dachem muzycznych gustów dwojga nastolatków? – zainteresowała się.

Uśmiechnął się, powiesił marynarkę na oparciu krzesła, odsunął książkę i usiadł.

– Naprawdę słyszałaś, jak szedłem?

– Tak.

– I umiesz odróżnić moje klucze?

Zawahała się, jak zawsze, gdy rozważała, czy opłaca jej się skłamać.

– Nie. – Uśmiechnął się, ona wzruszyła ramionami. – Ale usłyszałam brzęk kluczy, a złodzieje, a także, o ile wiem, psychopatyczni mordercy, wchodząc, zwykle nie robią hałasu.

Przesunęła nogi i opuściła je na podłogę.

– Jesteś głodny?

Brunetti nie odpowiedział, ponieważ sam nie był tego pewien. Wraz z nim do domu przyszedł Davide Cavanella, wypełniając jego myśli i odsuwając wszystko inne na bok.

- Chciałbym cię o coś zapytać.
- O co takiego?
- O hałas – wyjaśnił. – To znaczy, o dźwięk.
- Dlaczego?
- Zastanawiam się, jak to jest być głuchym.

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

- Jak oni się uczą? – zapytał.
- Czego?

Machnął ręką w powietrzu.

- Wszystkiego. Jak jeść albo jak siedzieć na krześle.
- Przypuszczam, że tak samo, jak nauczyli się tego Raffi i Chiara.

– Czyli? – zapytał, nie dlatego że nie pamiętał, ale dlatego że nie wiedział, czy Paola wspomina to tak samo.

– Obserwując, jak my to robimy, tak przypuszczam, chociaż w przypadku jedzenia musieliśmy pomagać im w trzymaniu łyżki, a potem widelca.

– A siedzenie? – zapytał, ponieważ nie zastanawiał się nigdy świadomie nad takimi czynnościami.

– Początkowo przy jedzeniu dzieci siedzą w dzieciennych krzeselkach, ponieważ je tam sadzamy, a potem, gdy są już dość duże, by wdrapać się na krzesło, naśladują to, co my robimy. – Po chwili namysłu dodała: – Przypuszczam też, że dochodzą do wniosku, iż siedzenie jest wygodniejsze od stania.

– Jesteś głodny, więc wkładasz jedzenie do ust – powiedział Brunetti. – Nie chcesz stać ani siedzieć na podłodze, więc siadasz na krześle. To praktyczne rozwiązania konkretnych problemów. – Umilkł, ale Paola nic nie powiedziała. – Dlaczego myją zęby? Nawet jeśli widzą, jak my to robimy, dla małego dziecka to nie ma sensu. Nie będzie tego postrzegać jako problemu.

– Myślę, że mówimy im, iż to dla ich dobra – odparła Paola, tracąc zainteresowanie.

– Właśnie o to chodzi – powiedział Brunetti.

– O co chodzi?

– Mówimy im. Jak mówi się coś głuchemu dziecku? Zanim Paola zdążyła odpowiedzieć, wyjaśnił:

– Rozmawiałem z lekarzem jego matki. Powiedział mi, że nigdy nie szukała dla niego pomocy.

– Jakiej pomocy? – zapytała, skupiając na nim całą uwagę.

– Nie wiem. Nie mówił. Powiedział mi, że nigdy nie wspomniała nikomu, że z jej synem coś jest nie tak. – Gdy Brunetti mówił te słowa, uderzyło go, jak okropnie to zabrzmiało. – Czyli dorastał bez jakiegokolwiek specjalnej nauki. – Dodał: – Lekarz nie potrafił ukryć gniewu, gdy mi o tym mówił.

Zobaczył w oczach Paoli błysk zrozumienia, który odbił się szokiem na jej twarzy. Zobaczył, że zaczęły do niej docierać możliwe konsekwencje.

– Przecież ludzie widzieli, że coś jest z nim nie tak – powiedziała. Zaraz potem dodała: – Tak jak my zauważyliśmy.

– Myśleliśmy, że zauważamy – odparował Brunetti.

Paola z powrotem usiadła na kanapie, tym ruchem akceptując, że nie będą nawet myśleć o obiedzie, dopóki ta sprawa nie zostanie rozstrzygnięta.

– Czego takiego nie rozumieliśmy? Powiedz mi.

– Pamiętasz, kiedy zobaczyliśmy go po raz pierwszy, prawda? Ile to było, piętnaście lat temu? Więcej? – Paola skinęła głową.

– Pamiętam, jak kobieta w pralni – chociaż on stał tuż obok, niecały metr od niej – powiedziała nam, że jest głuchy i ograniczony umysłowo. Równie dobrze mógłby być meblem. – Przypominał sobie, że w głosie kobiety nie było cienia złości.

Zauważył, że Paola przypomina sobie tę scenę tak samo wyraźnie jak on.

– Pamiętam, że mnie to zmroziło – powiedziała. – „Głuchy i ograniczony umysłowo”. Boże, tak po prostu. – Obserwował, jak przywołuje wspomnienie tamtej sceny. – Nie zareagował, prawda? Dla niego równie dobrze mogłaby mówić o pogodzie.

Oparła się na wezglowiu kanapy i na minutę zamknęła oczy. Nie otwierając ich, zapytała:

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

– Nie jestem pewien – przyznał Brunetti. Po dłuższej chwili rzekł: – Na ścianie w poczekalni lekarza wisiały rysunki jego autorstwa. Były niezwykle, nie przypominały niczego, co widziałem.

Paola otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

– To mi niewiele mówi, prawda?

Brunetti przyznał to uśmiechem i wyjaśnił:

– To były pejzaże składające się z setek poziomych linii, narysowanych niezwykle gęsto. Dzieliły je dosłownie milimetry. Palazzo Soranzo, Lido, pejzaż miejski. Idealnie wierne, ale nie widziałś tego, jeśli nie znajdowałaś się dokładnie we właściwej odległości. Inaczej wydawały się po prostu liniami. – Uświadomił sobie, jak niewiele to mówi o obrazach, i zamilkł.

– I co z tego? – spytała Paola.

– To, że może właśnie o tym mówił lekarz. Nie potrafił pohamować gniewu.

– Z jakiego powodu?

– Być może uważał, że ignorowała niepełnosprawność syna, a to pogarszało jego stan, i że nie był ograniczony umysłowo, jedynie głuchy.

– Czy to możliwe? – spytała Paola.

Brunetti zaplótł dłonie i popatrzył na nie.

– Nie wiem. Niewiele wiem o psychologii i o tym, jak rozwija się mózg. Ale jeśli nikt nie nauczył go języka migowego ani czytania z ruchu warg, to...

– To właśnie dlatego stał się taki, jaki był? – zapytała Paola.

– Możliwe. Nie wiem.

– A te rysunki?

Rozplótł dłonie i przeczesał palcami włosy.

– Nie wiem.

Paola potrzebowała chwili, by mu odpowiedzieć, a gdy się odezwała, w jej głosie dźwięczała wyraźnie niepewność.

– Nigdy nie dał poznać, że rozumie coś więcej z tego, co się wokół niego działo. Nie interesował się też niczym. – Gdy Brunetti nie zaprzeczył, powiedziała: – Dlatego nie wiem, dlaczego mamy podawać w wątpliwość to, co nam powiedziano. – W końcu, całą sobą wyrażając, że nie chce pokazywać, jak mocne ma argumenty, dodała: – Chodzi jeszcze o to, jak wyglądał, Guido, i jak się poruszał. – Mówiła dalej, nim zdążył się sprzeciwić. – Wiem, okropne jest mówić to na głos, ale wyglądał tak, jakby coś z nim było nie w porządku.

Brunetti z trudem zachował spokój w głosie.

– Wierzyliśmy w to, co nam powiedziano o nim, i nigdy nie pomyśleliśmy, by zapytać, dlaczego taki się stał.

Paola przechyliła się w bok i położyła dłoń na jego udzie.

– Nie chcę wypaść bezdusznie, Guido, ale nie sądzę, by ktokolwiek o tym pomyślał, szczególnie gdy osoba, którą zna, powiedziała, że on jest głuchy i ograniczony umysłowo.

– Nauczył się zanosić rzeczy ludziom do domów, iść razem z nimi – upierał się Brunetti. – Musiał się tego nauczyć. Ktoś musiał go tego nauczyć. Pomyśl, jak trudne by to było, gdyby był zarówno głuchy, jak i ograniczony. Nie musieliśmy uczyć dzieci jedzenia ani siedzenia, same chciały to robić. Minęło już wiele lat, ale wydaje mi się, że musieliśmy przekonać dzieci, by myły zęby, i nauczyć je, jak się to robi, a potem pilnować ich, dopóki nie zaczęły tego robić same. To przypomina zanieśienie paczki do czyjegoś mieszkania. To nie jest coś, co chcesz robić lub robisz instynktownie. Musisz zostać tego nauczony. Lub wyszkolony.

Paola milczała, patrząc na obrazy na przeciwległej ścianie.

– Kiedy zamierzasz mi powiedzieć, czemu o tym rozmawiamy?

Spojrzał w tę samą stronę i przyjrzał się obrazom: portretowi dalekiej przodkini od strony matki Paoli, niezbyt urodziwej kobiety o pięknym uśmiechu; oraz nieoprawionemu, namalowanemu na desce portretowi mężczyzny w mundurze marynarki, trzymającego brązowego nakrapianego ptaka. Ten obraz Brunetti kupił kilkadziesiąt lat temu za swoją pierwszą pensję.

– Jeśli on – Davide – był zarówno głuchy, jak i ograniczony umysłowo, i jeśli jego matka nigdy nie starała się o żadną pomoc dla niego, jak był uczony robić te rzeczy, które potrafił robić? – zapytał Brunetti, wracając do początku rozmowy i myśląc o rysunkach.

Paola znowu odchyliła głowę do tyłu. Brunetti zastanawiał się, czy wyczerpał już jej zasoby intelektualnej ciekawości lub cierpliwości. Mężczyzna zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku, co do tego nie było wątpliwości. Odpowiedź Paoli zmusiła Brunettiego do uświadomienia sobie, że nie potrafi nawet wobec

samego siebie wyjaśnić, co takiego nie dawało mu spokoju. Ten mężczyzna przeszedł przez życie, nie zostawiwszy żadnego śladu, jeśli nie liczyć wspomnień kilkorga ludzi, którzy go widywali. Brunetti nie mógłby nawet powiedzieć, że go znali. Pomyślał o problemie postawionym przed nim na pierwszej lekcji logiki: jeśli drzewo upada w lesie i nikt nie słyszy, jak upada, to czy wydaje dźwięk?

Czy życie ludzkie było definiowane przez kontakty z innymi ludźmi? Jeśli, tak jak uważał Brunetti, ludzie żyli tylko w umysłach tych, którzy ich znali i pamiętali, to oznaczało, że egzystencja Davide Cavanelli była naprawdę żalosna i zakończy się na dobre wraz ze śmiercią jego matki.

Jeszcze raz popatrzył na portrety. Od zawsze nie dawało mu spokoju, że nikt nie wiedział, kim była ta kobieta, czy była czyjąś ciotką sprzed wielu pokoleń, czy też matką kogoś, kto wzenił się w rodzinę. Portret został znaleziony na strychu Palazzo Falier, a Paola zabrała go do swojego pokoju, gdy dorastała, ale nie zdołała znaleźć w rodzinie nikogo, kto miałby choćby najbłedsze pojęcie, kim mogłaby być ta kobieta; nie zachowały się bowiem żadne dokumenty dotyczące samego obrazu.

Brunetti poniósł także porażkę w przypadku mężczyzny, którego nazywał kapitanem marynarki. Chociaż miał na sobie mundur, Brunetti nie zdołał nawet zidentyfikować jego przynależności narodowej. Ptak został w końcu rozpoznany przez zaprzyjaźnionego z Paolą ornitologa, który powiedział im, że to południowoamerykański gatunek biegusa, cokolwiek by to miało oznaczać.

Wstał, uświadamiając sobie teraz, jak bardzo jest głodny i jak bardzo ma ochotę na obiad złożony z tego, co uda mu się znaleźć w lodówce.

Słyszając jego poruszenie, Paola otworzyła oczy.

– Czy to dlatego, że my wszyscy go zawiedliśmy? – zapytała. – Czy to nie daje ci spokoju?

– Możliwe – odparł Brunetti. – Teraz on nie żyje i nie da się tego w żaden sposób naprawić.

W końcu spróbował odsunąć to wszystko, pytając:

– Czy myślisz, że nadal jest dość ciepło, by zjeść na tarasie?

Paola odwróciła się i wyjrzała przez okno, by sprawdzić, na jakiej wysokości jest słońce; wydawało się, że wszystko wystarczająco wyszło.

– Tylko jeśli się pospieszymy – powiedziała.

– To dobrze. Wyniosę talerze na zewnątrz.

Paola wstała, a Brunetti po raz pierwszy zauważył, że podparła się jedną ręką, by się podnieść. Minęła go i poszła do kuchni. W drzwiach zatrzymała się i powiedziała, nie odwracając się do niego:

– To dobrze, że to ci nie daje spokoju, Guido.

Poszła sprawdzić, co jest w lodówce.

Gdy Brunetti wrócił do komendy, funkcjonariusz przy drzwiach powiedział mu, że dottor Patta chce go widzieć w swoim gabinecie. To przypomniało Brunettiemu, że przez ostatnie trzy dni ignorował polecenie przełożonego, by zająć się problemem sklepu na Campo San Barnaba. Choć trywialne mu się wydawało, gdy Patta o tym powiedział, to o ileż bardziej trywialne było teraz.

Ten fakt nie wpłynął jednak w żaden sposób na determinację Brunettiego; jak każdy dobry aktor, gdy tylko stawał na scenie, nigdy nie wychodził z roli. No dobrze, powiedział sobie, rzadko wychodził z roli.

Signoriny Elettry nie było na jej miejscu za biurkiem, więc Brunetti musiał rozpocząć spotkanie bez wcześniejszych informacji. Zastukał do drzwi i wszedł, gdy Patta zawołał:

– *Avanti!*

Choć udało mu się załatwić tę sprawę bez najmniejszego wysiłku, Brunetti, wchodząc, przybrał wyraz twarzy składający się w równych częściach ze skruchy i gorliwości. Wszedł zaledwie na dwa kroki do gabinetu, gdy Patta wstał i obszedł biurko, by do niego podejść. *Vice-questore* uniósł rękę, ale zamiast uścisnąć dłoń Brunettiego, położył ją na jego ramieniu, jakby chciał go pokierować do krzesła. Brunetti poddał się temu przyływowi najwyraźniej dobrej woli i pozwolił się poholować do punktu zakotwiczenia.

Gdy Brunetti bezpiecznie przycumował, Patta wrócił do swojego doku i uśmiechnął się ponad biurkiem do podwładnego.

– Cieszę się, że znalazłeś czas, by tu przyjść – powiedział. Brunetti uruchomił wszystkie czujniki i przeanalizował ton jego głosu pod kątem sarkazmu. Nie znalazł go ani śladu, więc zmienił ustawienia i poszukał ironii, ale jej również nie było.

– Kiedy Garzanti powiedział mi, że chce się pan ze mną zobaczyć, *dottore*, przyszedłem natychmiast – uśmiechnął się Bru-

netti, sugerując, że to właśnie ta wiadomość była czymś, czego najbardziej wyczekiwał w ostatnich dniach.

– Chciałbym porozmawiać z tobą o tej sytuacji, której miałeś się przyjrzeć – oznajmił Patta z uśmiechem równie szerokim co nieszczerem.

– Ach tak – powiedział Brunetti, przybierając wyraz twarzy pełen pilności i zakłopotania. – Miałem w związku z tym dużo pracy. – Potem, z wyraźnym ociąganiem, był zmuszony dodać: – To nie było łatwe, *vice-questore*.

Uśmiech Patty przybladł, a na opalonej twarzy pojawił się cień. Otworzył usta, by coś powiedzieć, zamknął je i przełknął ślinę, oblizał wargi, a potem zajął się przywracaniem na miejsce uśmiechu.

Zanim Brunetti zobaczył niepokój Patty, był przygotowany, by powiedzieć mu, że dzięki tytanicznemu wysiłkowi zdołał rozwiązać problemy mogące zagrozić synowi burmistrza. Teraz jednak zaczął kalkulować, czy nie uda się kupić dwóch rzeczy w cenie jednej i dopilnować, by porucznik nie przywłaszczył sobie gabinetu signoriny Elettry, a czasowe oddelegowanie Foi do Guardia Costiera nie zostało zablokowane.

– Chcę powiedzieć, *dottore* – ciągnął Brunetti – że udało mi się w końcu porozmawiać z osobą odpowiedzialną za patrole w tamtej okolicy.

Patta zamienił się w słuch.

Brunetti przybrał najzyczliwszy uśmiech.

– Dzięki Bogu, okazało się, że jest kuzynem Foi – zaczął i zobaczył błysk zaskoczenia w oczach Patty. – Cóż, to właśnie Foa zawiózł mnie tam motorówką i, tak jak mówiłem, mężczyzna, który jest odpowiedzialny za ten obszar, to jego kuzyn, więc poszedł ze mną, żeby mnie przedstawić. – Brunetti umilkł, by zastanowić się nad czymś, co najwyraźniej właśnie w tym momencie przyszło mu do głowy. – Jestem pewien, że to bardzo pomogło.

Ciągnął dalej, jakby to był całkowicie nieważny szczegół.

– Kiedy wspomniałem mu o sklepie, powiedział mi, że jego ludzie podczas patrolu zauważyli wystawione stoliki i rozmawiali o tym z właścicielem. Na razie jednak nie sporządzono pism-

nego raportu.

– A ten pilot, Foa? Był przy tej rozmowie?

– Poprosiłem go, żeby został. Pomyślałem, że będzie łatwiej, jeśli tam będzie. – Ze swobodną otwartością męskiej rozmowy Brunetti dodał: – Wie pan, jak bardzo klanowi potrafią być weneccjanie.

Patta zastanowił się nad tym należycie i w końcu zapytał:

– Jak poszło?

W tym momencie Brunetti odwrócił od niego spojrzenie, jakby zawstydzony własną wzmianką o weneccjanach lub, być może, tym, co właśnie zamierzał oznajmić. Ale mimo wszystko to powiedział.

– Zapytał mnie, dlaczego powinien nam pomóc, ignorując to, czyli pomóc policji, skoro my... – Urwał i w końcu wyjaśnił: – Tak właśnie mi powiedział. – Ponieważ Patta skinął głową, mówił dalej: – W sytuacji, gdy my nie chcemy pomóc komuś z naszych.

– Nie rozumiem, o czym mówisz, Brunetti. Albo też do czego zmierzasz.

– Cóż, byłem tam z Foą, a ten mężczyzna jest jego kuzynem.

– W czym mu nie chcemy pomóc? – zapytał Patta, nie próbując nawet ukrywać zniecierpliwienia.

– Chodzi o ten wniosek z Guardia Costiera – wyjaśnił Brunetti.

Po chwili w oczach Patty pojawił się błysk zrozumienia. Zgasł i znowu się zapalił. Brunettiemu nie przeszkadzało to w najmniejszym stopniu; mogło być dobrym pomysłem przekonanie Patty, jak bardzo klanowi są ci weneccjanie.

– Czego jeszcze chcesz? – zapytał Patta spokojnym głosem.

Równie obojętnym tonem Brunetti odpowiedział:

– Może dałoby się przekonać porucznika Scarpę, by pozostał w dotychczasowym gabinecie.

Brunetti musiał podziwiać stoicyzm, z jakim jego zwierzchnik przyjął to żądanie. Nie skrzywił się ani nie mrugnął.

– Rozumiem – powiedział Patta. Przez chwilę spoglądał na blat swojego biurka, a potem popatrzył na Brunettiego i zapytał: – I wtedy nie będzie żadnych kłopotów na Campo San Bar-

naba?

– Absolutnie żadnych. Stoliki będą mogły pozostać tam, gdzie są.

Przełożony Brunettiego znowu skonsultował się z blatem biurka, nim na niego popatrzył.

– Porozmawiam z porucznikiem – rzekł. – Może pan już iść, *commissario*.

Brunetti wstał, skinął głową zwierzchnikowi i wyszedł z gabinetu.

*

Na górze Brunetti otworzył internetową stronę „Il Fatto Quotidiano”, gazety, która często zachwycała go manifestacyjną nieufnością wobec każdej partii politycznej, każdego polityka i każdego przywódcy religijnego. Tam właśnie znalazł artykuł informujący, że funkcjonariusze Guardia di Finanza wczoraj odwiedzili siedzibę weneckiego ratusza i wkroczyli do biura zajmującego się przydzielaniem kontraktów i środków finansowych na rozwój rozpoczynających działalność firm i sklepów. Działając z polecenia sądu w Mestre, zabrali dokumenty i komputery. Gazeta donosiła, iż ktoś z kręgów prowadzących dochodzenie powiedział, że istnieją zgłoszenia dotyczące udziału pewnego polityka w przyznawaniu tych grantów i kontraktów jego krewnym i znajomym.

Po przeczytaniu artykułu Brunetti pozwolił sobie na uśmiech i zwrócił się bezpośrednio do komputera.

– Jeśli zadzwoni burmistrz, proszę mu powiedzieć, że jestem zajęty rozmową z sądem w Mestre – powiedział na głos, naśladowując ton Patty, w czym w ciągu lat doszedł do czegoś zbliżonego do perfekcji.

– Oczywiście, *vice-questore*. Z najwyższą przyjemnością przekażę mu tę wiadomość – odparł głos signoriny Elettry, ale gdy Brunetti spojrział w stronę drzwi, które zapomniał zamknąć, zobaczył nie ją, lecz komisarz Claudię Griffoni.

– Doskonale radzisz sobie z wenecką wymową, Claudio – powiedział. – Nuanse jego sycylijskiego akcentu są dla mnie za trudne.

Griffoni uśmiechnęła się i powiedziała do niego coś, co – choć praktycznie niezrozumiałe, z zaledwie kilkoma słowami, które udało mu się wychwycić – było dokładną imitacją głosu Patty mówiącego w rodzimym dialekcie, a tym samym znacznie lepszym naśladownictwem niż jego własne. Przeszła przez pokój i usiadła na krześle przed biurkiem.

– Mówi, że pochodzi z Palermo, ale jego akcent to czyste San Giuseppe Jato – oznajmiła z taką samą dezaprobatą, jaką wyraziłby lord na wieść o tym, że jego kamerdyner usiłuje grać w polo. Jak zawsze mówiła tak czystym włoskim, że Brunetti mógł jej tylko zazdrościć.

Przez te wszystkie lata, odkąd pracowała w komendzie, dowiedział się bardzo niewiele na temat jej życia prywatnego lub pochodzenia, ale nie miał wątpliwości, że jest z rodziny, jaką jego babka od strony matki zawsze określała mianem *gente per bene*, z wyraźną sugestią, że ludzie tak nazywani są nie tylko przyzwoici, ale także zamożni. Poza tym była inteligentna i chętna do współpracy, a te kilka razy, gdy pracowali razem, był pod wrażeniem tego, jak serio podchodzi do obowiązków i jak kompletnie nie zależy jej na zostaniu gwiazdą śledztwa – na tę słabość cierpiało wielu z jego kolegów. Była także obdarzona fizyczną odwagą, którą to cechę Brunetti podziwiał.

– Wiesz może coś o dochodzeniu? – zapytał.

– Chodzi o burmistrza i Guardia di Finanza?

– Tak.

Wzruszyła ramionami.

– Wykryją jakieś nieprawidłowości w księgowości, ogromne niezaksięgowane kwoty pieniędzy, których nie zdołają znaleźć, ludzie będą mówić różne rzeczy i rzucać oskarżenia, którzyś z podejrzanych pobiegnie poskarżyć się prasie i przez kilka miesięcy urzędnicy będą ostrożniejsi. A potem wszystko wróci do normy.

Odsuwając na chwilę temat politycznej korupcji, Brunetti uległ ciekawości dotyczącej przyczyn jej przybycia.

– Czy mogę ci czymś służyć?

– Ależ skąd – odparła, szybko potrząsając głową. – Właściwie wręcz przeciwnie. Przyszłam, ponieważ chciałabym się tobie do

czegoś przydać.

Brunetti uniósł pytająco podbródek. Nie miał pojęcia, co miała na myśli. Od miesiący zajmowała się podejrzanym pożarem w dawnej fabryce, którą właściciel zamierzał przemienić w luksusowy hotel. Choć oficjalne śledztwo zakończyło się stwierdzeniem, że przyczyną zaprószenia ognia był przypadek, pozostawały wątpliwości, szczególnie gdy jeden z informatorów powiedział Griffoni, że syn eksperta wydającego tę opinię został zatrudniony jako menedżer w jednym z hoteli sieci, która była zainteresowana przebudową fabryki.

Zadawał sobie pytanie, jak jej śledztwo miało mu się do czegoś przydać.

– Powiedz coś więcej – zachęcił, odwracając się od monitora komputera, by popatrzeć na nią wprost.

– To nie moja sprawa – powiedziała z nagłym wahaniem.

– Co takiego?

– Twoja przyjaźń z Vianellem.

Zastanawiał się, skąd jej to przyszło do głowy i czemu jej sprawą miałyby być jego przyjaźń z Vianellem? Aby dać sobie czas na przemyślenie odpowiedzi, odwrócił się znowu do komputera, zamknął wszystkie otwarte okna, a potem nacisnął przycisk i patrzył, jak monitor ciemnieje.

Odwrócił się znowu do Griffoni.

– Ale z jakichś powodów uważasz, że to twoja sprawa? – zapytał tonem całkowicie wypranym ze wszystkiego poza lekkim zainteresowaniem.

Zaczęła coś mówić, ale zdołała wydać z siebie tylko niepewną samogłoskę, być może „a”, mogącą być początkiem *allora* lub *adesso*, albo też równie dobrze *amico*.

– On mi pomagał, wiesz – powiedziała. – W przypadku Scarpy. I w innych przypadkach.

– W jaki sposób pomagał? – zapytał Brunetti. Ponieważ nie można było wątpić, że każdy byłby chętny do pomocy w przypadku porucznika Scarpy, dodał: – Chodzi mi o te inne przypadki.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się jego twarzy, jakby próbowała podjąć jakąś decyzję w związku z własnymi przemyślenia-

mi lub też w związku z nim.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? Nie zauważyłeś, jak niektórzy się tutaj do mnie zwracają?

Pomyślał o signorinie Elettrze i w pierwszym odruchu chciał skłamać, ale potem zaczął sobie przypominać inne rzeczy, jakie zdarzyło mu się zaobserwować lub wyczuć, aluzje lub podteksty, których starał się nie interpretować w określony sposób.

Postanowiła go sprowokować.

– Albo o mnie?

W książkach często opisywano, jak wyglądają piękne kobiety, gdy wpadają w złość, jak bardzo nie pasuje to do ich twarzy. Usta Griffoni zacisnęły się w wąską linię, wyrazisty nos nagle stał się zaostroszony i za duży. Z jej oczu zniknęło całe ciepło, cała chęć zrozumienia.

– Dlatego że jesteś neapolitanką?

Prychnęła tonem przepelnionym odrazą.

– Gdyby tylko o to chodziło – powiedziała. – Przywykłam, że jestem uważana za *terrone*, wszyscy moi krewni na pewno są *camorrista*, mój brat bez wątpienia przebywa w areszcie domowym, a każde dochodzenie prowadzę w najlepszym razie bez przekonania, ponieważ moim jedynym celem jest być szpiegiem i dopilnować, by nic nie stanowiło zagrożenia dla *Camorra*. – Brunetti był przy niej, gdy wybuchła strzelanina i został zabity mężczyzna, ale nigdy nie widział jej w takim stanie. Jej chłodna beznamiętność i ironia zniknęły, zastąpione przez gniew, który odczuwał jak siłę napierającą na niego zza biurka.

Zmarszczył brwi i zapytał:

– Nie wydaje ci się, że przesadzasz?

– Oczywiście że przesadzam – odparła ostro. Ale zastanowiła się dostatecznie długo, by gniew częściowo odpłynął z jej twarzy. – Nie da się przed tym tutaj uciec. To jest w powietrzu na północy.

Skonfrontowany z własną hipokryzją i wpływem, jaki mogła mieć na wszystko, co miałyby do powiedzenia, Brunetti wybrał milczenie. Jak miał powiedzieć tej kobiecie, że jej się wydaje, gdy jego własna nieufność wobec południowców była w nim za-

korzeniona równie mocno jak jego zęby? Tak jak one, uformowała się w dzieciństwie, a on pozostawał tak samo nieświadomy wzrastania jednego, jak i drugiego.

Czy ona wyczuwała to także w nim? Brunetti doszedł do wniosku, że gdyby tak, raczej nie poruszałyby przy nim tego tematu, ale przypomniał sobie, jak subtelna potrafiła być, i na nowo stracił pewność. Jakże dziwną rzeczą były uprzedzenia: uspokajające, dopóki ktoś ich nie zauważył.

Przesunął dłońmi po twarzy i przeczesał włosy jako widoczny sygnał, że odsuwa na bok wszystkie dygresje.

– Gdzie się podział Vianello? – zapytał.

– Jest na dole. Przed chwilą z nim rozmawiałam.

Brunetti uśmiechnął się i machnął ręką, lekceważąc jej odpowiedź.

– Nie. Chodziło mi o to, gdzie się podział temat mojej przyjaźni z nim? – Zauważył odrobinę ulgi zasygnalizowaną przez jej swobodniejszą postawę i dodał: – Wydaje mi się, że zboczyliśmy z tematu.

Zarumieniła się, naprawdę się zarumieniła, a wraz z rumieńcem powróciła pełnia jej urody lub też ona powróciła do pełni urody.

– Przepraszam, Guido, ale naprawdę nie masz pojęcia, co się dzieje. – Przez chwilę obawiał się, że zamierza wrócić do tematu, ale nic już nie powiedziała.

– Słucham – powiedział.

– Chciałaś, żeby poprosił Nadję, by coś dla ciebie zrobiła. – Zanim Brunetti zdążył się wytłumaczyć lub uniknąć wytłumaczenia, dodała: – Nie, nie chciał mi o tym mówić. Widziałam, że coś mu nie daje spokoju, więc zapytałam go i nie odpuściłam, dopóki mi nie powiedział. – Zobaczyła, że Brunetti jej wierzy, i ciągnęła dalej. – Powiedział mi tylko, że chciałaś, by wypytywała ludzi o tego zmarłego mężczyznę.

– Davide Cavanellę – odpowiedział Brunetti, chociaż nadal nie podobało mu się, jak zabrzmiała jego prośba, gdy mówiła o niej Griffoni.

– On się obawia, że uraził cię odmową.

– Powiedział o tym tobie, ale nie mnie – zauważył Brunetti,

słyszając w swoim głosie lekką irytację.

Znowu się uśmiechnęła.

– Powiedział, że nie chciał cię zawieść ani urazić twoich uczuć. Zrobiłby dla ciebie wszystko, i wiesz o tym. Ale to jego zobowiązania, a nie jego żony.

– To brzmi, jakby w grę wchodził konflikt lojalności – powiedział Brunetti, z nadzieją, że ją zaskoczy.

Griffoni zignorowała jego urażony ton.

– Oczywiście że tak. Vianello ma żonę i dzieci, a potem ma ciebie.

Gdy to powiedziała, pochyliła się, by poprawić coś przy bucie, co, jak wiedział Brunetti, było całkowicie zbędne. Zachwycał się wdziękiem kobiet i ich wspaniałomyślnością.

Gdy usiadła znowu prosto, zapytała:

– Dlaczego my tego nie zrobimy?

– Co takiego?

– Dlaczego m y tego nie zrobimy, we dwoje? Możemy tam iść i popytać ludzi – w sklepach i barach – o signorę Cavanellę i jej syna. Jeśli chcesz, ty możesz być dobrym gliną, a ja będę złym gliną.

– Wiesz o tej sprawie?

– Czytałam wszystko to, co ty czytałeś: raport Rizzardiego i raport ratowników z karetki, którzy przyjechali na wezwanie, a także twój raport na temat brakujących dokumentów. – Umilkła na chwilę. – Zapytałam signorinę Elettę, czy są może jakieś inne dokumenty.

Brunetti nie podjął tego tematu.

– Rozmawiałem z lekarzem Davide – powiedział. – Właściwie z lekarzem jego matki, który dwa razy go odwiedził. – Złożył ręce, splatając palce, i kilka razy postukał w biurko. – Ale nie ma ani śladu dokumentacji medycznej.

– Nie chcę powiedzieć, że to niemożliwe – zaczęła Griffoni – ale trudno w to uwierzyć. Musi być jakiś ślad jego istnienia. Gdzieś tam.

– Nie ma – powiedział Brunetti, myśląc o rysunkach w poczekalni lekarza, ale nie uznając ich za element oficjalnej dokumentacji.

- Co takiego możemy zrobić w tej sytuacji? – zapytała.
- Będziemy odgrywać dobrego i złego glineę, pójdziemy, porozmawiamy z ludźmi i sprawdzimy, czy uda nam się natrafić na jakieś plotki.

Gdy Foa wiozł ich do San Polo, Brunetti opowiedział Griffoni o rozmowie z kobietami z pralni chemicznej, spotkaniu z Aną Cavanellą i zaskakującej łatwości, z jaką Pucetti zdołał się z nią zaprzyjaźnić.

Wiatr zagonił ich do kabiny, więc usiedli obok siebie na poduszkach, przytrzymując się oparcia, ponieważ fale w niespodziewanych chwilach szarpały łodzią.

– To sprytny chłopak – powiedziała Griffoni z uśmiechem aprobaty. Ten rzeczownik dziwnie brzmiał w ustach osoby, która nie mogła być starsza o więcej niż dziesięć lat od tego „chłopaka”. Gdy mijali San Giorgio, zwróciła się do Brunettiego i zapytała go całkowicie neutralnym tonem:

– Nie masz nigdy dość tego piękna?

Jego wzrok pobiegł poza nią, do chmur przemykających za kopułą.

– Nigdy. – Ta odpowiedź była automatyczna, niewymagająca namysłu i prawdziwa.

– Ja czułam to w przypadku Neapolu – powiedziała. Zanim zdążył zareagować, zapytała, być może nie chcąc wracać do tematu: – Poznałeś może narzeczoną Pucettiego?

– Tę Rosjankę? – odparł pytaniem Brunetti. Aby pokazać, że nawet jeśli ona postrzega go jako jeszcze jednego człowieka niezainteresowanego uczuciami bliźnich, on mimo wszystko zadaje sobie trud, by czegoś się o nich dowiedzieć, dodał: – Jest matematykiem.

– Jest na najlepszej drodze do zostania wykładowcą uniwersyteckim w Moskwie, a teraz uczy algebry nastolatki w Quarto d’Altino – powiedziała Griffoni i wzruszyła ramionami w sposób, w jaki neapolitańczycy potwierdzają starą prawdę, że życie miota nami jak workami ziemniaków na targu. Potem, aż na zbyt obojętnie, dodała: – Przyjrzałam się jej emeryturze.

– Czyjej?

– Any Cavanelli – odparła Griffoni. – Pracowała dla rodziny Lembo od piętnastego do siedemnastego roku życia.

Brunetti był ciekaw, gdzie znalazła te informacje, ale nie zapytał. Zamiast tego zainteresował się:

– A potem?

– Potem nastąpiła dwunastoletnia przerwa, podczas której była bezrobotna, a przynajmniej nie deklarowała żadnych dochodów. Później pracowała w firmie sprzątającej, dopóki dwa lata temu nie przeszła na emeryturę.

– Co takiego sprzątała ta firma?

– Biura i sklepy. Firma ma siedzibę w Mestre, ale mają tutaj dużo zleceń. Była zatrudniona legalnie: podatki, składki zdrowotne, emerytura.

Brunetti zauważył, że Griffoni wie coś jeszcze.

– Słucham – powiedział. Łódź uniosła się nieoczekiwanie i opadła z głośnym uderzeniem, potrząsając nimi. Brunetti odsłonił zasłonę i zobaczył, że wiatr bawi się wodą, zdmuchując białe grzywy fal. Nastąpiło jeszcze jedno, słabsze uderzenie i wszystko się uspokoiło.

– Czytałam o rodzinie Lembo – powiedziała.

– Co takiego?

– To, co było dostępne online – wyjaśniła i umilkła.

– I?

– Zadzwoiłam do przyjaciół, żeby ich o to zapytać.

– Skąd są ci przyjaciele?

– Stąd, a także z Rzymu.

– Czego się dowiedziałaś?

– Prawdopodobnie nie więcej niż ty. Kilkoro z nich powiedziało, że matka dostała, na co zasłużyła, ale nikt nie chciał wyjaśnić, co ma na myśli. Przypadek najstarszej córki można podsumować: narkotyki, seks i rock'n'roll.

– Lucrezia – podsunął Brunetti.

Skinęła głowę.

– O wiele mniej mieli do powiedzenia o tej drugiej, Lavinii. Zdaje się, że jest w Irlandii.

Brunetti skinął głową i zapytał:

– Wiesz, że jedna z nich nie żyje?

– Tak, malutka. – Wypowiedziała to w cudzysłowie. – Chile, basen przy domu.

– Dziwne miejsce, żeby umrzeć – powiedział neutralnie.

– Jeśli się umiera, każde miejsce musi się wydać dziwne.

Wydał pomruk potwierdzenia.

– Czego się dowiedziałas o Lavinii? – zapytał, zaskoczony tym, z jaką swobodą rozmawia o obcej kobiecie.

– Tylko rzeczy oficjalne. Szkoła, uniwersytet, kariera.

– Masz dostęp do takich dokumentów? – nie wytrzymał Brunetti, zastanawiając się, od kogo mogłaby się tego nauczyć. Z pewnością nie od signoriny Elettry.

– Vianello sprawdził to dla mnie – wyjaśniła. Potem rzuciła mu koło ratunkowe, dodając: – Poprosił signorinę Elettrę o pomoc w sprawie Irlandii.

Kołysanie łodzi stało się łagodniejsze. Brunetti wyjrzał znowu i zobaczył, że skręcili w Rio San Polo, kanał niemal całkowicie osłonięty od wiatru. Foa podpłynął do Campiello Sant' Agostin, przełączył silnik na jałowy bieg i wyskoczył na *riva*, żeby przycumować motorówkę. Brunetti wysiadł za nim i wyciągnął rękę, by pomóc wejść na brzeg Griffoni.

– Nie wiem, ile czasu nam to zajmie – powiedział do Foi. – Możesz chyba wracać.

– Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym został, *commissario*? – zapytał pilot, a Brunetti pomyślał, że wygląda na skrępowanego. – Moja ciotka mieszka w pobliżu, a ja teraz bardzo rzadko się z nią widuję. Dlatego pomyślałem, że skoro już tu jestem... – pilot zawiesił głos. Brunetti spojrział na Griffoni, która wzruszyła ramionami i popatrzyła na chodnik; decyzja nie należała do niej.

– Od jak dawna twoja ciotka tu mieszka? – zapytał Brunetti.

– Od zawsze.

– W takim razie możesz ją zapytać o Anę Cavanelłę? – zaproponował Brunetti.

– Oczywiście, *commissario*. – Foa wskoczył na pokład, żeby zabrać kluczyki, a potem wspiął się z powrotem na *riva*.

Dwoje komisarzy przeszło mostem i skierowało się na Campo San Stin, gdzie weszli do jedyne go baru. Za ocynkowaną ladą

stał mężczyzna oparty nad gazetą: i on, i gazeta wyglądali na tak samo zmęczonych życiem jak *tramezzini* w szklanej gablocie po lewej stronie. Spojrzał na nich przelotnie i wrócił do czytania.

Brunetti zamówił dwie kawy, a mężczyzna odwrócił się, by je przygotować. Czytając do góry nogami, komisarz zauważył, że gazeta jest sprzed trzech dni; obrócił ją i kartkował tak długo, aż znalazł artykuł o śmierci Davide Cavanelli. Gdy barman przyniósł kawę, Brunetti wskazał ten artykuł.

– Znał go pan? – zapytał.

W obojętnym spojrzeniu mężczyzny nieufność mieszała się z pogardą.

– Czy muszę odpowiadać na pana pytania?

– Nie – odparł Brunetti. – Nie musi pan podawać mi kawy i nie musi pan odpowiadać na moje pytania.

Barman postawił spodeczki na ladzie i odwrócił się. Zniknął w wąskim przejściu po prawej stronie baru, zostawiając za sobą niezaciągniętą czerwoną kotarę.

– Wydaje mi się, że nie ma sensu tu dłużej zostawać – powiedziała stojąca za nim Griffoni. Położyła na ladzie dwa euro i wyszli. Żadne z nich nie tknęło kawy.

Spędzili następną godzinę, chodząc po okolicy i zaglądając do sklepu z narzędziami, sklepu spożywczego, pasmanterii, ponurego miejsca, w którym można było kupić jedzenie i inne produkty dla zwierząt, a nawet do sklepu z torebkami, ale tam sprzedawczynią była Chinka i najwyraźniej poza liczbami nie umiała powiedzieć nic po włosku.

Nie poddawali się, choć bardzo szybko się zorientowali, że nikt nie zamierza z nimi rozmawiać. Większość sprzedawców mówiła, że nie zna Any Cavanelli ani jej syna, ale niektórzy powtarzali z różnymi wariacjami odpowiedź mężczyzny z baru, co kazało Brunettiemu podejrzewać, że gdy tylko stamtąd wyszli, na zapleczach sklepów rozzwoniły się telefony.

Gdy wyszli z ostatniego sklepu, Griffoni zauważyła:

– Czuję się zupełnie jak w domu.

– Gdzie nikt nie rozmawia z policją? – zapytał Brunetti.

– Tak.

– Dlaczego tu miałyby być inaczej?

Nie potrafiła ukryć zaskoczenia, jakby nigdy nie brała pod uwagę, że także weneccjanie mogą być nieufni wobec policji i mieć stanowcze poglądy w kwestii *omertà*.

Brunetti uznał, że nie ma sensu kontynuować, więc zadzwonił do Foi i zapytał, czy nadal jest w okolicy. Foa, reagując na głos przełożonego z wyraźną ulgą, powiedział, że tak, i bez pytania dodał, że będzie przy łodzi za dziesięć minut.

Gdy właśnie przechodzili przez most na drugi brzeg kanału, gdzie była zacumowana łódź, Foa pojawił się w *calle* przed nimi z uśmiechem widocznym nawet z tej odległości. Wszyscy troje spotkali się przy łodzi.

– Rozmawiałem z ciotką, *commissario* – powiedział z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Jak rozumiem, zna Anę Cavanelłę? – zapytał Brunetti, sam niezdolny do ukrycia uśmiechu.

– Tak, a przynajmniej zna ją z widzenia i wie, co o niej mówią.

– Czyli?

Foa rozejrzał się po małym *campiello*, jakby udzieliła mu się okoliczna nerwowość dotycząca rozmów z policjantami.

– Wejźmy na pokład – zaproponował, odwracając się do łodzi. Wskoczył na pokład, znajdujący się teraz niżej niż gdy tu przyплыnęli. Wyciągnął rękę, najpierw do Griffoni, a potem do Brunettiego, który chętnie przytrzymał się jej, schodząc na łódź.

Foa uruchomił silnik i odpłynął od *riva*, a potem wrzucił wsteczny i wycofał się do kanału po prawej, żeby zawrócić w stronę, z której przyплыnęli. Gdy wypłynęli na Canale Grande, zwolnił, a Brunetti i Griffoni przesunęli się, żeby stanąć po jego bokach.

Foa zaczął mówić bez ponagrania.

– Historia jest taka, że jej matka przeprowadziła się tu wiele lat temu, gdy Ana była małą dziewczynką. Matka wynajmowała dom, ale potem stał się on własnością Any, nikt nie wie, w jaki sposób.

To bardzo po wenecku, pomyślał Brunetti, zaczynać opowieść tego rodzaju od kwestii nieruchomości.

– Gdy Ana była jeszcze bardzo młoda, została zatrudniona jako służąca gdzieś na mieście i mieszkała w tygodniu w tamtym domu, chociaż wracała, żeby odwiedzać matkę, kiedy tylko mogła. Potem, po kilku latach, wróciła, żeby z nią mieszkać. – Foa urwał i powiedział. – Powinien pan wiedzieć, że moja ciotka ma prawie dziewięćdziesiąt lat. – Zobaczył ich zaskoczenie i dodał: – Właściwie to ciotka mojego ojca. Ale mimo wszystko ciotka. – Roześmiał się. – Ojciec zawsze mówił, że jest jego *eredità* po tamtej części rodziny, i myślę, że teraz ja ją odziedziczyłem.

– Co wie o Anie? – naciskał Brunetti, nieszczerze zainteresowany relacjami Foi z jego cioteczną babką.

– Opowiadają, że wyjechała w podróż i wróciła z tym swoim synem.

– Co takiego? – zdziwiła się Griffoni.

Foa spojrział na nią, być może z ulgą przyjmując, że komuś jeszcze ta historia wydaje się dziwna.

– To właśnie mi powiedziała. Powiedziała, że tak mówią miejscowi: wyjechała na jakiś czas – ciotka nie wie, na jak długo – wydaje mi się, że nie były szczególnie lubiane w sąsiedztwie – i wróciła z synem.

– Ile miał wtedy lat?

– Nikt nie wie. To znaczy, tak dokładnie. Nie był już małym dzieckiem, miał może ze dwanaście lat. Był głuchy. Ciotka powiedziała, że to właśnie Ana i jej matka mówiły ludziom, ale większość uważała, że jest z nim coś jeszcze nie tak, ponieważ był tak ograniczony.

– Zaczekaj – powiedziała Griffoni. Zaskoczony Foa przyhamował motorówkę. Roześmiała się. – Nie, chodziło mi o tę historię. Czy ona trzymała tego syna gdzieś schowanego, a gdy doszedł do odpowiedniego wieku, pojechała i go zabrała? – Potrząsnęła kilkakrotnie głową. – To nie ma cienia sensu.

– Moja ciotka mówiła, że powiedziała ludziom, iż mieszkał z jej krewnymi na wsi, a gdy stał się dostatecznie duży, zabrała go do domu.

– Dostatecznie duży na co? – zapytał cicho Brunetti, jakby mówił do siebie. Pozostała dwójka usłyszała go, ale żadne

z nich nie miało nic do powiedzenia.

Griffoni zaskoczyła obu mężczyzn pytaniem:

– A może spróbujemy zajrzeć do Lembo? – Gdy żaden z nich nie sprzeciwił się tej propozycji, wyjaśniła: – Pracowała dla nich przez kilka lat. Lucrezia jest od niej kilka lat starsza, więc musiała być wtedy nastolatką i może ją pamiętać.

Brunetti popatrzył na zegarek i zobaczył, że minęła już szósta.

– Jeśli chcesz, możesz nas tu wysadzić, Foa, a potem odprawić łódź.

– Nie chce pan usłyszeć, co jeszcze powiedziała moja ciotka? – zapytał Foa, bezskutecznie starając się ukryć, jak bardzo czuje się urażony tym, że przerwali jego relację.

Brunetti położył mu rękę na ramieniu.

– Oczywiście, przepraszam. Co jeszcze powiedziała?

– Że była piękną dziewczyną i wszyscy chłopcy w okolicy szaleli na jej punkcie. Ale ona nigdy nie chciała się z nimi zadawać, jakby uważała, że jest dla nich za dobra, czy coś takiego. – Zastanowił się nad tym i zapytał, jakby na to pytanie nie było stosownej odpowiedzi: – Była dziewczyną z San Polo i była za dobra dla miejscowych chłopców?

– Moja córka jest dziewczyną z San Polo – zauważył lekko Brunetti. – A ja z całą pewnością uważam, że jest lepsza niż większość chłopaków, których widuję w okolicy.

Zajął to chwilę, ale gdy Foa zrozumiał, roześmiał się i przyspieszył, żeby zawieźć ich do *palazzo* rodziny Lembo.

Foa zatrzymał się w miejscu, gdzie poprzednio wysadził Brunetti, ale nie dał żadnego znaku, że chciałby poczekać, być może nadal urażony ich wyraźnym brakiem zainteresowania dla historii jego ciotki. Pomógł im wysiąść z łodzi, pomachał i skierował się na Canale della Giudecca.

Wiatr osłabł, ale stał się zimniejszy, więc Brunetti pożałował, że nie zabrał szalika albo nie pomyślał o włożeniu cieplejszej kurtki. Zauważył, że Griffoni ma na sobie płaszcz na podszewce, sięgający jej prawie do kolan, i w ogóle nie zwraca uwagi na zimno.

– Jak to rozegramy? – zapytała, gdy szli *calle*.

– Zobaczymy, co się wydarzy i odpowiednio zareagujemy. – To była jedyna rzecz, jaką potrafił zasugerować.

Nie usłyszał odpowiedzi. Kanałem u wylotu *calle* przepływała łódź, więc Brunetti zaczął z naciśnięciem po raz drugi dzwonek, aż znalazła się poza zasięgiem słuchu. Przycisnął dzwonek i przytrzymał na nim palec; oboje usłyszeli odległe echo ze środka.

Powiedział sobie, że jeśli nikt się nie pojawi, to będzie koniec i zapomni o całej sprawie. Pozwoli zmarłemu spoczywać w spokoju. Pozwoli wszystkim spoczywać w spokoju. Odczekał całą minutę i zadzwonił jeszcze raz, przytrzymując palec na przycisku przez dłuższą chwilę.

W środku trzasnęły drzwi i Brunetti poczuł przypływ ulgi. Ktoś tam był, a on mógł kontynuować tę sprawę.

Nieoczekiwanie drzwi się otworzyły. Bez żadnego ostrzeżenia, bez żadnego dźwięku ze środka: były zamknięte, a w następnej chwili otwarte. Przed nimi stała wysoka kobieta, wyglądająca jak starsza siostra kobiety w bikini ze zdjęcia, które pokazywała mu signorina Elettra. Była ubrana w szary dres sprawiający wrażenie, jakby został kupiony na szczuplejszą osobę.

Minęło sporo czasu od zrobienia tych zdjęć, ale dla niej minę-

ło jeszcze więcej czasu lub też ten czas był trudniejszy. Jedno spojrzenie powiedziało Brunettiemu, że jej twarz przeszła za-
bieg liftingu, być może więcej niż raz, ale w pewnym momencie
kobieta zaniechała wysiłków lub postanowiła oszczędzić sobie
kłopotu i zaakceptowała nieuniknione. Zmarszczki kumulowały
się pod jej podbródkiem jak gęste ciasto wylwane zbyt wolno
z misy. Jej włosy miały rdzaworudy kolor i były związane
w koński ogon, z wyjątkiem pojedynczych kosmyków, skręcają-
cych się w loki po bokach głowy.

Pod jej oczami utworzyły się małe strumyczki, w kształcie po-
między U a V, ze skórą ciemniejszą niż skóra reszty twarzy. Po-
patrzyła na nich, najpierw na mężczyznę, a potem na kobietę,
oczami pozbawionymi ciekawości czy zainteresowania.

– Sì? – zapytała. Niezależnie od tego, czy przyszli po czynsz,
czy chcieli jej powiedzieć, że jej dom się pali, reakcja na ich
obecność byłaby taka sama.

– Signora Lembo? – zapytał Brunetti.

– Sì – odparła neutralnie.

– Jestem komisarz Brunetti, a to komisarz Griffoni. Chcieli-
byśmy z panią porozmawiać.

– O czym?

– O Anie Cavanelli.

Jej oczy zmieniły się i ożyły, chociaż nie w sposób, który Bru-
nettiemu wydałby się szczególnie pociągający. Spojrzała na
Griffoni, a gdy Brunetti przyjrzał się swojej koleżance z pracy
kątem oka, zobaczył, że dzięki przygarbionej sylwetce wydaje
się niższa o kilka centymetrów. Wydawała się także pozbawio-
na wdzięku i niezgrabna, a jej twarz była do tego stopnia bez
wyrazu czy choćby cienia zainteresowania, że stała się niemal
pospolita, a z pewnością nie można by jej nazwać atrakcyjną.

– Co chcecie o niej wiedzieć? – zapytała kobieta, która z pew-
nością była Lucrezią Lembo. Wyciągnęła zza pleców rękę i głą-
boko zaciągnęła się papierosem, niemal jakby uważała aż do tej
chwili, że powinna go ukrywać. Odchyliła głowę do tyłu i wypu-
ściła długi rząd idealnych kóleczek z dymu w powietrze. Bru-
netti nie potrafił powstrzymać uśmiechu podziwu, który za-
uważała.

– Proszę wejść – powiedziała. – Zimno tutaj.

Odwróciła się i przeszła przez mały dziedziniec do drzwi, otworzyła je i sztywno weszła po stromych schodach. Brunetti i Griffoni poszli za nią, a komisarz odwracał oczy od widoku szerokich pośladków kobiety przed nim na schodach. W korytarzu, do którego weszli, było jeszcze zimniej niż na dziedzińcu. Jedyнным dźwiękiem były tutaj ich kroki, jego i Griffoni. Gdy Brunetti spojrział na Lucrezię Lembo, zobaczył, że ma na nogach miękkie kapcie. Nic dziwnego, że nie usłyszeli, jak szła przez dziedziniec.

Na końcu korytarza otworzyła drzwi prowadzące na drugi korytarz. Zostawiła je otwarte, żeby mogli wejść za nią i zamknąć je, co też uczynił Brunetti. Pomyślał o tym, jak wiele razy widział tę scenę w filmach, zarówno dobrych, jak i złych: niewinny człowiek zostaje zaproszony do domu mordercy; morderca wchodzi do domu niewinnego człowieka.

Kobieta zatrzymała się na chwilę przed kolejnymi drzwiami, by wetknąć papierosa w przepelnioną popielniczkę stojącą na orzechowym stole. Te drzwi prowadziły do słabo oświetlonego pokoju, w którym kiedyś musiała się mieścić biblioteka. Większość półek była pusta, a pozostałe książki leżały jak prostokątni pijacy, pod najróżniejszymi kątami. Była tu nawet przesuwana drewniana drabina, przymocowana do regałów i pozwalająca się dostać na najwyższe półki, także niemal całkowicie pozabawione książek.

W tym pokoju nie pachniało papierosami. Na książkach nie było kurzu, a dywan był tak świeżo wyczyszczony odkurzaczem, że ich buty zostawiły na nim odciski. Resztki dziennego światła wpadały bez przeszkód przez okna, na których nie było nawet smugi brudu.

Lucrezia zajęła miejsce na pluszowej kanapie, trzymając stopy płasko na podłodze przed sobą. Wskazała im fotele naprzeciwko.

– O co chodzi z Aną Cavanellą? – zapytała.

– Pracowała dla pani rodziny, prawda? – zapytał Brunetti. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że Griffoni stała się głuchoniema.

– Tak. Wiele lat temu.

Dopiero w tym momencie, słysząc, jak jej głos zacina się na tych słowach, Brunetti uświadomił sobie, że ta kobieta jest pijana lub pod wpływem narkotyków, przynajmniej w takim stopniu, by odbijało się to w jej sposobie mówienia. Przeniosła ciężkie spojrzenie na Griffoni, ale najwyraźniej uznała ją za równie obojętną jak Brunetti. Czy tylko tyle zostało z narkotyków, seksu i rock'n'rolla? Z pewnością nikt by sobie tego nie wyobraził.

– Jakie usługi świadczyła na rzecz pani rodziny?

Nagły błysk gniewu rozświetlił oczy Lucrezii, a jej dłonie bezwiednie zacisnęły się w pięści. Ale w jednej sekundzie jej twarz stała się spokojna, a dłonie odprężone.

– Była pokojówką, jeśli o to pan pyta – odparła powściągliwie.

– Pani matki? – Brunetti przypomniał sobie czasy, gdy zamozne kobiety miały tak zwane osobiste pokojówki.

Znowu pojawił się ten przebłysk i mimowolny ruch dłoni zastąpiony błyskawicznie spokojem.

– Nie. Była pokojówką całej rodziny.

– Była wtedy bardzo młoda, prawda?

– Miała piętnaście lat, gdy do nas przyszła – odparła Lucrezia. Niezadowolenie tym razem było wyraźniej słyszalne w jej słowach, znowu świadcząc o tym, co wypięła lub zażyła. – To zależy, jak młodym wiekiem to się panu wydaje. – Brunetti uważał, że wiek nie ma znaczenia; to odpowiedź zwróciła jego uwagę: dlaczego pamiętałaby coś takiego sprzed pół wieku?

– To niebezpieczny wiek. – Griffoni zaskoczyła go nie tyle samymi słowami, ile tym, że zdążył już prawie o niej zapomnieć, siedzącej obok, skromnej, pospolitej i milczącej. Czekającej.

Oczy Lucrezii pobiegły do kobiety siedzącej obok Brunettiego. Przyjrzała się tej nieoczekiwanie odzywającej się figurze. Griffoni patrzyła na swoje ręce splecione na kolanach, ale Lucrezia widziała dostatecznie dużo jej twarzy, by dostrzec nagle zmarszczone brwi i zaciśnięte usta.

– Niebezpieczny – powtórzyła Lucrezia całkowicie bezbarwnym głosem. Równie dobrze mogłaby podawać im swój rozmiar buta. Bez słowa wyjaśnienia wstała, przeszła przez pokój i wyszła, zostawiwszy za sobą otwarte drzwi.

Brunetti odwrócił się do współpracownicy z pytającym spojrzeniem, ale ona, być może myśląc o bezszelestnym sposobie chodzenia Lucrezii, przyłożyła palec do ust i potrząsnęła głową. Znowu rozejrzał się po pokoju, czując się nieswojo z powodu kontrastu pomiędzy nienaganną czystością a chaosem w ułożeniu książek.

Ponieważ Griffoni najwyraźniej nie zamierzała podejmować konwersacji, zaczął znowu myśleć o Davide Cavanelli. Jego wiek nie był całkowicie pewny; mógł się urodzić, gdy Ana Cavanella tu pracowała, lub też później. Ta rodzina patrzyła, jak ona dorasta, rozwija się, dojrzewa. Przywołał w pamięci, jakby je sfotografował, zaciśnięte dłonie Lucrezii, odtworzył scenę, jak je powoli rozluźnia, być może zmuszając palce, by się rozprostowały i wyglądały naturalnie. Przypomniał sobie wyraz jej oczu, gdy zapytał, jakie usługi – cóż za niestosowny dobór słów – świadczyła dla rodziny. Kto mógł wiedzieć, czy była osobistą pokojówką, czy też po prostu pokojówką, albo czym w ogóle była? Na czym polegały jej usługi? Komu je świadczyła?

Lucrezia Lembo wróciła do pokoju. Zarówno Brunetti, jak i Griffoni zauważyli różnicę: była spokojniejsza, jej ciało odprężone, a ruchy bardziej płynne. Brunetti pomyślał, że jej włosy się nie zmieniły, pozostały takie same, tak jak jej ciało, ale wydawała się odświeżona, wręcz młodsza, a z pewnością szczęśliwsza.

Wróciła na swoje miejsce na kanapie i usiadła z kolejnym westchnieniem.

– O czym mówiliśmy? – zapytała, próbując się uśmiechnąć do Brunettiego, ale nie potrafiła ukryć, że jej uwaga koncentruje się na milczącej Griffoni.

– Pytałem panią o Anę Cavanellę, która kiedyś pracowała dla pani rodziny – przypomniał Brunetti.

– Tak, wydaje mi się, że ją pamiętam – odpowiedziała Lucrezia głosem, który stał się niemal leniwy. – Śliczna dziewczyna, nieprawdaż?

– Nie znałem jej wtedy – powiedział Brunetti, nie uznając za wskazane informować jej, że był wtedy małym dzieckiem. Postanowił skłamać, więc dodał: – Ale mój ojciec mógł ją znać.

Przeniosła na niego spojrzenie, które dopiero w tym momencie stało się zogniskowane.

– Jak to możliwe? – zapytała.

– Miał łódź do wynajęcia, zwykle pływał czymś w rodzaju tak-sówki wodnej, ale także transportował cenne obiekty na zlecenie antykwariuszy. – Brunetti przybrał najzyczliwszy uśmiech, przepełniony wspomnieniami przeszłości, lepszych czasów, które w przypadku jego ojca nigdy nie istniały. – Był bardzo ostrożny, tak mówili antykwariusze. Dlatego ufali mu, powierzając różne przedmioty. – Znów ten sam uśmiech. – Pamiętam, że opowiadał o pani ojcu. – Biorąc pod uwagę, ile miał wtedy lat, było to niezwykle mało prawdopodobne, ale wątpił, by Lucrezia zwróciła uwagę na taki szczegół.

Usta kobiety ułożyły się w uśmiech.

– Mój ojciec wiele rzeczy kupował – powiedziała, posłuchała echa własnych słów i znów się uśmiechnęła, ale ten uśmiech, chociaż nieudawany, nie był piękny. Machnęła ręką w stronę niemal pustych półek, a Brunetti popatrzył na nie z podziwem. – Tak więc pana ojciec mógł dla niego pracować – podsumowała, mówiąc tak, jakby te słowa miały jakieś znaczenie i związek z ich wcześniejszą konwersacją.

Brunetti powtórzył uśmiech przywołujący wspomnienia dawnych dobrych czasów.

– Mówił, że pani ojciec był zawsze dla niego bardzo hojny, podobnie jak dla ludzi, którzy z nim pracowali – zmyślił na poczekaniu. Hojność była tak pożądaną cechą, że wszyscy chcieli, by była im przypisywana, w odróżnieniu od poczucia sprawiedliwości lub uczciwości, tych nieporęcznych, niewygodnych cnót.

– O, mój ojciec był bardzo hojny – odparła tak przebiegłym tonem, że Brunetti nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż każde z nich prowadzi inną rozmowę lub też nie rozmawiają o tym samym.

– To także jest niebezpieczne – powiedziała Griffoni z sybil-lińską obojętnością. – Hojność. – Podsumowała to słowo na wpół kpiącym prychnięciem.

Lucrezia wzdrygnęła się, jakby nie miała pojęcia, skąd dobiega ten głos. Skierowała rozproszoną uwagę swojego spojrzenia

na Griffoni, ale komisarz zdążyła już znowu znieruchomieć. Zdziwienie Lucrezii odmalowało się na jej twarzy. Potem, zaskakując oboje rozmówców, powiedziała:

– To moja matka nie była hojna. – Jej oczy przesunęły się na półki regałów, na książki, a potem, jakby echo jej słów spędziło tam chwilę, zanim wróciły do niej, nagle zatkała sobie dłonią usta. – Nie. To nie tak. Była dobrą kobietą. Kazała nam odmawiać różaniec. Każdego wieczoru, zanim położyliśmy się spać, klękałyśmy razem z nią i odmawiałyśmy różaniec: tajemnice radosne w poniedziałek, tajemnice bolesne we wtorek, tajemnice chwalebne w środę. – Zamknęła oczy i złożyła ręce, jakby trzymała w nich paciorki. – Ofiarowanie Pana Jezusa w świątyni – powiedziała zupełnie innym głosem, poważnym, głębokim i pełnym szacunku. – Owoc tajemnicy: Czystość. Posłuszeństwo. – Brunetti patrzył na jej dłonie poruszające się, jakby niewidzialne paciorki przesuwały się powoli pomiędzy jej palcami. Jej wargi poruszały się. Brunettiemu wydawało się, że powtarza ostatnie dwa słowa.

Takim samym głosem, wpadając w tę samą rytmiczną kadencję, Griffoni powiedziała:

– Lepiej pomyśleć o Ukrzyżowaniu, *signora*. Owoc tajemnicy: Zbawienie. Przebaczenie. – Włoski na szyi Brunettiego stanęły dęba, gdy pomyślał o jej imitacji głosu signoriny Elettry.

Lucrezia otworzyła powoli oczy i popatrzyła na Griffoni z łagodniejszym uśmiechem.

– Matka nauczyła nas posłuszeństwa. – Jej uśmiech przygasł. – Nauczyła go także mojego ojca.

Zwróciła się do Brunettiego i powiedziała całkowicie normalnym głosem:

– Wiem, że ludzie nazywali go królem miedzi. Ale to moja matka rządziła, a nie on.

Brunetti był przytłoczony lękiem, że zaraz się udusi, uwięziony w świecie wypaczonej kobiecości: Griffoni sprawiała wrażenie, jakby wzięła urlop od rozsądku i wpadła w religijny trans, podczas gdy kobieta z rodziny Lembo wezwała duchy zmarłych rodziców i obie recytowały nazwy dziesiątek różańca, których nie słyszał od czasów dzieciństwa, gdy przebywał u dziadków

i obserwował stare kobiety popadające w dewocję.

Wstał, podszedł do najbliższego okna i otworzył je na oścież. Do pokoju wpadło zimne powietrze. Lucrezia nie zauważyła tego, ale Griffoni rzuciła mu ostre spojrzenie i poruszyła głową w bok, nakazując mu zamknięcie okna. Zrobił to, ale został obok niego. Z tego miejsca widział je obie, więc odwrócił się i popatrzył na północ, gdzie dostrzegł dzwonnice Santo Stefano, sprawiającą wrażenie jeszcze bardziej przekrzywionej niż widziana z ziemi. „Wszystko się przechyla, ale nic nie upada” – powtarzali weneccjanie przez całe jego życie.

Za jego plecami głosy kobiet mamrotały cicho: Brunetti nie miał pojęcia, czy odmawiały różaniec, czy też jedna z nich zwierzała się drugiej. Nie widział ani nie usłyszał, kiedy coś zaszło między nimi, ale wyczuł moment, gdy ich dusze zjednoczyły się w różańcu. Wspomnienie spojrzenia Griffoni sprawiło, że wzdrygnął się na myśl o tym, jak fałszywy był ten rodzaj jedności pomiędzy nimi, a jednocześnie nie mógł się doczekać, do czego może się to okazać przydatne.

W czasie, jaki tutaj spędzili, niebo nad miastem pociemniało. Wieża Santo Stefano rysowała się na tle ciemności tylko dzięki rozmieszczonym wokół niej światłom. Rozjaśniona i niebosiężna, była przekrzywiona i wyglądała, jakby miała się niedługo zawalić; o ilu z nas można by powiedzieć to samo? – zastanawiał się Brunetti.

Głosy kobiet dryfowały wokół niego jak dym, Brunetti nie był w stanie odwrócić się i spojrzeć na nie, nie chciał wiedzieć, o czym mówią. Niech wymieniają się nazwami dziesiątek, powtarzają sobie, do jakich cnót zachęcają, ale niech mu pozwolą trzymać się z dala od tego.

Choć starał się zablokować lub odfiltrować te słowa, cały czas przepływały obok niego: „Umartwienie rozumu i serca”, „Śmierć szczęśliwa”, „Pragnienie nieba”, „Umartwienie zmysłów”, „Czystość”. Czy tego już nie wymieniały? Skąd się brała ta obsesja seksualnej czystości? – zadawał sobie pytanie. Cóż to za wypaczony sposób patrzenia na życie.

Głosy brzęczały jednostajnie. W końcu, nie mogąc tego dłużej wytrzymać, Brunetti odwrócił się i popatrzył na nie. Głowa Lu-

crezii Lembo była przyciśnięta do oparcia fotela, a twarz zakryta dłońmi. Griffoni pochylała się do przodu i mówiła do niej głosem tak cichym, że Brunetti nie słyszał ani słowa.

Coś w nim pękło na widok tego groteskowego religijnego teatru.

– Griffoni – powiedział tak głośno, że obie kobiety spojrzały na niego zaniepokojone. – Wystarczy.

Nie próbowała się z nim spierać. Wstała, nachyliła się do Lucrezii, która odsłoniła oczy i szepnęła coś do niej. Griffoni skinęła głową i wyciągnęła prawą rękę, by dotknąć jej ramienia.

Brunetti zignorował je obie i skierował się do drzwi. Przytrzymał je otwarte dla Griffoni, która kilkakrotnie poklepała drugą kobietę po ręce, a potem posłusznie podeszła do niego. Wyszli razem; w milczeniu zeszli po schodach i minęli dziedziniec. Brunetti wymacał klamkę i otworzył drzwi. Razem wyszli na wąską *calle*.

Oparł się pokusie trzaśnięcia drzwiami i skręcił w lewo, w stronę przystanku Accademia. Usłyszał za sobą stłumiony dźwięk, a gdy się odwrócił, zobaczył, że Griffoni oparła się ramieniem o dom po drugiej stronie *calle*. Ogarnął go nocny chłód, gdy Griffoni zrobiła krok w jego stronę, złapała go za rękę i oparła się o niego całym ciężarem. Bez namysłu objął ją ramieniem i postarał się podtrzymać ją w pozycji stojącej, ale zaczęła się osuwać obok niego, więc stanął przed nią, żeby objąć ją także drugą ręką. Jej głowa uderzyła go w ramię, a jedna ręka odbiła się od jego boku.

Obok znajdowało się niskie zakratowane okno, więc na wpół zaniósł, a na wpół popchnął ją do niego. Opuścił ją, aż usiadła na parapecie, pochylona do przodu, z głową na wysokości brzucha. Przykucnął, jedną ręką przytrzymując ją opartą o kraty, a drugą sprawdzając puls, chociaż nie do końca wiedział, co takiego powinien wyczuć.

Jej głowa odchyliła się do tyłu i oparła o kraty. Otworzyła oczy, a Brunetti widział jej zaskoczenie, gdy dostrzegła ścianę budynku po drugiej stronie *calle*. Nagle świadoma jego obecności, odsunęła się, wciskając się w pręty. W tym momencie rozpoznała go, a jej twarz się odprężyła.

- Co się stało? – zapytała i uniosła dłoń, by wytrzeć oczy. Brunetti odrobinę się odprężył.
- Wydaje mi się, że zemdląłeś.
- Ja nigdy nie mdleję – odparła głosem, w którym zabrzmiała uraza.
- Może to była wizja Madonny? – zaryzykował Brunetti. Jej oczy rozszerzyły się, ale odpowiedziała uśmiechem.
- To chyba było dla mnie zbyt wiele – powiedziała.
- Co takiego?
- Zrobienie czegoś takiego tej biednej kobiecie.
- A co zrobiłaś?
- Nakłoniłam ją, żeby opowiedziała mi o swojej matce i o tym, jak odmawiała różaniec. – Po chwili dodała z całkowitą powagą: – To prawdziwy potwór.
- Ta nieszczęsna istota? – zapytał Brunetti, skinieniem głowy wskazując zamknięte drzwi *palazzo*.
- Nie, jej matka.

Brunetti uznał, że Griffoni powinna się czegoś napić, więc pomógł jej się podnieść i czekał, aż stanie pewnie na nogach. Gdy skinęła głową, wziął ją pod ramię i razem poszli przed siebie. Skręcili w prawo, przeszli przez most i weszli do baru. Na szczęście mały stolik z tyłu był wolny.

– Rumianek – powiedziała w odpowiedzi na jego spojrzenie. Brunetti podszedł do baru i zamówił herbatę i kawę, a potem zmienił to na dwa czajniczki herbaty. Jego matka mawiała, że herbata jest dobra w nagłych wypadkach, i wydawało się, że to jest właściwa okazja.

Wrócił do stolika. Usłyszał świst pary, brzęk naczyń i niebawem kelnerka przyniosła im herbatę. Włożył torebkę do czajniczka Griffoni, a potem do własnego. Wsypał do filiżanki Griffoni dwie saszetki cukru, ignorując jej protesty, że nie chce go w ogóle, a potem dwie do własnej.

Jej twarz była stężała, jak twarze dzieci, gdy po raz pierwszy szły na spacer, a potem na narty w górach. Uznał, że sama odmarznie, potrzebowała tylko czasu i ciepłego miejsca.

Brunetti podniósł filiżankę, podmuchał na powierzchnię, zamieszał kilka razy i znowu podmuchał, a ona wykonała te same działania. W końcu odważył się wypić mały łyk; napój był wciąż gorący, ale już nie wrzący. Odstawił filiżankę i znowu zaczął mieszać herbatę. Gdy temperatura stała się właściwa, zaproponował:

– Opowiedz mi.

Wypiła kilka łyków herbaty i doląła więcej do filiżanki, nie dodając cukru, jakby chciała pokazać mu, co jej smakuje. Jeszcze jeden łyk.

– „Czystość” – powiedziała. – Wydaje mi się, że to było dla niej kluczowe słowo. Jej matka miała obsesję na tym punkcie. Kąpiele, mycie rąk, zmienianie ubrania dwa razy dziennie. Mieli służące, więc mogli sobie na to pozwolić. A potem – cią-

gnęła, przerywając, żeby napić się jeszcze herbaty – kiedy były już starsze, zaczęła im opowiadać o innym rodzaju czystości. Mieszkała z nimi zakonnica i stale przychodzili księża.

Griffoni umilkła i wypila resztę herbaty.

– Dlaczego ludzie potrafią wszystko tak skomplikować? – zapytała z nieukrywaną irytacją.

Brunetti wzruszył ramionami. Nigdy nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

– Gdy były starsze, wysłała je do żeńskiej szkoły w Irlandii, ale potem ona – matka – zachorowała i Lucrezia musiała wrócić, by się nią opiekować.

– Na co zachorowała?

– Nie rozumiałam – powiedziała i spojrzała na Brunettiego, jakby rozważała, jak daleko może się posunąć. – To brzmiało jak opis jednej z tych chorób, na które cierpią bogate kobiety w powieściach.

– Gdzie był ich ojciec, kiedy to wszystko się działo?

– Właściwie nie wiem – przyznała Griffoni z wyraźnym zaskoczeniem. – To było tak, jakby nie istniał.

– Jak można być królem miedzi i nie istnieć?

– Nie wiem – powtórzyła napiętym głosem. – Zapytałam o niego, ale powiedziała, że on nigdy się nie liczył, firma należała do rodziny jej matki, on był prezesem tylko dlatego, że się z nią ożenił. Bezustannie podróżował i pracował. Mieli kopalnie na całym świecie, a on jeździł, żeby je nadzorować.

W uszach Brunettiego to brzmiało jak historie z czasów La Serenissima Repubblica, gdy kupcy pływający na statkach wracali do domu raz do roku, zostawali na tak długo, by rozładować i załadować towary oraz zapłodnić żony, a potem znowu wyruszyli na poszukiwanie zarobku.

Na jej twarz powróciły kolory, a głos stał się pewniejszy. Najpierw Pucetti zaprzyjaźnił się z Aną Cavanellą, a teraz Lucrezia Lembo zwierzała się Griffoni; czy był uwięziony w gnieździe zmij potrafiących wślizgnąć się w czyjeś zaufanie? Czy on także taki był?

Brunetti dopił herbatę i obejrzał się w stronę baru w nadziei, że zwróci uwagę kelnerki. Griffoni odchyliła głowę do tyłu i za-

mknęła oczy w sposób przypominający Lucrezię Lembo.

Gdy je otworzyła, spróbowała się uśmiechnąć.

– Przepraszam, Guido. Po prostu zrobiło mi się jej żal. Żal ich wszystkich.

– Nie powinno tak być – powiedział Brunetti – że za głupotę płaci się tak wysoką cenę.

Tym razem to ona nie zrozumiała, dostrzegł to na jej twarzy.

– Jej matka i te przemowy o czystości – wyjaśnił i bez żadnych wstępów dodał: – Lekarz, który zajmował się Aną Cavanellą i jej synem, powiedział, że nigdy nie szukała dla niego pomocy, żadnych testów, żadnej nauki, nic. – Zauważył zdumienie Griffoni. – Powiedział, że była tak głupia, iż wstydziła się jego głuchoty. Uważała ją za karę boską za swój grzech, więc pozwalała, by jej syn dorastał jak zwierzę. I tak samo umarł.

– Czy cokolwiek z tego wystarczy, żebyś chciał to zostawić? – zapytała, machając ręką, jakby chciała objąć wnętrze baru, *palazzo* za mostem, Anę Cavanellę i jej zmarłego syna.

– Nie.

– W takim razie co dalej? – Zapął, z jakim zadała to pytanie, sprawił mu przyjemność.

– Myślę, że będziemy szukać, dopóki czegoś nie znajdziemy – powiedział.

– To dobrze.

*

Brunetti rozważał, czy nie pójść na godzinę do komendy, żeby poszukać publicznie dostępnych informacji zawierających jakieś ślady dotyczące rodziny króla miedzi, ale zrezygnował z tego pomysłu. Nie mógł przecież zaprosić Claudii Griffoni do domu i powiedzieć żonie, że muszą trochę popracować na komputerze, więc może spokojnie zająć się szykowaniem obiadu i przy okazji postawić dodatkowy talerz dla gościa.

Gdy zobaczył, jak zmęczona jest Griffoni, zaproponował, że zaczną następnego dnia rano, wiedząc, że ona się na to zgodzi. Tak też zrobiła i powstrzymała go przed odprowadzeniem jej do domu, mówiąc, że czuje się znacznie lepiej.

– Zrobienie czegoś takiego było nieprzyjemne, ale nie okrop-

ne – powiedziała. Dodała jeszcze, starając się, by to zabrzmiało swobodnie: – Właśnie tego najbardziej nie lubię: sprawiania, żeby ludzie ci zaufali, a potem wykorzystywania tego, żeby dowiedzieć się czegoś od nich.

– To część naszej pracy – odparł Brunetti. – Choć ja także tego nie lubię.

Szli powoli w stronę *imbarcadero*. Griffoni zatrzymała się i spojrzała na niego, żeby powiedzieć:

– Ale czasem, w przypadku złych ludzi, daje to pewną satysfakcję. – Gdy Brunetti nie zareagował, dodała: – Czasem to trudne, szczególnie w przypadku młodszych funkcjonariuszy, słuchać, jak mówią o tym, że ludzie są ofiarami społeczeństwa lub swojej sytuacji rodzinnej.

– Jak w takim razie określisz Lucrezię Lembo? – Brunetti nie potrafił się powstrzymać przed zadaniem tego pytania, chociaż nie istniały żadne dowody na to, że była złym człowiekiem; była tylko słaba i niestabilna.

Uśmiechnęła się.

– Sama się o to prosiłam, prawda?

– Tak.

Znowu ruszyła w kierunku przystanku Accademia.

– Chodziło mi o tych, którzy pobili swoją dziewczynę albo zabili lub obrabowali kogoś, a potem kopnęli go w twarz tylko po to, by pokazać, jacy z nich twardziele. O takich mówię.

Brunetti zgodził się z nią, ale nic nie powiedział. Usłyszeli, że jej prom się zbliża i pod pływa szybko do dachu przystani. Komisarz kilka razy poklepał ramię Griffoni i zaczekał, aż wsiądzie na pokład, a potem odwrócił się i przeszedł na drugi pomost, żeby poczekać na swój tramwaj wodny.

*

Obudził się i wyjrzał przez okno sypialni; kac moralny z poprzedniego wieczoru spojrzał na niego z szarych chmur wiszących nieruchomo nad miastem. Obejrzał się, ale Paoli nie było, a gdy wsunął dłoń pod jej kołdrę, chwając sam siebie za instynkt policjanta, poczuł, że jej miejsce jest całkiem zimne. Spojrzał na zegar: dochodziła dziewiąta.

Ubrany w piżamę poszedł do kuchni, ale nie znalazł tam nikogo. Jedynym znakiem życia był kubek po kawie w zlewie i stojący na kuchence ekspres. Był zimny, tak jak miejsce Paoli w łóżku. Brunetti wypłukał go, nalał wody i wsypał kawę, a następnie postawił na małym ogniu. Przez okno z widokiem na odległe Dolomity zobaczył, że chmury rozciągają się także i tam, ciemniejąc na horyzoncie.

Jak by to było, gdyby był kawalerem, gdyby mieszkał sam i nigdy się nie ożenił? W szafkach nie byłoby porcelany babki Paoli, na ścianie nie wisiałby Canaletto, a na rogu blatu nie stałaby wystawa ceramicznych zwierzątek, które Chiara od lat zносиła do domu. Nie byłoby żółtej kaczki, różowego słonia ani żyrafy, ani rodziny pingwinów. Wyzwoleniem od tych myśli stało się bulgotanie ekspresu. Wyjął kubek ze zlewu, nalał do niego kawy i posłodził.

Godzinę później razem z Griffoni siedział przy swoim nowym komputerze, na którego ekranie wyświetlała się kopia *carta d'identità* zmarłego króla miedzi, Ludovica Fadaltiego.

– Myślałam, że miał na nazwisko Lembo – powiedziała Griffoni. – Nie Fadalti. – Położyła palec na ekranie, niemal jakby sądziła, że Brunetti nie potrafi przeczytać widocznego tam nazwiska.

– Powiedziała ci, że firma należała do jej matki, prawda? – przypomniał Brunetti.

– Tak, powiedziała. Ale firma nazywa się Lembo.

Brunetti nacisnął klawisz i pojawiła się nowa *carta d'identità*: ta sama data i miejsce urodzenia, to samo zdjęcie, ale nazwisko brzmiało teraz „Lembo”.

– Zmienił je – wyjaśnił Brunetti. Nigdy nie słyszał o kimś, kto naprawdę by to zrobił, i był ciekaw, ilu rzeczy mężczyzna, który urodził się jako Fadalti, był skłonny się wyrzec na drodze do zostania królem miedzi. – Dzięki temu dzieci mogły zachować nazwisko matki.

Popatrzył na inne dokumenty, do których uzyskali dostęp: akt urodzenia i zgonu, prawo jazdy, akt małżeństwa, rejestracja w systemie opieki zdrowotnej. Lembo nie miał biletu sieciowego, ponieważ zostały one wprowadzone zaledwie kilka lat temu,

ale być może bogaci mężczyźni po osiemdziesiątce nie byli skłonni korzystać z *vaporetto*. Paszport był regularnie odnawiany, po raz ostatni cztery lata przed jego śmiercią, a konto bankowe i karty kredytowe zostały zamknięte i anulowane dopiero po jego śmierci.

We wszystkich oficjalnych dokumentach, które powstały niedługo po tym, jak się ożenił, jego nazwisko brzmiało Lembo. Brunetti przypomniał sobie akt urodzenia Lucrezii: nie pamiętał, czy widział tam jakieś ślady „Fadaltiego”, więc metamorfoza musiała się dokonać przed jej przyjściem na świat.

Otworzył jej akt urodzenia, a potem akt małżeństwa jej rodziców. Ten sam rok, ale różnica zaledwie sześciu miesięcy. Szturchnął Griffoni i wskazał jej te dwie daty.

– Mamma mia! – powiedziała. – Nawet w rozwiązłym Neapolu sześćdziesiąt lat temu coś takiego nie zdarzało się często, z pewnością nie w przypadku osób z ich klasy.

– Tutaj tym bardziej – odparł Brunetti.

Gdy wyczerpali oficjalne źródła, otworzył Google i wpisał nazwisko „Ludovico Lembo”. Wyskoczyły całe strony artykułów, ale gdy Brunetti szybko przejrzał wyniki, przekonał się, że chociaż w wielu z nich pojawiało się nazwisko Lembo, nie koncentrowały się one na osobie Ludovica. Ponowił wyszukiwanie, tym razem wpisując „Ludovico Fadalti”, ale nie znalazł w prasie żadnych wzmianek o jego ślubie kościelnym, żadnej bazyliki, panny młodej w białej gondoli, błogosławieństwa patriarchy. Kilka kolejnych artykułów przybliżyło wczesne lata Lucrezii i jej burzliwą podróż przez życie, wspominając o Ludovico tylko jako o jej ojcu.

Znaleźli kilka artykułów o nim z czasów, gdy nazywał się jeszcze Ludovico Fadalti; był synem weneckiego inżyniera, jedynakiem, absolwentem Uniwersytetu w Padwie. Liczne artykuły poświęcone Lembo Minerals zawierały informacje o firmie oraz sukcesach, jakie zaczęła odnosić pod „dynamicznym kierownictwem” Ludovica kto-wie-kiedy-stającego-się-Lembo, inżyniera, którego „umiejętności i inicjatywa” nadały nowy kurs staroświeckiej firmie, przy zachowaniu „podejścia rodzinnego”, będącego źródłem jej sukcesu w początkach wieku. Najwyraźniej

najwcześniejsze z tych artykułów zostały napisane całe lata po wkroczeniu przez firmę na nową, „dynamiczną” ścieżkę rozwoju. Zapiski na temat wczesnych lat pod przywództwem Lembo – Brunetti uznał, że równie dobrze może się poddać i zacząć go tak nazywać – były bardzo skąpe. Były za to wzmianki o odznaczeniach, jakie w późniejszych latach otrzymywał od branżowych i biznesowych organizacji, których kulminacją był tytuł przyznany na dwa lata przed jego przejściem na emeryturę, „Cavaliere del Lavoro”.

Mniej więcej od połowy lat siedemdziesiątych zaczęły się pojawiać artykuły o kobietach z rodziny Lembo, przybliżające sylwetki wyniosłej signory Lembo i jej dwóch pięknych córek. Widząc je upozowane na kolejnych fotografiach, matkę obejmującą ramiona nastoletnich córek w geście naśladowującym miłość, Brunetti pomyślał o matce Grakchów, która także promieniała dumą, prezentując swoje klejnoty. Signora Lembo, jak się dowiedział, wyróżniała się głęboką wiarą i niestrudzoną działalnością dobroczynną na rzecz Świętej Matki Kościoła. Było nawet zdjęcie pokazujące ją klęczącą, nierozpoznawalną pod czarną woalką, z głową pochyloną nad wyciągniętą ręką papieża.

Potem, powoli, w ciągu kolejnej dekady, artykuły zniknęły, zastąpione artykułami o kobiecie, która nie była już młoda i którą najwyraźniej postanowiono nazywać „księżniczką miedzi”.

Brunetti wstał, żeby rozprostować plecy, i zostawił komputer Griffoni. Nie przerywała czytania, tymczasem on podszedł do okna, pochylił się, żeby dotknąć grzejnika, który był wciąż zimny, i zaczął się przyglądać sylwetkom na *campo* po drugiej stronie kanału.

Uświadomił sobie, że ojciec rodziny był kolejnym niewidzialnym człowiekiem, chociaż poświęcił tylko swoje nazwisko. Czy to było warte zostania królem miedzi i jaką jeszcze zapłacił za to cenę? Małżeństwo z kobietą, którą brukowa prasa przedstawiała jako świętą? Jego pierworodna córka wyszła za o połowę młodszego od siebie żigolaka, a teraz osładzała sobie ostatnie lata życia narkotykami lub alkoholem. Druga wyjechała do nawiedzanej przez Boga Irlandii, żeby tam studiować i pracować, najwyraźniej znalazła tam swoje miejsce. Najmłodsza zmarła

w wieku dwudziestu lat, a jej matka niedługo potem ulotniła się, zostawiając byłego króla miedzi, wówczas po osiemdziesiątce, z nową towarzyszką życia, by zmarł na Giudecce.

Odwrócił się do Griffoni i patrzył, jak pracuje, przez minutę lub dwie. Była całkowicie pochłonięta szukaniem informacji i niczym poza tym. Brunetti był za daleko, żeby odczytać tekst na ekranie, ale widział, jak strony pojawiają się i znikają, zastąpione przez następne i jeszcze następne.

W końcu cofnęła dłonie od klawiatury i obróciła się do niego.

– Większość artykułów o rodzicach to nonsensy będące dziełem public relations. Bezużyteczne. W szczególności nekrologi.

– Tylko święci umierają – zauważył Brunetti.

– Co takiego?

– Tylko święci umierają. W nekrologach wszyscy są święci, wszystko inne zostaje zmyte.

– Obawiam się, że masz rację – powiedziała i zamknęła stronę. – Co teraz proponujesz?

Machnął ręką w kierunku komputera.

– A może poszukamy tutaj kogoś, kto mógłby ich znać?

To zabrało trochę czasu. W końcu, wyjaśniając, że on i komisarz Griffoni potrzebują pomocy, Brunetti poprosił signorinę Elettrę o przeszukanie bazy państwowego funduszu emerytalnego, gdzie znalazła nazwiska dwojga dawnych pracowników rodziny Lembo, pokojówki i mężczyzny, którego funkcja była określona jako „majordomus”. Jednakże mężczyzna zaczął pracę już po zamążpójściu Lucrezii, więc nie mógł wiedzieć niczego ani o wcześniejszej historii tego małżeństwa, ani o rodzinie.

Natomiast pokojówka pracowała dla rodziny Lembo przez cały czas, gdy była tam Ana Cavanella, i pozostała na służbie przez następne trzydzieści lat. Griffoni usiadła naprzeciwko Brunettiego, a pomiędzy nimi leżały kartki przyniesione przez signorinę Elettrę. Komisarz, chociaż udawał, że nie zwraca na to uwagi, był całkowicie świadomy sposobu, w jaki odnosiły się do siebie te dwie kobiety podczas przelotnej wizyty signoriny Elettry w tym gabinecie, i tak jak ci, którzy wypatrują znaków pokoju z nieba, zaczął je dostrzegać.

– Czyli pokojówka musiała wszystko widzieć – stwierdził.

– Zimno się robi na samą myśl, czym to „wszystko” mogłoby być – odparła Griffoni.

– Może – zaczął, sięgnął i podniósł jedną z kartek – ...Maria Annunziata Ghezzi nam to powie.

*

Maria Annunziata Ghezzi, jak się okazało, mieszkała w Castello, za San Francesco della Vigna, i dało się ją bez trudu znaleźć w książce telefonicznej. Odebrała telefon od Brunettiego, przedstawiając się z imienia i nazwiska, a gdy odezwał się do niej w dialekcie weneckim, odpowiedziała bez oporów. Tak, pracowała dla rodziny Lembo. Nie, nie ma już z nimi kontaktu, poza otrzymywaniem emerytury, a tę wypłaca jej państwo, nie oni.

Brunetti zapytał, czy zgodziłaby się z nim porozmawiać.

– Chodzi o tego zmarłego chłopca, tak? – odparła.

– Davide Cavanelle? – zapytał.

– Tak. Syna Any.

– Tak, *signora*. Właśnie o niego chodzi.

Zapadła długa cisza; Brunetti postanowił jej nie przerywać. W końcu kobieta powiedziała:

– W takim razie niech pan tu lepiej przyjdzie, to porozmawiamy.

Zastanowił się, ale tylko przelotnie, nad sensem zabierania ze sobą Griffoni. Na jednej szali położył nieumiejętność mówienia dialektem weneckim, na drugiej – jej kobiecość i nienarzucającą się obecność.

– Masz ochotę się przejść? – zapytał.

– Zaczekaj, tylko wezmę płaszczy.

Po drodze na miejsce rozmawiali o jej dochodzeniu w sprawie pożaru w fabryce.

– Nikt niczego nie widział. Nikt niczego nie słyszał – powiedziała Griffoni.

– To brzmi, jakbyś w to nie wierzyła – zauważył Brunetti.

Przystanąła przy wejściu na most prowadzący na Campo San Francesco.

– Nie wierzę – przyznała. – Ogień wybuchł we wnętrzu fabryki. Włamano się do niej wiele lat wcześniej i ludzie korzystali z tego miejsca. Nie chcę wiedzieć, w jakim celu z niego korzystali. Wydaje się, że pożar zaczął się w pomieszczeniu, w którym były przechowywane stare farby i szmaty.

Lata temu Brunetti wtrąciłby w tym miejscu: „lub zostały tam umieszczone”, ale czas nauczył go panowania nad wymyślaniem kłopotów tam, gdzie ich nie było na pierwszy rzut oka. Nie czytał raportu wydziału do spraw podpałek, a jeśli oni doszli do wniosku, że te materiały były „przechowywane”, on nie miał powodu tego kwestionować. Od pierwszej propozycji na spotkaniu rady miasta – to musiało być jakieś sześć lat temu – że budynek mógłby zostać przerobiony na hotel, Brunettiego interesowało tylko, jak to się stanie.

Szli dalej pod adres signory Ghezzi.

– Tak się zastanawiam – powiedziała Griffoni.

– To zawsze niebezpieczne w przypadku kobiety – odparł z kamiennym spokojem Brunetti.

Ciągnęła dalej, jakby w ogóle się nie odezwał:

– Nad tym, jak zawsze zwraca się naszą uwagę na różnice regionalne: dialekt, jedzenie, obyczaje, nawet wygląd. – To mówiła neapolitanka, będąca jasnooką blondynką niemal dorównującą mu wzrostem. – A potem pomyślałam o tym, jak nikt nie zwraca sobie głowy dochodzeniem w sprawie tego pożaru ani nie zadaje sobie trudu dociekania, co mogło go spowodować. Jeśli w ogóle coś go spowodowało. To znaczy, celowo.

– Do czego zmierzasz?

– Że te różnice w dialektach, jedzeniu i obyczajach są bez znaczenia.

– Ponieważ?

– Ponieważ ostatecznie wszyscy jesteśmy tacy sami: pokonani przez system, który nigdy się nie zmienia, przez ludzi, którzy są na szczycie i robią dokładnie to, na co mają ochotę. – W jej głosie nie było nawet cienia złości. Jeśli już, brzmiała w nim ulga, ale mogła wynikać po prostu z tego, że Griffoni w końcu miała okazję komuś o tym powiedzieć.

Brunetti zatrzymał się i zastanowił, gdzie jest Ramo Sagredo i kiedy był ostatni raz w tej okolicy. Jego stopy nieoczekiwanie przypomniwały sobie to i skierowały go w lewo.

Poprowadził Griffoni przejściem podziemnym i zatrzymał się na rogu.

– Co o tym myślisz? – zapytała.

Brunetti rzucił jej spokojne spojrzenie.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek. To jest przyszłość.

– Nie przeszkadza ci to? – zapytała.

– Oczywiście że mi przeszkadza – odparł. – Ale nic nie możemy na to poradzić.

Odwróciła się i spojrzała na skrawek laguny widoczny pomiędzy budynkami.

– Poza porozmawianiem z signorą Ghezzi? – domyśliła się w końcu.

– Właśnie.

Stara kobieta mieszkała na czwartym piętrze, a okna jej kuchni, dokąd zaprosiła ich na rozmowę, wychodziły na lagunę i na cmentarz. Chociaż Brunetti wiedział z dokumentacji emerytalnej, że ma osiemdziesiąt cztery lata, signora Ghezzi wydawała się przynajmniej dziesięć lat młodsza. Miała białe włosy i okrągłą twarz, a także pomarszczone jak skórka jabłka policzki, jakie widywał u przyjaciółek swojej matki. Jednakże wyraz jej twarzy pasowałyby raczej do młodszej osoby, bystry i inteligentny. Zaproponowała im kawę, a oni oboje nie odmówili.

Griffoni podeszła do okna i stanęła przy nim, patrząc, jak łodzie i chmury ścigają się, płynąc na wschód.

– Cóż za prześliczny widok jest z tego miejsca – powiedziała. Signora Ghezzi, wyjmująca filiżanki i spodki z szafki, odwróciła się i uśmiechnęła do niej, ale Brunetti zastanawiał się z niepokojem, czy to po prostu nie kolejna próba pochlebstwa mająca skłonić świadka do zwierzeń.

Kawa zaczęła bulgotać i została szybko podana. Gdy signora Ghezzi postawiła przed nimi filiżanki – Griffoni zajęła miejsce przy stole – zapytała:

– Co takiego chciałby pan wiedzieć?

– Zastanawialiśmy się, czy mogłaby nam pani opowiedzieć o Anie i o rodzinie Lembo – powiedział Brunetti, dochodząc do wniosku, że w przypadku tej kobiety podstęp raczej nie podziała.

Signora Ghezzi posłodziła swoją kawę; Brunetti zauważył lekkie drżenie jej ręki, kryształki cukru na stole i spodeczku.

– Dlaczego? – zapytała.

– Ponieważ nie podoba mi się, w jaki sposób żył Davide – odparł Brunetti, sam tym zaskoczony.

Zaskoczył także signorę Ghezzi, która zapytała:

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Urodził się z fizycznymi i mentalnymi wadami, a jego matka nigdy nic nie zrobiła w tej sprawie, żeby mu pomóc. To jedna rzecz naprawdę okropna. Ale nikt inny także nie zrobił niczego. Żaden lekarz, żaden pracownik opieki społecznej, żaden miejski urzędnik. Nikt. Nikt nie zwracał uwagi, a on dorastał tak, jak dorastał.

– Wie pan, nie widziałam go, gdy był dzieckiem.

Rozmawiali w dialekcie weneckim, signora Ghezzi miała mocny akcent z Castello, jaki Brunetti uwielbiał. Spojrzał na Griffoni, która, jak się wydawało, słuchała ich uważnie; chociaż teraz, w tym momencie, nie mógł już wycofać się z zadawania pytań. Czego takiego Ana Cavanella nigdy nie zrobiła? Nie pomogła? Nie troszczyła się dostatecznie o syna? Nie miała dość inteligencji, by wiedzieć, jak mu pomóc? Nie zrobiła tego, co on teraz, po czterdziestu latach, uważał, że powinna była zrobić?

– Nigdy nie starała się o pomoc dla niego – powtórzył.

– Skąd pan to wie? – zapytała signora Ghezzi.

Brunetti rozłożył ręce w geście szczerości.

– Przejrzelśmy wszystkie dokumenty oficjalne i nigdzie nie ma śladu Davide: nie miał karty pacjenta, nigdy nie chodził do szkoły i nie pobierał renty.

Odwróciła wzrok od Brunettiego i spojrzała w okno, jakby tylko widok rozciągający się ponad wodą mógł ukoić jej serce. Ani Brunetti, ani Griffoni nic nie powiedzieli.

– Musiała tak zrobić – powiedziała.

Brunetti był zaalarmowany jej uwagą, ale nie chciał tego po sobie pokazywać. Ograniczył się do zapytania:

– Czy mogłaby mi pani o niej opowiedzieć, *signora*?

– Właściwie nie ma wiele do opowiadania. – Wypiła łyk kawy, sięgnęła łyżeczką do cukiernicy, ale cofnęła ją, jakby usłyszała karcący głos lekarza, zalecającego, by nie używała aż tyle cukru.

– Ana była prostą dziewczyną. Kiedy przyszła. Nie wiem, jakie miała wykształcenie, może zakończyła je na rok przedtem, zanim do nas przyszła. – Machinalnie zamieszała kawę. – Mieliśmy kobietę, która robiła pranie i prasowała – *signora* miała bzika na punkcie tego, by wszystko było wyprane i wyprasowane, i ta kobieta potrzebowała trzech dni w tygodniu, żeby wszystko wyglądało tak, jak ona chciała. – Znowu wypila łyk kawy, a potem wstała i podeszła do szafki, by wyjąć plastikowe pudełko z kruchymi ciasteczkami. Postawiła je na stole, wzięła jedno, zanurzyła w kawie i odgryzła kawałek. Brunetti i Griffoni także wzięli po ciasteczku. – O czym ja mówiłam? – zapytała, przenosząc spojrzenie z jednego na drugie.

– O kobiecie od prasowania – przypomniała Griffoni.

– A tak, oczywiście. Ona odeszła. Bez wyjaśnienia. To się zdarzało często w przypadku *signory*. Ale zanim odeszła, powiedziała jej, że zna dziewczynę, która umie prasować i sprzątać. Powiedziała, że to dobra dziewczyna. – Urwała i spojrzała na Brunettiego.

– To była Ana? – zapytał, biorąc drugie ciasteczko.

– Tak. Jej matka ją przyprowadziła i rozmawiała z *signorą*. Nie było mnie przy tym. Dwa dni później Ana wprowadziła się do pokoju na czwartym piętrze i całe dni spędzała w magazynku, prasując. Potem zaczęła mi pomagać przy śłaniu łóżek i sprzątaniu. – Wzrok kobiety podróżował w odległą przeszłość, gdy mogła jeść tyle cukru, ile chciała, i miała młodą dziewczynę, która pomagała jej w cięższej pracy.

– Rozmawiała z nią pani, *signora*? – zapytała Griffoni. – Musiała czuć się samotna w tak ogromnym domu – dodała i wzięła ciasteczko.

– Myślę, że była. Na początku. Ale *signora* pilnowała, żebyśmy miały dużo pracy.

Tak zwyczajnie, że Brunettiemu pozostał tylko podziw dla jej umiejętności, Griffoni zanurzyła ciasteczko w kawie, odgryzła wilgotny kawałek i uśmiechnęła się z zachwytem. – Jaka ona była, to znaczy *signora*? – zapytała. To było bezbłędne i Brunetti, gdyby go zapytała, powiedziałby jej wszystko, co wie.

– Była bardzo religijna – powiedziała *signora* Ghezzi, ale było to neutralne określenie, bez cienia sugestii aprobaty. Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że *signora* była wysoka lub leworęczna. – Jej kuzynka, zakonnica, mieszkała w *palazzo*. Rzadko ją widywaliśmy, ale *signora* spędzała z nią dużo czasu. Podobnie jak dziewczynki. – Sięgnęła po ciasteczko, ale oparła się pokusie i zadowolona dopiciem kawy. Popatrzyła na Griffoni. – Proszę się częstować. Moja synowa je piecze.

– Są przepyszne – przyznała Griffoni, biorąc ciasteczko. Zanurzyła je w kawie i zjadła z wyrazem twarzy bliskim zachwytu. Brunetti wiedział, że nie cierpiała kawy bez mleka i nie lubiła żadnych słodczy ani ciastek. Zaczęła maczać ostatni kawałek ciasteczka w kawie, ale powstrzymała się i podniosła je do góry

jako widoczny dowód tego, jak bardzo jest pochłonięta myślami. – To nie mogło być zbyt interesujące miejsce dla młodych dziewcząt – zaczęła, jakby ta myśl właśnie zaświtała jej w głowie, a potem zawiesiła głos, spojrzała na Brunettiego i powiedziała: – Przepraszam, *commissario*. – Potem, do signory Ghezzi: – Nie chciałam przez to powiedzieć... – Tu także zawiesiła głos, choć tym razem zdołała się zarumienić; by to ukryć, dopiła kawę.

Signora Ghezzi uśmiechnęła się i pochyliła, by poklepać ją po ręce.

– Nie martw się, skarbie. Masz całkowitą rację. I to właśnie z powodu religii *signora* się o wszystkim dowiedziała.

– Nie rozumiem? – powiedział Brunetti w imieniu ich obojga.

– Była na jednym z tych swoich religijnych wyjazdów. To znaczy, *signora*. Miała jeszcze jedną krewną – chyba to była ciotka – w zakonie w Asyżu i co miesiąc jeździła do niej na tydzień. Był tam jej spowiednik – była z nim bardzo blisko – i opowiadała nam, że mieszka z siostrami zakonnymi, stosując się do ich reguł: wstaje i kładzie się spać w tym samym czasie co one, je razem z nimi. Ale się nie odzywa. Przez tydzień. – Uśmiechnęła się do Brunettiego. – Muszę panu powiedzieć, że wtedy robiło to na nas ogromne wrażenie.

„Wtedy” – Brunetti był zaskoczony użytym przez signorę Ghezzi słowem. Uśmiechnął się do niej, ale nie przerywał.

– Cóż, w każdym razie wtedy *signora* wyjechała na dziesięć dni, a gdy wróciła, Ana nie przychodziła przez trzy dni do pracy, więc gdy się pojawiła, *signora* nie widziała jej od prawie dwóch tygodni. Dlatego zauważyła, że się zmieniła. – Signora Ghezzi złożyła czubeczki palców wskazujących razem i nakreśliła szeroki łuk nad swoim brzuchem.

Brunetti i Griffoni wpatrywali się w nią ze zdumieniem.

– Pani tego nie zauważyła? – zapytała Griffoni. Brunetti pomyślał, że to dobrze, iż to ona zadała to pytanie; to były kobiece sprawy.

– Cóż, wiedziałam, że coś jest nie tak. Ale nie byłam pewna.

– Czy wiedział o tym ktoś jeszcze w domu? – zapytała Griffoni.

– Lavinia wyjechała do szkoły, a Lucrezia nie zwracała uwagi na to, co działo się wokół niej.

Podobnie jak wiele rzeczy, które mówiła stara kobieta, to także aż prosiło się o doprecyzowanie. Brunetti skinął głową i czekał, by zaczęła mówić dalej.

– Co się stało? – zapytała Griffoni.

Signora Ghezzi potrząsnęła głową.

– Nie wiem. *Signora* z nią porozmawiała, a potem Ana zniknęła. Właśnie wtedy *signora* zachorowała. Wtedy, tak jak mówiłam – powtórzyła – pomyślałam, że to dlatego, że była tak bardzo religijna. – Przerwała i wzięła jeszcze jedno ciasteczko. Włożyła je w całości do ust i zaczęła przeżuwać.

Zapadła cisza. Od strony laguny usłyszeli silnik dużej łodzi przepływającej obok. Ani Brunetti, ani Griffoni nie zwrócili na to uwagi z powodu bardziej interesujących dźwięków rozbrzmiewających w tym pomieszczeniu.

Brunetti wiedział, że niewiele osób pochwalało zdradę. Aby uniknąć jej lub oskarżenia o nią, ludzie naginali fakty lub przedstawiali je w sposób, który jednocześnie je pokazywał i maskował.

– Powiedziała pani „wtedy”, *signora* – powtórzył spokojnie. Gdy *signora* Ghezzi odpowiedziała mu tylko spojrzeniem, dodał: – Widzieliśmy się wczoraj z Lucrezią, *signora*. Nadal nie zwraca uwagi na to, co dzieje się wokół niej.

Zauważył, że Griffoni nagle zabrała ręce ze stołu i usiadła prosto na krześle, jakby chciała stworzyć dystans między sobą a *signorą* Ghezzi. Starsza kobieta także to zauważyła.

– Czy *signora* Lembo kiedykolwiek jeszcze wpominała o Anie?

– Czy znał pan *signorę*? – zapytała zaskoczona *signora* Ghezzi.

– Nie, *signora*. Nigdy jej nie poznałem.

– Aha – powiedziała. Złożyła ręce na stole przed sobą i spojrzała na ich kostki. Podobnie jak dłonie Any, jej ręce także spędziły wiele czasu w zimnej wodzie i ostrych detergentach. Tak samo jak dłonie matki Brunettiego. Spojrzała na niego szybko ponad stołem. – Ale dowiedział się pan o niej dostatecznie dużo, by ją rozumieć – zauważyła.

- Dlaczego pani tak uważa?
- Z powodu pańskiego pytania. Tak właśnie robiła: jeśli coś jej nie odpowiadało, sprawiała, że to przestawało istnieć. – Złożyła dłonie na kolanach.
- Czyli sprawiała, że Ana przestała istnieć? – wtrąciła Griffoni. Stara kobieta skinęła głową.
- A jej dziecko? – zapytała Griffoni.
- Och – powiedziała normalnym głosem. – Sprawiała, że ono także nie istniało.

– Co chce pani przez to powiedzieć, *signora*? – zapytał łagodnie Brunetti. Chłopiec wyrósł na mężczyznę, nie miała więc miejsca aborcja, poronienie czy przedwczesna śmierć. Ta kobieta, chociaż całkowicie nieświadomie, wyraziła to, co nie dawało Brunettiemu spokoju od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał o śmierci Davide Cavanelli: to, że nie udało mu się w ogóle zaistnieć.

– Nigdy więcej nie wspomniała o Anie i nie pozwalała, by ktokolwiek o niej wspominał. – Signora Ghezzi spojrzała w przeszłość. – Nadal słyszę, jak to mówi, gdy Lucrezia pytała, gdzie ona jest: „Taka osoba nie istnieje”. Ta dziewczyna spędziła tam ponad dwa lata i nagle przestała istnieć. – Popatrzyła na nich, najpierw na jedno, potem na drugie. – Właśnie tak powiedziała. Takimi słowami. „Taka osoba nie istnieje”.

Przez pewien czas milczała, jakby chciała pozwolić im usłyszeć te słowa, a potem ich echo. Gdy znowu spojrzała na Brunettiego, odniósł wrażenie, że jej twarz się zmieniła albo też oczy stały się bystrzejsze, a ona przestała być starą emerytowaną służącą i stała się młodszą, silniejszą kobietą.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? – zapytała.

Brunetti uświadomił sobie, że gdyby to pytanie zadała im kobieta, która wpuściła ich do tego domu i poczęstowała kruchymi ciasteczkami, prawdopodobnie powiedziałby gładkie kłamstwo. Ale ta kobieta nie dałaby się na to nabrać i, sądząc po jej wyglądzie, wyśmiałaby go, gdyby spróbował.

– Chciałbym, żeby on istniał. – Usłyszał własne słowa, nie pewny, dlaczego nie potrafi wyrazić tego jaśniej.

– Dlaczego tak bardzo nie daje to panu spokoju? – zapytała signora Ghezzi. Griffoni odwróciła się i spojrzała na niego, tak samo zaciekawiona.

– Ponieważ wszystko, co mi powiedziano od jego śmierci, znaczyło coś innego, i każdy, z kim rozmawiałem, miał coś do

ukrycia albo coś, czym nie chciał się ze mną podzielić. – Przypomniał sobie nieprzeniknione jak kamień twarze sąsiadów i ich agresywną odmowę mówienia. Solidarność z nieszczęśliwą kobietą, która straciła jedyne go syna? Wstyd z powodu uczestnictwa w jeszcze większym milczeniu, które wypełniało życie głuchej mężczyzny?

Brunetti odsunął krzesło i wstał. Zrobił dwa kroki od stołu, ale zawrócił i znowu usiadł. Popatrzył na pobrużdżoną twarz signory Ghezzi, czując, że pozostaje mu tylko szczerość.

– Co powinienem wiedzieć, *signora*?

Podniosła się powoli i przez chwilę stała, żeby złapać równowagę, tak jak robiło to wielu starych ludzi, którzy siedzieli przez jakiś czas. Zabrała filiżankę swoją i Brunettiego, ale zanim zdążyła sięgnąć po filiżankę Griffoni, młodsza kobieta wstała i sama zaniósła ją do zlewu. Przeniosła plastikowe pudełko na blat, nałożyła pokrywkę i zamknęła je szczelnie. Wzięła pozostałe filiżanki od signory Ghezzi, włożyła je do zlewu i zalała zimną wodą. Potem stanęła przy oknie, czekając, aż pozostała dwójka zdecyduje co dalej.

Signora Ghezzi położyła dłoń płasko na stole.

– Myślę, że powinien się pan dowiedzieć, kto jest właścicielem domu, w którym mieszka Ana – powiedziała. – Myślę też, że powinien pan pamiętać, iż większość ludzi nie zmienia się, idąc przez życie, ani pozwalając, by życie przez nich przepływało.

– Ma pani na myśli Anę?

– Mam na myśli ich wszystkich – powiedziała. Zastanowiła się nad tym przez moment. – Lucrezia jest z nich najlepsza. Ze wszystkich ludzi, z którymi spotkał się pan w związku z tą sprawą, tylko ona jest uczciwa.

– Nie Ana?

– Ana Cavanella to żmija o zimnym sercu – powiedziała, nie zmieniając tonu głosu. – Ale signora Lembo była gorsza.

Gdyby ta kobieta o ciepłych oczach rzuciła się na podłogę w ataku opętania przez diabła i zaczęła wrzeszczeć wulgarne przekleństwa do niego i Griffoni, Brunetti nie byłby bardziej zaskoczony. W ten sposób zaszokowałyby go tylko własnym za-

chowaniem, ale jej ciche słowa kazały mu zastanowić się nad większością ludzi, z którymi rozmawiał lub o których słyszał w ostatnich dniach.

Ana Cavanella była pogrążoną w żałobie matką; Lucrezia była wrakiem; signora Lembo była uwiecznioną na fotografiach żoną, matką i świętą. Król miedzi pozostawał zagadką: potężny, wpływowy, zawsze w podróży w interesach.

Griffoni przerwała ciszę głosem łagodniejszym, niż kiedykolwiek słyszał Brunetti.

– Powiedziałyby nam pani coś więcej, *signora*?

Żadna z dwóch kobiet nie poruszyła się. Po chwili signora Ghezzi usiadła na krześle, popatrzyła na nich oboje i w końcu powiedziała:

– Widzicie, większość z nich nie żyje. Zostały tylko pieniądze, a one nigdy nie przyniosły im szczęścia. Teraz mogą tylko o nie walczyć. Nie, nie wydaje mi się, żebym chciała mówić coś więcej. Ponieważ to nie robi żadnej różnicy.

Brunetti otworzył usta, by coś powiedzieć, może zaprotestować, ale ona podniosła rękę, więc zrezygnował.

– Jestem od pana starsza, *signore* – powiedziała i dodała, patrząc życzliwie na Griffoni – i o wiele starsza od *signory*. Dlatego mam własne poglądy na tę sprawę, inne od waszych.

Na blacie stołu pozostał wilgotny pierścień, więc kobieta położyła na nim palec wskazujący i pocierała, dopóki nie zniknął. Spojrzała na Brunettiego i odezwała się do niego:

– Wie pan, oni wszyscy robili różne rzeczy dlatego, że tacy są, a nie dlatego, że czegoś chcieli lub wydarzyło się coś szczególnego. Po prostu tacy są. To się nie zmieni.

Pochyliła się do przodu, jakby chciała znowu wstać, ale zrezygnowała z tego wysiłku i oparła się na krześle.

– Możecie państwo już iść, bardzo dziękuję wam za wizytę. Starzy ludzie lubią oglądać nowe twarze. To nie jest dla nas dobrze, gdy stale patrzymy na twarze z przeszłości. – Uśmiechnęła się po tych słowach i pomachała ręką, dając im jakiś znak: wyganiała ich z domu; życzyła powodzenia; podsumowywała daremność ludzkich pragnień. To mogła być dowolna z tych rzeczy. Albo wszystkie jednocześnie. Wyszli.

– Czy pójdziemy z nią porozmawiać? – zapytała Griffoni.

Wygodą zdecydowała za niego. Byli niespełna sto metrów od przystanku Celestia, a on słyszał prom zbliżający się z prawej strony. Zamiast odpowiedzieć, odwrócił się i skierował szybkim krokiem w stronę *imbarcadero*, a Griffoni poszła w jego ślady.

Gdy łódź podплыnęła do brzegu, Brunetti odwrócił się i powiedział:

– Wróć do komendy i sprawdź, kto jest właścicielem domu. Zadzwoń, gdy tylko się tego dowiesz. Będę w szpitalu.

Griffoni ruszyła w swoją stronę, zanim jeszcze on znalazł się na promie, żeby przepłynąć jeden przystanek do Ospedale. Gdy zapytał w recepcji w holu głównym, dowiedział się, że signora Cavanella została przeniesiona na geriatrię, ponieważ tylko na tym oddziale były wolne łóżka.

Brunetti minął dziedziniec, zdecydował się wejść po schodach i usłyszał oddział, gdy tylko zaczął wchodzić na ostatnie piętro. Wysoki głos, którego płci nie dałoby się określić, wspinał się coraz wyżej, powtarzając tępo: „Nie, nie, nie, nie”, aż dotarł na szczyt swojej skali i wrócił do niższych tonów tylko po to, by zacząć od początku. Brunetti wyszedł na piętro przy pokoju pielęgniarek i zapytał, gdzie może znaleźć signorę Cavanellę.

– Sala piętnaście – powiedziała pielęgniarka, nie podnosząc na niego wzroku znad czasopisma.

Minął pokój, z którego dochodził głos, skręcił w prawo, a potem w lewo na końcu korytarza, a głos z każdym zakrętem stawał się cichszy, chociaż nie mniej rozpaczliwy. Zatrzymał się przy przedostatnim pokoju w korytarzu, nie do końca pewien, jak powinien rozmawiać z kobietą, która dzięki jednemu zdaniu przemieniła się z pogrążonej w żałobie matki w żmiję o lodowatym sercu. Postanowił, że zdecyduje o tym bieg wypadków, zastukał lekko z boku w otwarte drzwi i wszedł do środka.

W łóżku najbliżej drzwi spał stary mężczyzna z otwartymi bezzębnymi ustami. Na drugim łóżku pod kołdrą leżał długi, wypiętrzony kształt i Brunetti nie musiał nawet patrzeć na brodatą twarz, by zauważyć, że to także mężczyzna i że wszedł nie do tego pokoju. Odwrócił się i zrobił krok do drzwi, ale nagle stanął, ponieważ zauważył mężczyznę, którego znał, wychodzą-

cego z ostatniego pokoju na oddziale i przechodzącego obok. Brunetti zostawił mu dość czasu, by minął drzwi, a potem szybko podszedł do nich i wyrzwał na korytarz.

Rozpoznał sylwetkę korpulentnego mężczyzny oddalającego się korytarzem, stawiającego szeroko stopy z powodu grubości ud. Z prawej ręki zwisała mu zniszczona brązowa skórzana aktówka, która wraz z upływem lat stała się metaforą tego człowieka. Beni Borsetta alias Beniamino Cresti był adwokatem ludu, paladynem niższych klas w odwiecznej walce z niezliczonymi niesprawiedliwościami, jakie ich spotykały ze strony tych, którzy odnieśli sukces i cieszyli się bogactwem. To wszystko zaledwie za pięćdziesiąt procent, jak powtarzano w pewnych kręgach.

Komisarz patrzył, jak Cresti skręca w prawo na końcu korytarza, ukazując z profilu wystający brzuch. Brunetti kilka razy był świadkiem, jak avvocato Cresti torował sobie tym brzuchem drogę, wychodząc z sali sądowej, gdzie walczył o sprawiedliwość.

Spojrzał na zegarek, oparł się ramieniem o ścianę korytarza i zaczął sporządzać listę powodów, dla których Beni Borsetta mógł zabrać swoją aktówkę, przychodząc z wizytą do szpitala. Żaden z tych powodów mu się nie spodobał, ale wszystkie wydawały się interesujące. Odczekał kilka minut, zanim podszedł do drzwi, zza których wyszedł prawnik. Stojąc odrobinę z boku, zapukał i powiedział normalnym głosem:

– Signora Cavanella?

Usłyszał odpowiedź i wszedł do środka. Dzisiaj siedziała na łóżku i wyglądała znacznie lepiej, chociaż jej twarz była w gorszym stanie. To znaczy, że chociaż go rozpoznała i wydawała się całkowicie przytomna, cała lewa strona, od oka do linii włosów, a w dół na policzku niemal do podbródka, stała się szaroczerwona, i Brunetti wiedział, że za dwa dni będzie niemal czarna.

– Dzień dobry, *signora*.

– Pan jest policjantem, prawda? – zapytała. Jej spojrzenie było teraz spokojne i przytomne, co mogło zdezorientować kogoś ciekawego, w jaki sposób może objawiać się zmiya.

Podszedł do jej łóżka z twarzą stężałą w wyrazie troski. Pozwolił sobie na lekki uśmiech, przepelniony wyrazem ulgi.

– Cieszę się, że mnie pani poznaje, *signora*.

– Poznałam pana także poprzednim razem – powiedziała poirytowana, ale nie rozgniewana.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– To mnie cieszy jeszcze bardziej, *signora*. Lekarz martwił się pani upadkiem i obawiał się, że może pani mieć wstrząs mózgu.

Proszę bardzo, usłyszała to z ust policji: upadek.

Nie uśmiechnęła się, ale jej twarz złagodniała, jakby ona także poczuła ulgę.

– Uderzyłam się w głowę – dodała, chcąc zazartować: – Chyba była tak samo twarda jak to, co w nią uderzyło.

Brunetti dodał skinienie głowy do uśmiechu, promieniejąc satysfakcją z powodu tak pomyślnego zbiegu okoliczności.

– Czy powiedzieli już, kiedy będzie mogła pani wracać do domu?

– Jutro.

– Doskonale – powiedział Brunetti i odwrócił się, jakby szykował się do wyjścia z pokoju. Zastanawiał się, co też ona i Beni mogli planować. Nie powiedziała ani słowa o tym, że się potknęła, więc raczej nie zamierzała pozywać miasta o zaniedbanie, co byłoby dla Beniego standardową sprawą. A skoro to miało zostać potraktowane jako upadek, Beni nie planował wytaczać procesu o napaść, tak jak w przypadku wielu przepychanek w knajpach – a raz w przypadku właściciela roweru, o który przewrócił się jakiś mężczyzna.

Jego telefon zadzwonił, więc odebrał go, przeprosiwszy signorę Cavanellę.

– Właścicielką domu jest Lucrezia Lembo – powiedziała Griffoni.

– Rozumiem.

– Ale syn Any Cavanelli miał prawo mieszkać w tym domu do końca życia. Po jego śmierci wszystkie prawa wracają do właściciela lub jego spadkobierców.

– Rozumiem – powtórzył. – Kiedy to się zaczęło?

– Jeśli chodzi ci o kontrakt, to było w roku, w którym Ana Ca-

vanella przestała pracować dla rodziny Lembo.

– Aha. – Tylko tyle Brunetti pozwolił sobie powiedzieć. Coś jeszcze przyszło mu do głowy. – A koszty?

– Opłacane przez Lucrezię Lembo: podatek, gaz, światło, wywóz śmieci. – Zanim zdążył zapytać, Griffoni dodała: – Sprawdzamy konto bankowe Cavanelli.

– My?

– Signorina Elettra i ja. Jest w tym o wiele lepsza ode mnie. – Chociaż była to szczerza prawda, Brunetti, który zauważył, że rozmowa jest prowadzona z telefonu w gabinecie signoriny Elettry, musiał przyznać, że Griffoni nie ociąga się z wygłaszeniem pochlebstw.

– Dobrze. Daj mi znać.

– Oczywiście – powiedziała Griffoni i rozłączyła się.

– Przepraszam, *signora* – powiedział. – To była moja żona.

– Oczywiście – odparła cieplejszym głosem, jakby stał się bardziej ludzki dzięki temu, że miał żonę.

– Gdyby potrzebowała pani jakiejś pomocy, *signora*, z powrotem do domu, jestem pewien, że możemy przysłać motorówkę, i jestem pewien, że Pucetti chętnie by pani towarzyszył.

– Roberto jest bardzo miły – przyznała.

– To dobry chłopak – odparł szczerze Brunetti. Kończyły mu się rzeczy, o jakich mógłby mówić, żeby zostać tu dostatecznie długo, by Griffoni zdążyła ponownie zadzwonić. Nagle coś mu przyszło do głowy. – Obawiam się, że nie mamy żadnych postępów, *signora* – powiedział.

– W jakiej sprawie? – W jej głosie brzmiało nieudawane zaskoczenie.

– W znalezieniu potwierdzenia tożsamości pani syna. To znaczy, oficjalnego.

Jej twarz stwardniała.

– Mówiłam panu. Było włamanie do mojego domu i zabrali wszystkie papiery.

Jego spojrzenie było tak nieruchome, a niedowierzanie tak namacalne, że dodała:

– Zabrali je. Zabrali także moje pieniądze i moją obrączkę. Wszystko. – Przez chwilę wyglądała, jakby zamierzała spróbo-

wać się rozpłakać, ale zrezygnowała z tego pomysłu i zadowolila się przyłożeniem dłoni do oczu.

Telefon znowu zadzwonił.

– Na jej konto przez ostatnie czterdzieści lat były co miesiąc przelewane pieniądze – powiedziała Griffoni. – Z konta Lucrezii Lembo.

– Naprawdę? Możesz mi zdradzić, o jakiej kwocie mówimy?

– Początkowo były to kwoty w lirach, potem zmieniły się na euro, ale zawsze był to odpowiednik miesięcznej pensji.

– Za jakiego rodzaju pracę?

– Na pewno nie pokojówki. W tej chwili to jest trzy tysiące euro.

– Rozumiem. Dziękuję. Porozmawiamy o tym jutro – odparł i schował komórkę do kieszeni.

Brunetti zaczekał, aż Ana Cavanella odsunie dłoń od oczu i spojrzy na niego. Wtedy, takim tonem, jakby pytał ją o godzinę, powiedział:

– Czy pani szantażuje rodzinę Lembo, *signora*?

Jej usta otwarły się i pozostały tak przez długą chwilę. Brunetti nie widział na jej twarzy żadnego wyrazu, tylko zastygłe nagle niegdyś piękne oczy i czerwonoszary rumieniec wypływający na lewą stronę. Ta kobieta, jak mu powiedziano, została kiedyś nazwana dobrą dziewczyną; jej oczywisty lęk sugerował, że ocena signory Ghezzi mogła być bliższa prawdy.

– O czym pan mówi?

Ile razy słyszał to pytanie? Wiedział, że w przypadku wielu ludzi poza bezpośrednim oświadczeniem było to najbliższe do przyznania się do winy. Słyszał to zdanie wypowiedziane z oburzeniem lub niedowierzaniem, arogancko lub złowieszczo; bardzo rzadko słyszał je zadane z autentycznym zdumieniem, i to nie był jeden z tych przypadków.

– Przez ostatnie czterdzieści lat na pani konto bankowe były przelewane pieniądze, *signora*. Z konta Lucrezii Lembo.

– Pracowałam dla niej – warknęła, próbując oburzenia.

– Co pani takiego robiła?

– To nie pana sprawa.

Brunetti pozwolił sobie na cień uśmiechu.

– Być może nie, *signora*. – Milczał krótką chwilę. – Płaciła pani podatek od tych pieniędzy?

Patrzył, jak spojrzenie niegdyś pięknych oczu przenosi się z jego osoby na okno i na drzwi, jakby szukała drogi ucieczki z pokoju. Nie zdołała jej znaleźć, więc powiedziała:

– Ona płaciła podatek.

– Rozumiem – powiedział Brunetti. A potem, całkowicie naturalnie, głosem człowieka, który jest autentycznie zatroskany o jej dobrobyt, zapytał: – Gdzie pani będzie mieszkać, *signora*? Tym razem jej zaskoczenie było prawdziwe.

– Co takiego?

– Gdzie pani będzie teraz mieszkać?

– O czym pan mówi? – zapytała z takim lękiem, że Brunetti

nie miał cienia wątpliwości, iż go nie rozumie.

– To Davide miał *usufrutto* na ten dom. – Zobaczył, że nie zna tego terminu prawnego. – Miał prawo zamieszkiwania w nim. Nie pani, *signora*. Będzie się pani musiała wyprowadzić.

Przyjaciółka Paoli często mówiła, że jej syn ożenił się z kobietą z „oczami jak kasa sklepowa”, ale Brunetti nie rozumiał tego wyrażenia aż do teraz, gdy zobaczył kalkulacje, jakimi zajęła się Ana Cavanella w odpowiedzi na to stwierdzenie.

Patrzyła w okno za nim, po jego lewej stronie, a on miał poczucie, że z jej punktu widzenia zniknął w tym momencie z pokoju. Zmarszczyła brwi, wydeła wargi i przez długą chwilę rozważała ten problem. Zauważył chwilę, gdy znalazła rozwiązanie: jej brwi się wygładziły i z satysfakcją skinęła lekko głową.

– To będzie bez znaczenia – powiedziała, a on usłyszał w jej głosie żelazną pewność, a jednocześnie zobaczył, że jej twarz staje się nieprzenikniona.

– Przykro mi z powodu pani syna – powiedział i wyszedł z pokoju.

Ze szpitala skierował się prosto do Rosa Salva. Widywał siwo-włosą kobietę za barem od co najmniej dwudziestu lat, jeśli nie dłużej. W oczach Brunettiego wyglądała właściwie tak samo od zawsze, chociaż to było niemożliwe. Był ciekaw, czy on także wygląda dla niej od zawsze tak samo, ale nie mógł zapytać, nie po wszystkich tych latach uprzejmej formalności.

Poprosił o kieliszek białego wina i dwa *panini* z szynką, a potem dodał jeszcze *tramezzino* z szynką i karczochem. Unikał patrzenia na siebie w lustrze, jak zwykle w barach.

Ana Cavanella powiedziała, że to będzie bez znaczenia, że nie może pozostać w domu, w którym mieszkała z Davide, i użyła czasu przyszłego, gramatyki hazardzistów lub marzycieli. Ale znalazła jakąś odpowiedź. Czy to znaczyło, że szantaż będzie trwał, czy też Ana Cavanella zobaczyła siebie zmierzającą w świetlaną przyszłość?

Zapłacił i skierował się do komendy.

Znalazł Griffoni w gabinecie signoriny Elettry; obie siedziały przy komputerze jak przyjaciółki dzielące playstation. Gdy

wszedł, Griffoni mówiła właśnie:

– Możesz cofnąć się do jej testamentu?

Używała poufalego *tu*, a signorina Elettra odpowiedziała tym samym, mówiąc:

– Już go przecież widziałas.

– Wiem, ale chciałabym... – zaczęła Griffoni, ale umilkła, gdy zauważyła stojącego w drzwiach Brunettiego, który zdążył już zetrzeć z twarzy wszelkie ślady ojcowskiej aprobaty. – Chodź i popatrz na to – powiedziała, przesuwając krzesło, żeby zrobić miejsce pomiędzy nimi.

– To testament signory Lembo – wyjaśniła, wskazując monitor. Zobaczył, że zmarła piętnaście lat temu. – Jej mąż i córki odziedziczyli udziały w firmie, a niemal cała reszta spadku została podzielona pomiędzy nich. – Komisarz spojrział na testament i stwierdził, że była to bardzo pokaźna „reszta”. Griffoni postukała palcem w nazwisko: siostra Maria Rosaria Lembo-Malfa otrzymała skromną sumę. To była prawdopodobnie mieszkająca z nimi zakonnica; być może zakonnice nie potrzebowały wielkich spadków.

– Byli nadal małżeństwem? – zapytał Brunetti. Przypomniał sobie, że mąż zostawił signorę Lembo dla fizykoterapeutki, ale mężczyzna z jego majątkiem rzadko komplikował swoje finanse rozwodem.

– Oczywiście – odparła signorina Elettra i nacisnęła kilka klawiszy, by wyświetlić ostatnią wolę i testament Ludovica Lembo. Zarówno firma, jak i cały jego pozostały majątek zostały podzielone równo pomiędzy Lucrezię i Lavinię. Nie było żadnego kodycyłu, żadnej dodatkowej klauzuli, tylko proste oświadczenie woli poprzedzone i zamknięte zwyczajowymi formułkami prawniczych terminów.

Griffoni przesunęła krzesło jeszcze kawałek w bok i obróciła się do niego.

– Co ci powiedziała?

– Że pracowała dla Lucrezii Lembo; od niej właśnie ma te pieniądze. To pierwsze jest kłamstwem. – Skinęła głową, więc mówił dalej. – Potrzebowała chwili, żeby zrozumieć kwestię *usufrutto*, ale gdy jej się to udało, powiedziała, że to nie będzie

miało znaczenia.

– Co to znaczy? – zapytała signorina Elettra.

– Że ma jakiś plan. Albo miejsce, gdzie zamierza się przenieść. Nie była tym w najmniejszym stopniu poruszona.

– Czy ona jest inteligentna? – spytała Griffoni.

Brunetti nie myślał o Cavanelli w tych kategoriach, ale natychmiast odparł:

– Nie bardzo. – Zobaczył, że to nie wystarczy, więc doprecyzował: – Ona nie myśli o konsekwencjach działań. Wątpię, by cokolwiek planowała lub też miała przemyślane. Może jej się wydawać, że to robi, ale tak nie jest.

Zapadło milczenie, w którym cała trójka szukała jakiejś drogi, by kontynuować tę rozmowę. W końcu Brunetti powiedział:

– W jej pokoju był Beni Borsetta. – Użył pseudonimu, ponieważ był on szerzej znany; prawdziwe nazwisko adwokata stało się praktycznie nieużywane, nie licząc przypadków, gdy ktoś zwracał się bezpośrednio do niego lub też spotykał go po raz pierwszy.

– *Oddio* – stwierdziła Griffoni. – Gdybyśmy potrzebowali dowodu, że jest głupia, oto go mamy. Biedna kobieta.

Bardziej skłonna do namysłu signorina Elettra zapytała Brunettiego:

– Wie pan może, co on tam robił?

– Starał się zarobić dzięki wmówieniu jej, że powinna wytoczyć komuś proces, jak sądzę – wtrąciła Griffoni, zanim zdążył odpowiedzieć. Żadne z nich nie próbowało zaprzeczać, chociaż spędziła w Wenecji zaledwie kilka lat.

Brunetti pomyślał o przejawach twórczego geniuszu Beniego. Czy chciał pozwać firmę farmaceutyczną za to, że sprzedaje pastylki nasenne w opakowaniach przypominających cukierki? Służby ratownicze za zbyt późne przybycie na miejsce? Opiekę społeczną za czterdzieści lat zaniedbań?

Wiedział, że Beni lubi ryzykownych klientów; nie było chyba karetki, za którą by nie gonił. Ale wątpił, by nawet taki hazardzista jak Beni tracił czas na proces w przypadku któregoś z tych roszczeń. Żaden zdrowy na umyśle prawnik, nawet cieszący się lepszą reputacją niż Beni Borsetta, nie wystąpiłby

przeciwko wielkiemu koncernowi, opierając się na tak wątych podstawach; karetka przyjechała, gdy tylko mogła; a gdzie był akt urodzenia Davide, który uzasadniłby interwencję opieki społecznej?

– Skoro już ma to pani włączone – powiedział do signoriny Elettry, a ten dobór słów sprawił, że na moment zamknęła oczy z rozpaczy – czy mogłaby pani sprawdzić rejestr adwokatów i zobaczyć, czy avvocato Cresti nadal w nim figuruje? – Po drodze do komendy przypomniał sobie kilka spraw z barwnej przeszłości Beniego, gdy groziło mu wyrzucenie ze stowarzyszenia adwokatów oraz jeden przypadek – to musiało być z dziesięć lat temu – gdy sędzia nakazał woźnym sądowym wyprowadzenie go z sali, ponieważ nie chciał przestać mówić. W ocenie Brunetti Beni nie był mężczyzną, który uczyłby się na błędach, a zmiana zachowania z całą pewnością nie leżała w zakresie jego możliwości.

Cofnął się, by dać signorinie Elettrze lepszy dostęp do komputera; Griffoni pochyliła się po jej lewej stronie, żeby lepiej widzieć ekran, ale nie przesunęła krzesła. Brunetti splótł ramiona i przyglądał się monitorowi, stojąc za nimi. Na ekranie pojawiły się dokumenty, ale znikaly tak szybko, że nie miał szans ich przeczytać. Zauważył, że Griffoni od czasu do czasu zapisuje coś w notatniku otwartym obok niej na biurku. Raz poprosiła signorinę Elettrę, by coś jej wyjaśniła, skinęła głową, słysząc odpowiedź, i mruknęła: „Bardzo ładnie”.

Po dziesięciu minutach signorina Elettra odwróciła się i powiedziała:

– Jeśli prowadzi praktykę, to znaczy, że łamie prawo. Dostał zakaz wykonywania zawodu na trzy lata, i zostało mu jeszcze dwadzieścia siedem miesięcy.

Brunetti pomyślał, że Beni mógłby być przyjacielem Any Cavanelli, gdyby nie to, że nie miał żadnych przyjaciół. To, że wizyta miała miejsce w szpitalu, dawało dodatkową pewność, że przybył tam w poszukiwaniu pracy, a nie z zamiarem praktykowania jednego z siedmiu uczynków miłosierdzia względem ciała. Jeśli potrzebował dowodu na niedostatki inteligencji Any Cavanelli, sam fakt, że chciała mieć do czynienia z Benim Bor-

settą, wystarczał z nawiązką.

Brunetti skinął życzliwie głową w stronę komputera.

– Myśli pani, że ta maszyna może znaleźć jego adres i numer telefonu?

Avvocato Cresti, gdy Brunetti zadzwonił do niego później, nie sprawiał wrażenia w najmniejszym stopniu zaskoczonego tym, że kontaktuje się z nim funkcjonariusz sił porządkowych. Niezwykle wylewnie wyraził swoją najlepszą wolę pomocy komisarzowi, którego spotykał przy różnych okazjach i doskonale pamiętał. Chętny, by przysłużyć się państwu, był niezwykle uradowany tym, że chciano od niego tylko rozmowy. Poprosił o chwilę, by przejrzeć swój terminarz, i z jeszcze większą radością odkrył, że znajduje się w nim akurat dogodna luka, sprawiająca, że mógłby wpaść do komendy za jakąś godzinę. Chyba że dla *commissario* bardziej dogodne byłoby jakieś inne miejsce?

– Może być w moim gabinecie, *avvocato*. – Brunetti przerwał potok słów i rozłączył się, zanim adwokat zdążył na nowo otworzyć śluzę. Brunetti dwa razy występował jako świadek w procesach, w których obrońcą był Beni, i pamiętał doskonale, jakie uczucie miał za każdym razem, jakby dusiły go nieistotne szczegóły. Był na sali sądowej bardzo krótko, ale słyszał dostatecznie dużo, by nie czuć zaskoczenia, gdy w obu przypadkach klienci Beniego przegrali sprawę.

Griffoni postanowiła pozostać na dole z signoriną Elettrą, która zaczęła jej wyjaśniać, jak najprościej może się dostać do baz danych dwóch agencji rządowych, do tej pory głuchych na wszelkie oficjalne prośby o informacje dotyczące towarzystwa holdingowego, będącego właścicielem firmy, do której należała sieć hoteli wyrażająca zainteresowanie nabyciem spustoszonej przez ogień fabryki. Gdy wychodził z pokoju, usłyszał jeszcze, jak Griffoni mówi:

– To jak matrioszka, prawda? Zawsze w środku kryje się coś więcej.

Brunetti podszedł do okna, popatrzył na wody kanału i nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, co, na litość boską, robił przez ostatni tydzień. Nie złamał prawa ani nie okłamał żadnej

z osób, z którymi rozmawiał, nie próbował podważać systemu sprawiedliwości. Ale także nie dowiedział się niczego istotnego na temat Davide Cavanelli. Jego matka kłamała, jego lekarz wiedział o nim więcej, niż chciał powiedzieć, stara kobieta wiedziała prawdopodobnie jeszcze więcej, ale nie zamierzała mówić, co to takiego, córka zaś byłej pracodawczyni jego matki żyła w bezpiecznym świecie, w którym nie była zobowiązana wiedzieć ani mówić niczego i prawdopodobnie płaciła za to, by nie musieć tego robić.

Aby dowiedzieć się tak niewiele, przez tydzień uchylał się od służbowych obowiązków, korzystając z pomocy innych funkcjonariuszy państwowych, a wszystko to z powodów, które trudno byłoby nazwać inaczej niż kaprysem. Teraz właśnie miał w to wciągnąć innego przedstawiciela publicznego, wiedzącego – w odróżnieniu od wszystkich, z którymi wcześniej rozmawiał – dostatecznie dużo na temat prawa, by zorientować się, że te pytania nie są częścią usankcjonowanego dochodzenia.

Mógł oczywiście zejść na dół, gdy przyjdzie Borsetta, i powiedzieć mu, że sprawa, którą chciał z nim omówić, została już rozwiązana, podziękować za gotowość wypełniania obowiązków obywatelskich i odesłać go do jego własnych spraw. A potem mógł zapomnieć o tych ponad czterdziestu latach comiesięcznych przelewów na konto Any Cavanelli i o tym, co mogły oznaczać. Mógł też zastraszyć Beniego Borsettę i wycisnąć z niego wszystko, co wie.

– *Commissario?* – zapytał ktoś od drzwi gabinetu. Gdy się odwrócił, zobaczył avvocato Crestiego, dzisiaj pozbawionego aktówki, ale jak zwykle wyposażonego w wystający brzuch i aurę samozadowolenia.

– Ach, *avvocato* – powiedział Brunetti z najzyczliwszym uśmiechem. – Jest pan świetlanym przykładem wypełniania obowiązków obywatelskich. Proszę wejść i usiąść.

Wyraźnie zdenerwowany tą eksplozją dobrej woli, Cresti przeszedł przez gabinet do Brunettiego, który pochylał się nad biurkiem, by uścisnąć jego dłoń. Machnął ręką w stronę krzesła, a Cresti usiadł. Krzesło miało poręcze po bokach, ale adwokat zmieścił się między nimi bez trudu, co sprawiło, że Brunetti

uświadomił sobie, iż ten mężczyzna zajmuje więcej miejsca od przodu do tyłu niż na boki. Uśmiechnął się i przyjrzał uważniej adwokatowi: miał właściwie bardzo wąskie ramiona, węższe niż jego własne. Popiersie lub portret przedstawiałyby całkowicie proporcjonalnego mężczyznę w zaawansowanym wieku średnim, z przerzedzającymi się siwymi włosami, niezbyt czystymi i być może za długimi, odgarniętymi z pociągłej, szczupłej twarzy.

Brunetti pomyślał, że Cresti musiał kupować gotowe ubrania, co w przypadku mężczyzny z tak wydatnym brzuchem zawsze było błędem, ponieważ marynarka rozchyłała się na szerokość co najmniej trzech dłoni, odsłaniając brzuch napierający na guziki koszuli.

Uśmiechnął się do adwokata z największą łagodnością, ale nic nie powiedział. Cisza wyraźnie wyprowadzała Crestiego z równowagi; zacisnął palce na poręczach krzesła, wyprostował je, a potem znowu zacisnął. Brunetti z uśmiechem przyklejonym do twarzy studiował tego mężczyznę. Jego twarz była dość pociągła i wydawała się nie na miejscu ponad ogromnym brzuchem; gdyby szyja Crestiego miała metr długości, niezwykle przypominałby strusia z nieproporcjonalnie małą główką w stosunku do reszty ciała.

Cisza okazała się zbyt trudna do wytrzymania dla adwokata, który rozpoczął tyradę.

– Naprawdę mnie cieszy, że mogę się panu do czegoś przydać, *commissario*, chętnie pomogę w każdej sprawie. Prawnicy, jak z pewnością pan wie – o ile pamiętam, studiował pan prawo – odznaczają się wyjątkowym poszanowaniem prawa. Jestem przeświadczony, iż ta nić porozumienia pozwoli nam na owocną i obustronnie korzystną współpracę.

Zamilkł, by zaczerpnąć powietrza, a Brunetti zapomniał o uśmiechu i zapytał:

– Co pan powiedział signorze Cavanelli?

– Komu? – zapytał Cresti, popełniając najgłupszy błąd, jaki mógł popełnić, a Brunetti wiedział już, że bez trudu wszystko z niego wyciśnie.

Brunetti zignorował to pytanie. Cresti musiał uświadomić so-

bie, że popełnił błąd taktyczny.

– Ach, chodzi panu o Anę Cavanelłę? – zapytał z uśmiechem. Był to automatyczny uśmiech, całkowicie pozbawiony wesołości, który potrafił włączyć i wyłączyć na zawołanie, bez żadnego związku z bodźcami zewnętrznymi.

Brunetti pozwolił sobie lekko skinąć głową. To była prywatna rozmowa, która nie mogłaby posłużyć jako dowód, więc nie musiał mówić na potrzeby nagrywanej taśmy i mógł, jeśli tylko chciał, używać gestów.

– Tak. To moja dawna przyjaciółka – wyjaśnił Cresti z kolejnym automatycznym uśmiechem.

– Rozumiem – stwierdził Brunetti. – Kiedy widział się pan z nią po raz ostatni?

– Zanim odpowiem na to pytanie – Cresti zaprezentował kolejny błyskawiczny uśmiech – czy mógłby mi pan zdradzić, co takiego chciałby pan o niej wiedzieć?

– Chciałem wiedzieć, kiedy ostatni raz widziała się z panem.

Tak samo jak signora Cavanella, ale z o wiele większą pewnością, że potrafi przewidzieć reakcję Brunettiego na różne swoje odpowiedzi, Cresti przygotował następną kwestię.

– Nie jestem pewien. Minęło trochę czasu.

– Był pan widziany w szpitalu, *avvocato*, jak wychodził pan z jej pokoju. Zaledwie kilka godzin temu. – Brunetti obserwował, jak Cresti przesuwa kilka pionków na planszy w swoim umyśle, i podsunął: – Być może był pan tak poruszony, widząc ją w takim stanie, że wspomnienie tej wizyty całkowicie uleciało panu z pamięci?

Cresti skinął głową.

– Tak, właśnie tak. Widziałem się z nią dziś rano.

– Zakładam, że był pan zaszokowany.

– Tak.

– Ale jestem pewien, że pamięta pan, o czym rozmawialiście. Ostatecznie był pan tam jako jej prawnik.

Cresti poruszył się niespokojnie na krześle, jakby jego poręcze zaczęły się zaciskać.

– Właściwie nie jako prawnik, rozumie pan, *commissario*. Raczej jako przyjaciel, który może udzielić jej porady prawnej.

– Jakby zaskoczony tym ostatnim terminem, Cresti drgnął lekko na krześle i aż za szybko powiedział: – To znaczy, porady dotyczącej spraw prawnych.

Brunetti skinął głową, a adwokat ciągnął dalej.

– Proszę zrozumieć, byłem tam jako jej przyjaciel, nic więcej. Żadne z nas ani przez moment nie uważało, że wykonuję pracę na jej zlecenie w sensie zawodowym. – Brunetti nagle uświadomił sobie, że Cresti mówi do magnetofonu, który w jego mniemaniu nagrywał tę rozmowę. – Proszę zrozumieć, w grę wchodziło tylko moje współczucie dla tej kobiety. – Błysnął uśmiechem mającym zademonstrować jego uczciwość i dobrą wolę.

– Mieszkacie państwo niedaleko, prawda, *avvocato*? – zapytał Brunetti, który na wydrukowanych przez signorinę Elettrę informacjach zobaczył adres z San Polo.

– Doprawdy? – zapytał Cresti. – Cóż za zbieg okoliczności.

Brunetti zadał sobie pytanie, dlaczego właściwie ten mężczyzna miałby kłamać w tej sprawie? Pomyślał o niezłomnym milczeniu sąsiadów i był ciekaw, jakie informacje tak gorliwie starali się chronić.

– Czy mam zajrzeć do *Calli, Campielli e Canali* i uświadomić panu, jak blisko siebie mieszkacie, a może jednak przypomina pan sobie, że widywał ją pan na mieście? – W głosie Brunettiego dało się słyszeć, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Tak, skoro pan o tym wspomniał, muszę przyznać, że ją widywałem – powiedział adwokat. – Ale bardzo sporadycznie, tak jak to zwykle bywa. – Brunetti zauważył, że Cresti ściska poręcz krzesła tak mocno, jakby chciał się uchronić przed wyrzuceniem z tego miejsca w środek sztormu na morzu.

– Czyli zna pan jej historię?

– Cóż, znają ją wszyscy w okolicy – powiedział Cresti, starając się, by zabrzmiało to obojętnie, i ponosząc porażkę.

– Jeśli mogę zagłębić się w pańskie zawodowe kontakty z signorą Cavanellą... – zaczął Brunetti. – Chodzi mi o pracę, jaką wykonuje pan dla niej jako prawnik...

– Nie jestem jej prawnikiem – wyjaśnił Cresti z kolejnym wymuszonym uśmiechem. – Staram się tylko pomóc nieszczęśliwej kobiecie. Wie pan, straciła właśnie syna – głos adwokata

był przepełniony aktorskim patosem.

– Wiem. Czy przyszła do pana w tej sprawie?

– Cóż – zaczął nerwowo Cresti. – Tak i nie. – Zobaczył, że Brunetti nie jest tym usatysfakcjonowany, więc tłumaczył dalej.

– Chcę powiedzieć, że skontaktowała się ze mną przed jego śmiercią.

– Prosząc, by wystąpił pan jako jej adwokat? – zapytał Brunetti.

– Nie – Cresti był nieugięty w tym kłamstwie. – Przyszła do mnie jako sąsiadka i zapytała, czy mógłbym jej udzielić pewnych informacji, skoro jestem prawnikiem.

– Ale nie po to, by potem pana zatrudnić – podsunął bezlitośnie Brunetti, żeby pokazać Crestiemu, ile wie.

– Tak, dokładnie tak. Nigdy nie powiedziałbym nikomu, że mogę występować w jego imieniu aż do czasu, gdy skończy się mój okres zawieszenia i na nowo stanę się członkiem stowarzyszenia adwokatów. – *Avvocato Cresti*, wzór sprawiedliwości.

– Co takiego ją interesowało?

– Nieślubne dzieci.

– Co dokładnie dotyczącego nieślubnych dzieci?

– Przeczytała coś w gazecie i pytała mnie o nową ustawę.

– Jaką ustawę?

– Tę z zeszłego roku, która mówi, że nieślubne dzieci mają prawo do równego udziału w spadku po ojcu.

– Ach – powiedział Brunetti, z trudem ukrywając zdumienie. Nie miał pewności, czy uda mu się zachować spokój w głosie, więc wyduł wargi i zmarszczył brwi, jakby zapamiętywał szczegół, który mógł być – ale mógł też nie być – interesujący. – Pamięta pan, kiedy miała miejsce ta rozmowa?

Obserwował, jak Cresti przypomina sobie daty, i przybrał nieprzenikniony wyraz absolutnej cierpliwości w oczekiwaniu, aż prawnik mu odpowie.

– To musiało być w lipcu. Pamiętam to, ponieważ wyszedłem, żeby poszukać urodzinowego prezentu dla mojej matki, i spotkałem signorę Cavanelłę na ulicy.

Brunetti uśmiechnął się przyjaźnie na wzmiankę o matce, zupełnie jakby Cresti, mając ją, dokonał tym szczególnego i cnotliwego czynu.

– Wtedy właśnie pana o to zapytała?

Cresti skinął głową kilka razy więcej, niż to było konieczne.

– Tak, zaproponowała, żebyśmy poszli na kawę, i powiedziała mi, że kilka dni wcześniej czytała w gazecie o tej ustawie i chciała się dowiedzieć, co to oznacza.

– Co pan jej powiedział? – zapytał Brunetti, w pełni panując już nad swoim głosem oraz kierunkiem, w jakim toczyła się rozmowa.

– Powiedziałem jej, że to bardzo proste: jeśli dziecko udowodni swoje pochodzenie, ma pełne prawo do równej części spadku. Tak samo jak uznane dzieci. – Cresti szybko błysnął uśmiechem.

– To wszystko?

– Wyjątkowo tak, *commissario* – powiedział Cresti. – Ta ustawa jest bardzo zwięzła i łatwa do zrozumienia.

– Czy ona zrozumiała pana wyjaśnienia?

– Wydaje mi się, że byłoby trudno – błysk, błysk – żeby ktokolwiek tego nie zrozumiał.

– Czy pytała pana o coś jeszcze?

Cresti popełnił błąd, wierząc się na krześle, żeby odwrócić wzrok od Brunettiego, i przy tej okazji spojrział w dół.

– Czy zapytała pana o coś jeszcze, signor Cresti? – powtórzył pytanie Brunetti z nadzieją, że pominięcie tytułu zawodowego przypomni jego rozmówcy, co mogłoby się stać, gdyby Brunetti powiadomił stowarzyszenie adwokatów o wizycie Crestiego w szpitalu.

– Och, o kilka rzeczy – odparł, jakby miał alergię na mówienie policjantowi czegokolwiek istotnego.

– Czy zapytała pana o coś jeszcze?

Przyparty do muru Cresti powiedział:

– Zapytała, czy to prawo przechodzi na spadkobierców dziecka. – Potem, z kolejnym nerwowym uśmiechem: – Wie pan, czy jeśli spadkobierca – to znaczy, nieślubne dziecko – ma swoje dziecko, to czy ono także będzie dziedziczyć.

Spokojnie, spokojnie, spokojnie. Brunetti zapytał, jakby zaintrygowały go te spekulacje:

– To interesujące pytanie. Czy to może, w takim razie, przeskoczyć jedno pokolenie i przejść na następne?

– Właśnie tak, doskonale powiedziane, *commissario*: jeśli nieślubne dziecko ma dziecko – czy prawo do dziedziczenia przechodzi na to dziecko?

– Co jej pan odpowiedział?

– Nie mogłem jej nic powiedzieć. Nie czytałem całej ustawy, więc nie znałem odpowiedzi.

– Co jej pan odpowiedział?

Cresti przygładził włosy i zostawił dłoń u podstawy czaszki, jakby chciał zachęcić umysł, by podsunął mu odpowiedź.

– Nie mogłem odpowiedzieć, prawda, skoro nie miałem pewności.

– Co jej pan odpowiedział?

Cresti cofnął rękę i zacisnął palce na poręczach krzesła.

– Powiedziałem, że prawdopodobnie prawo do dziedziczenia przechodzi na spadkobierców dziecka.

Głupota i chciwość, powiedział sobie Brunetti, głupota i chciwość, a także skwapliwa pomoc adwokata, który wykorzystywał

tę pierwszą, by popychać swoich nie-klientów w stronę tej drugiej.

– Rozumiem – powiedział Brunetti. Potem, ponieważ nie potrafił się powstrzymać, choć wiedział, że nie ma to żadnego sensu, zapytał: – Co pan pomyślał, gdy zmarł jej syn?

Cresti błysnął kolejnym uśmiechem, tym razem mającym wyrażać zaskoczenie pytaniem Brunettiego.

– Myślałem o tym, jakie to nieszczęście. – Jego głos narzmiął powagą, tak często wykorzystywaną, by wyrazić ubolewanie nad nieszczęściami i tragediami dotyczącymi nas wszystkich, słabych i kruchych ludzi. – Nieszczęśliwa kobieta w takich okolicznościach straciła syna.

– Była w dodatku jego jedyną rodziną – nie powstrzymał się od odpowiedzi Brunetti. Wstał z miejsca. – Dziękuję, że pan przyszedł, signor Cresti. Zadzwoń do pana, gdybyśmy potrzebowali jakichś dodatkowych informacji.

Na twarzy Crestiego odmalowało się autentyczne zaskoczenie. Pozwolono mu odejść. Powiedział to, co powiedział, a ten mężczyzna puszczał go wolno. Zaczął wstawać, ale kieszeń marynarki zahaczyła o poręcz krzesła, więc ruch w górę uniósł krzesło z podłogi, aż kieszeń się rozerwała. Cresti zachwiał się i zamachał rękami w powietrzu, ale zaraz odzyskał równowagę.

Brunetti stał za biurkiem, nieskłonny do pomocy, skinął głową, gdy Cresti się pożegnał, i obserwował, jak adwokat wychodzi z pokoju.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer signoriny Elettry. Gdy odebrała, zapytał:

– Czy mogłaby pani spojrzeć jeszcze raz na wyciąg z konta bankowego signory Cavanelli i powiedzieć mi, w jakim dniu przychodziły te przelewy?

Reagując na ton jego głosu, odparła tylko:

– Chwileczkę.

Brunetti spojrział na zegarek i zobaczył, że dzisiaj jest piąty.

Signorina Elettra wróciła.

– Zazwyczaj pieniądze wpływały pierwszego dnia miesiąca, *commissario*.

– Czy wpłynęły w tym miesiącu?

Odpowiedziała po kilku sekundach zwłoki:

– Nie, nie wpłynęły.

Podziękował jej i odłożył słuchawkę.

Pozostawało tylko porozmawiać znowu z Lucrezią Lembo, ale tym razem Brunetti postanowił zrobić to sam; żadnego różańca, żadnej Madonny, żadnych religijnych uniesień. Chciał liczb, dat i faktów, a ona była w stanie mu ich dostarczyć.

Poszedł piechotą. Było późne popołudnie, dzień chylił się do zmierzchu i wyglądało, jakby zbierało się na deszcz. Mijając *campi* i budynki pomiędzy komendą a mostem Akademii, jedynym punktem, w którym mógł przejść przez Canale Grande i cofnąć się do jej domu, Brunetti konstruował spójną narrację na podstawie oderwanych faktów i jeszcze bardziej oderwanych domniemań. W raporcie załogi karetki, która zabrała signorę Cavanellę do szpitala, przeczytał, chociaż nie zwrócił wtedy na to uwagi, że została znaleziona na schodach domu zaledwie kilka minut od *palazzo* rodziny Lembo. Wpłata na jej konto nie wpłynęła w tym miesiącu. Ana Cavanella przestała pracować dla rodziny Lembo czterdzieści lat temu i od tamtego czasu dostawała miesięczną pensję. Mieszkała w domu będącym własnością członka rodziny Lembo, w którym to domu jej dziecko miało prawo przebywać do końca swojego życia. Król miedzi zostawił żonę po trzydziestu czterech latach dla młodszej kobiety, z którą miał dziecko, kolejną dziewczynkę, ale ta kobieta porzuciła go niedługo po śmierci tego dziecka.

Została tylko Lucrezia; jej rodzice nie żyli, przyrodnia siostra utonęła, a druga siostra przeprowadziła się do innego kraju. Signora Ghezzi powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia, nie można było zakładać, że Ana Cavanella powie prawdę, a biedny, milczący Davide nie mógłby nic powiedzieć, nawet gdyby znał prawdę.

Brunetti usłyszał deszcz, zanim jeszcze go zobaczył, usłyszał go w plaskaniu swoich stóp na chodniku. Usłyszał go, zobaczył, a gdy położył dłonie na głowie, poczuł go. Oczywiście przy moście Akademii spotkał trzech tamilskich sprzedawców parasoli – często zastanawiał się, czy są liofilizowani i wracają do życia wraz z pierwszymi kroplami deszczu, trzymając naręcza para-

soli po pięć euro. Popełnił przestępstwo, kupując od jednego z nich parasol, dał mężczyźnie dziesięć euro i powiedział mu, żeby zatrzymał resztę, a potem skręcił w stronę Salute. Na Campo San Vio skręcił w prawo i wszedł w *calle*.

Zadzwonił i trzymał palec na przycisku, aż usłyszał dźwięk dzwonka gdzieś ze środka. Cofnął palec. Cisza. Nacisnął dzwonek po raz drugi i stanął wygodniej, nie puszczając przycisku. Dźwięk rozlegał się przez długą chwilę. W końcu Brunetti usłyszał poruszenie na dziedzińcu, zabrał palec i wyraźnie usłyszał odgłos kroków zbliżających się do drzwi.

Głos kobiety powiedział coś w środku, ale Brunetti to zignorował. Drzwi otworzyła Lucrezia Lembo, która nie wydawała się ani odrobinę zaskoczona jego widokiem.

– Czyli przyszedł pan po mnie? – zapytała, a jej głos brzmiał znacznie przytomniej niż podczas poprzedniej rozmowy z nim.

– Przyszedłem, żeby z panią porozmawiać, *signora* – oznajmił; było to stwierdzenie, nie żądanie.

Bez protestu odwróciła się, zostawiając drzwi otwarte, a on wszedł na dziedziniec. Poprowadziła go do wejścia, potem na górę po schodach, ale tym razem zabrała go do kuchni, pomieszczenia z oknami wychodzącymi na kanał; tak jak w poprzednio widzianym pokoju, tu także było nieskazitelnie czysto. Brunetti zatrzymał się tuż za drzwiami.

Wyglądała jak inna osoba. Jej włosy były umyte, miała na sobie bardzo konserwatywną spódnicę, sweter i lekki wełniany żakiet. Pantofle na niskim obcasie były tego samego rodzaju i takiej samej wysokiej jakości jak te, które wkładała Paola, gdy szła na wykłady. Nie wydawała się już gruba, tylko mocno zbudowana.

Podeszła do blatu przy rzędzie okien z widokiem na zasłonięte okiennicami okna w budynku po przeciwnej stronie kanału. Odwróciła się i oparła plecami o blat.

– Proszę usiąść, *signore*.

Brunetti podszedł do stołu, słysząc odgłosy swoich butów na marmurowej podłodze. Lucrezia wzięła od niego parasol i włożyła go do zlewu za sobą. Ponieważ to dawało jej przewagę, Brunetti odsunął krzesło i siadł na nim.

– Przyszedł pan, żeby mnie aresztować? – zapytała.

– Za co, *signora*?

Wyglądała, jakby wyspała się tej nocy. Brunetti napomniał się, że równie dobrze mogła znaleźć odpowiednią kombinację alkoholu i narkotyków, ale nie wydawało mu się, by tak było.

– O ile pamięć mnie nie zawodzi, nie mam żadnych powodów, by panią aresztować, *signora*. – Zobaczył, że jej oczy rozszerzyły się, a potem jej twarz jeszcze bardziej się odprężyła. – Nie miałbym także ochoty tego robić, *signora*.

– W takim razie dlaczego pan tu jest?

– Aby porozmawiać o pani ojcu.

– Ojcu? – Pochyliła głowę i potrząsnęła nią, a gdy ją podniosła, uśmiechała się do niego, jakby z powodu niewinności, z jaką to powiedział.

– Ludovico Lembo, dawniej Fadalti, zwany także królem miedzi – powiedział Brunetti.

– Co chciałby pan o nim wiedzieć, *signore*?

– Czy jest ojcem syna Any Cavanelli?

– Davide?

– Tak.

– Tak, jest jego ojcem. Albo raczej był.

– Czy łożyła pani na utrzymanie Davide?

– Tak.

– Czy dom w San Polo, w którym mieszkał, należy do pani?

– Tak, należy. Został mi przekazany w spadku przez tę samą osobę.

– Ludovica Lembo?

– Dawniej Fadaltiego. Tak.

– Natomiast Davide miał *usufrutto* na ten dom?

– Aż do śmierci. Tak.

Brunetti wiedział, że wszystkie te rzeczy, poza pierwszą, dałoby się znaleźć w publicznie dostępnych dokumentach.

– Czy Ana Cavanella panią szantażowała, *signora*?

– Czym?

– Ujawnieniem ojca Davide?

– Dlaczego miałyby to robić? – zapytała Lucrezia.

– Aby inni ludzie – na przykład pani matka – nie dowiedzieli

się o tym.

Potrząsnęła głową, jakby powiedział jej coś zbyt absurdalnego, by mogła w to uwierzyć, ale nie chciała urazić jego uczuć i się roześmiać.

– Dowiedzieli się o czym?

– Nie wiem – przyznał szczerze Brunetti. W przypadku tej rodziny nie dało się wykluczyć żadnej ewentualności. Nie chcąc się przyznać do irytacji tym, że dawała do zrozumienia, iż wie coś, o czym on nie wie, powiedział: – Wiem, że pani matka dowiedziała się o jej ciąży.

Odwróciła się, ale tylko po to, by otworzyć szafkę i wyjąć szklanę, a potem drugą. Odkręciła wodę w zlewie, napełniła obie szklanki, postawiła jedną przed nim i wypila połowę zawartości swojej. Wciąż trzymała szklanę w dłoniach; Brunetti przysunął swoją bliżej, ale się nie napił.

– Proszę mi przypomnieć, jak się pan nazywa. Obawiam się, że podczas pana poprzedniej wizyty nie byłam do końca sobą.

– Brunetti – powiedział, czując ulgę, że pamiętała tamtą wizytę.

– A pana łatwo się ekscytująca koleżanka? – zapytała.

– Griffoni.

– A, tak. Signor Brunetti, wydaje mi się, że pan i ja mamy podobne informacje. Ale znaczą one dla nas różne rzeczy. – Wypila łyk wody.

Gdy Brunetti ocenił, że nie zamierza powiedzieć nic więcej, rzekł:

– Przelewy dla niej, z pani konta. Jeśli to nie był szantaż, co to było?

– Tak jak pan powiedział, pieniądze na jego utrzymanie. Wystarczające, żeby oboje mogli żyć spokojnie.

– A utrzymywanie domu, w którym mieszkali?

– Tak samo. Działanie ze strony bardzo przyzwoitego mężczyzny, mające zapewnić, że jego syn nie będzie żył w biedzie.

– Mówi pani o swoim ojcu?

– O Ludovicu Lembo, dawniej Fadaltim.

Jej ton powiedział mu wszystko.

– Który był czy też nie był pani ojcem? – zapytał Brunetti.

– Który nie był moim ojcem ani też ojcem mojej siostry Lavinii, był natomiast ojcem Ludoviki, córki swojej przyjaciółki, oraz Davide, syna Any Cavanelli.

– Mówi to pani bardzo lekko, *signora* – zaryzykował Brunetti.

– Myli się pan całkowicie, signor Brunetti – odparła. – Mówię to z większym bólem, niż byłby pan w stanie kiedykolwiek pojąć. – Wypiła jeszcze łyk wody. – Ale nasze wychowanie, mojej siostry i moje, było twardą szkołą życia i sprawiło, że nie podajemy się łatwo narzekaniom i lamentom.

– Kto panie wychowywał?

– Moja matka i jej kuzynka.

– Siostra Maria Rosaria Lembo-Malfa? – zapytał Brunetti, nie mogąc się powstrzymać, by się nie popisać.

– Właśnie tak. Ona i moja matka. Kuzynki połączone oddaniem i służbą Chrystusowi. Tylko...

– Tylko co, *signora*?

– Tylko oddanie mojej matki być może nie charakteryzowało się taką samą czystością, jak jej kuzynki.

Brunetti nagle poczuł się znużony nią, jej pozą, a także mówieniem aluzjami i zagadkami. Niemalże wolał jej pijacką wylewność.

– Czy mogłaby pani mówić jaśniej, *signora*? To by oszczędziło nam obojgu czasu i wysiłku.

Dostrzegł jej zaskoczenie, ale zaraz potem rozbawienie.

– Jakże to odświeżające, gdy ktoś zwraca się do mnie tak bezpośrednio. Dziękuję panu za to, *signore*. Bardzo rzadko mnie to w życiu spotykało.

Wierzył jej.

– W takim razie proszę mi o tym opowiedzieć, ale obiektywnie.

– Moja matka nie lubiła mojego ojca, a mój ojciec nie lubił mojej matki. To znaczy, mężczyzna, którego całe życie nazywałam ojcem, nie lubił mojej matki, a moja matka nie lubiła mężczyzny, którego przez całe życie nazywałam ojcem.

– Ale ożenił się z nią?

– Ożenił się z nią, ponieważ była w ciąży i poprosiła, żeby się

z nią ożenił.

– W ciąży z nim czy z innym mężczyzną?

– Na litość boską, mężczyzna taki jak mój ojciec nigdy nie zgodziłby się na seks przed ślubem – nie z kobietą, z którą miał nadzieję się ożenić. Tak się nie robiło, jeśli się było obiecującym inżynierem, dziewczyna była córką szefa, a firma była jedną z największych w kraju.

– Czyli ożenił się z nią, żeby dostać firmę?

– Mój ojciec był w pierwszym rzędzie przedsiębiorcą. Kochał to, uwielbiał pilnować, żeby wszystko działało, i uwielbiał zarabiać dzięki temu pieniądze.

– Odruchowo nazywa go pani ojcem – zauważył Brunetti.

– Kochałam go. Był dobrym człowiekiem i był bardzo dobry dla nas obu. Nigdy nie spotkałam naszego prawdziwego ojca – w każdym razie nie wiedziałam o tym – więc to jego kochałam jako mojego ojca. Podobnie jak Lavinia.

– Ona także nie była jego córką?

– Czy nie powiedziałam tego przed chwilą? – zapytała i odwróciła się, by napełnić szklanekę.

– Oczywiście, oczywiście – zapewnił ją Brunetti, gdy znowu na niego spojrzała. – Ale czy oni nigdy... – Nie wiedział, jak to ująć, zwracając się do damy. – Czy nigdy nie byli naprawdę mężem i żoną?

– Nie mam pojęcia i nie chcę tego wiedzieć – odparła gorąco i szybko, żeby wyrzucić to z siebie jak najprędzej. – Mieli zawsze oddzielne pokoje i oddzielne życia. A moja matka co miesiąc wyjeżdżała, żeby odwiedzić kuzynkę w klasztorze – przypominała, pozwalając Brunettiemu zrozumieć to, jak tylko chciał.

– A potem w *palazzo* pojawiła się Ana Cavanella – powiedział.

– Owszem. Była w naszym wieku. To znaczy, prawie w naszym wieku. Jestem pewna, że psychiatrzy byliby tym zachwyceni, roztrząsaliby jego ukryte żądze wobec nas. Których nawet śladu żadna z nas nigdy nie dostrzegала.

– Jak się zachowywała?

– Nie wiem. To znaczy, nie pamiętam. Byłam w wieku, gdy życie wydawało mi się trudne i odrażające. – Wzruszyła ramio-

nami i dodała: – Wydaje mi się, że do pewnego stopnia nadal tak uważam.

Brunetti uświadomił sobie, że zaczyna ją lubić.

– Czy pani siostra może to pamiętać?

– Była w szkole. W Irlandii. U siostr.

– Rozumiem – powiedział Brunetti, chociaż nie rozumiał. – A potem Ana zaszła w ciążę? – zapytał.

– Tak. Moja matka wpadła w furję. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

– Zazdrość?

Roześmiała się tylko.

– Ależ skąd. Była wściekła, że to naraża na szwank honor jej i jej rodziny.

– Co się wydarzyło?

– Ana odeszła.

– Skąd wzięły się dom i pensja?

– Mój ojciec kupił ten dom na moje nazwisko. Miałam wtedy dziewiętnaście lat, a on zapytał mnie, czy zrobiłabym to dla niego: czy zgodzę się na *usufrutto* i żeby przelewy szły z mojego konta. Podpisałam dokumenty. On był dobrym człowiekiem.

Brunetti podniósł szklanke i napił się wody. Nie potrafił połączyć tej konserwatywnie ubranej i mówiącej jasno kobiety z bełkoczącym wrakiem, który spotkali poprzednio. Narastało w nim podejrzenie, że ta kobieta ich przechytryła, a ofiarą jej podstępny padła Griffoni.

– Dlaczego pani myślała, że przyszedłem panią aresztować, *signora*?

– Z powodu tego, co robiłam Anie Cavanelli.

– To znaczy, dlatego że ją pani uderzyła?

– Tak powiedziała? – zapytała, niezdolna ukryć zaskoczenia.

– Nie. Czy powiedziałyby mi pani, co zaszło?

– Przyszła tutaj dwa dni temu, a ja ją wpuściłam. Nie poznałam jej; czterdzieści lat to kawał czasu. Musiała mi powiedzieć, kim jest. Wtedy ją wpuściłam.

– Co się stało?

– Powiedziała mi, że jej syn nie żyje. Odpowiedziałam, że wiem o tym. Przyszła, ponieważ otrzymała pismo od mojego

prawnika, informujące ją, że śmierć jej syna Davide zmienia naszą dotychczasową relację finansową. Przyszła zapytać, co to znaczy.

– Wyjaśniła jej to pani?

Z czymś bliskim irytacji Lucrezia oznajmiła:

– Nie wiem, czemu prawnicy nie umieją niczego jasno przekazać. Wystarczyło powiedzieć jej, że nie będzie już dostawać pieniędzy i że musi opuścić dom. – Popatrzyła na Brunettiego. – Próbowałam jej to wyjaśnić, ale nie wydaje mi się, żeby to rozumiała. Albo też nie chciała rozumieć. Wyjaśniłam jej, że miałam zobowiązania wobec Davide, nie wobec niej.

Mimo zainteresowania użytym przez nią słowem „zobowiązania” Brunetti nic nie powiedział.

– Rozzłościła się i powiedziała, że rodzina nie może już dłużej kłamać o nim ani o niej. – Lucrezia prychnęła z niedowierzaniem i ciągnęła: – Powiedziałam jej, że dla mnie nic nie znaczy, i poprosiłam, żeby wyszła, ale ona powiedziała, że Davide był moim przyrodnim bratem i należy mu się jedna trzecia majątku mojego ojca.

Zrobiła gest, jakby się wzdrygnęła.

– Przeczytała coś o ustawie, która weszła w życie w zeszłym roku, i powiedziała, że ma dowody.

– Dowody na co?

– Że mój ojciec – to znaczy, mąż mojej matki – był także ojcem Davide. A gdy ja powiedziałam jej, że może nie być żadnych dowodów, powiedziała o czymś, co nazywała DNU. W pierwszej chwili nie rozumiałam, o co jej chodzi, ale wyjaśniła, że jeśli ludzie są spokrewnieni, to w ciele, we krwi, są dowody na to.

– DNA – szepnął Brunetti i zmówił bezgłośnie modlitwę za to, by zostało mu oszczędzone obcowanie z ludzką ignoracją.

– Tak, DNA. Bóg jeden wie, skąd się tego dowiedziała. Nie rozumiała niczego, ale cały czas mówiła o tych testach DNU i że one udowodnią, że był ojcem Davide. Powiedziałam jej, żeby się nie krępować i spróbowała to udowodnić.

– Czy powiedziała jej pani coś jeszcze?

– Nie. Nie chciała zamilknąć, a potem zaczęła krzyczeć. Wciąż

stałyśmy przy drzwiach. Otwarłam je i powiedziałam jej, żeby wyszła, cały czas rozmawiałyśmy na dziedzińcu. Nie chciałam jej wpuszczać do domu. Krzyczała, że zasługuje na naszą pomoc, a ja jej powiedziałam, że zasługuje tylko na to, żeby wsadzić ją do więzienia albo zakładu psychiatrycznego. – Emocje Lucrezii okazały się silniejsze od niej, więc zamilkła, oddychając ciężko. – Podniosłam na nią rękę. Przestraszyła się tego. Złapałam ją za ramiona, wypchnęłam ją na *calle* i zatrzasnęłam jej drzwi tuż przed nosem, zanim zdążyła wrócić. Potem weszłam do domu. – Uśmiechnęła się i odezwała do Brunettiego, jakby był jej starym przyjacielem: – Muszę panu przyznać, że nic w moim życiu nie sprawiło mi takiej przyjemności.

– Tuż przed nosem?

– Mówiłam w przenośni – wyjaśniła. – Stała tam i wyła jak hiena. Musiało minąć chyba z dziesięć minut. Ale potem wszystko ucichło. Poszła sobie.

Dopiła wodę i odstawiła szklankę na blat za sobą.

– Dlaczego uważa pani, że powinna trafić do więzienia albo do szpitala psychiatrycznego?

Takim samym swobodnym tonem, nadal jak do przyjaciela, powiedziała:

– Za to, co zrobiła Davide.

– Co takiego zrobiła?

Jej oczy rozszerzyły się.

– Chce pan powiedzieć, że pan nie wie? Myślałam, że wiedzą o tym wszyscy jej sąsiedzi.

– Nie wiem, o czym pani mówi, *signora*.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– O tym pokoju?

– Jakim pokoju?

– O Boże – powiedziała, autentycznie zdruzgotana. – Przysięgam na pamięć mojego ojca, myślałam, że pan wie, że dowiedział się pan tego od jej sąsiadów.

– Nic nie wiem, *signora* – przyznał Brunetti, czując, jak głęboka jest to prawda.

Pochyliła się do przodu, położyła dłonie na blacie stołu, tak że

kciuki prawie się stykały, i patrzyła na nie, mówiąc. Potrzebowała dużo czasu, by znaleźć siły i mówić dalej.

– Gdy mój ojciec powiedział jej, że musi opuścić nasz dom, odmówiła, a gdy powiedział, że dopilnuje, by ona i jej dziecko mieli odpowiednią opiekę, powiedziała tylko, że sama zaopiekuje się dzieckiem. – Umilkła i dwukrotnie przełknęła ślinę. Odsunęła krzesło i usiadła na nim, naprzeciwko Brunettiego. – Nie wiedzieliśmy, co miała na myśli. Najpierw zamieszkała w tym domu, ale potem zniknęła. Później wróciła, żeby zamieszkać ze swoją matką. Znalazła jakąś pracę, ale myślę, że tylko po to, żeby przebywać poza domem.

– A jej matka?

– Pomagała jej.

– W czym?

Ręce Lucrezii jako jedyne, poza głosem, zdradzały jej emocje. Zaciśnęła palce w pięści, a żyłki na grzbietach dłoni stały się wyraźniejsze.

– Nie rozmawiały.

– Co pani ma na myśli?

– Nie rozmawiały z dzieckiem. Z jej synem. On tam był. Może nawet tam go urodziła i nikt o tym nie wiedział. Mieszkał w pokoju, a one karmiły go i myły – tak przypuszczam. Ale nie rozmawiały z nim. To właśnie miała na myśli, gdy powiedziała, że zaopiekuje się dzieckiem.

W tym momencie podniosła wzrok.

– Nie sądzę, żeby była wariatką, *signore*. Nie była. Była zła. Obie były.

– Ile czasu to trwało?

– Całe lata, dziesięć lat lub więcej. Potem jej matka wyjechała albo zmarła, albo zniknęła. Nie wiem. Byłam zajęta rujnowaniem własnego życia, nie miałam czasu, żeby zwracać uwagę na jej życie. Ich życie.

– Jak się pani tego dowiedziała?

– Od signory Ghezzi, ale dopiero wiele lat później. – Brunetti udał, że potrząsa głową, nic nie rozumiejąc. – To była pokojówka mojej matki. Miała przyjaciół w tamtej okolicy i słyszała, co mówią. Nic nie było pewne, tylko plotki. Nikt nie chciał się w to

mieszać. Nikt nie miał odwagi wtrącać się w to, co robiła. Nikt nie ufał policji.

Podniosła się, a potem znowu usiadła.

– Aż wreszcie pewnego dnia jej matki już nie było, a pojawił się tam chłopiec, jej syn, upośledzony fizycznie i umysłowo. Powiedziała ludziom, że wychowywał się u krewnych na wsi; nawet wtedy nikt nie odważył się zadawać pytań.

– Czy pani cały ten czas płaciła?

– Robił to mój ojciec. Za pośrednictwem mojego konta. Gdy zmarł, ja płaciłam nadal. Obiecałam mu to.

– Czy wiedział o chłopcu?

– O tym, co mu zrobiła?

Brunetti skinął głową, niezdolny powiedzieć ani słowa.

– Nikt nigdy nie miał odwagi mu powiedzieć. Ojciec przeprowadził się już wtedy na Giudeccę. – Umilkła i spojrzała w dal. – Mógłby ją zabić, gdyby się dowiedział. Wie pan, Davide był jego jedynym synem.

Popatrzyła Brunettiemu w oczy.

– Gdyby pan poszukał, dowiedziałby się pan, jak to się stało. To znaczy, co się dzieje, jeśli się z nimi nie rozmawia. Są jak zwierzęta. Jak Davide.

W tym momencie wstała i powiedziała:

– Myślę, że to wystarczy, nie uważa pan?

Uważał. Wyszedł.

Brunetti ze szczególną pieczołowitością zamknął jak najciszej drzwi mieszkania, zszedł po schodach jak duch, przeszedł przez dziedziniec i wyszedł na *calle* z ostrożnością włamywacza. Wciąż padało, ale nie zauważył tego, dopóki nie znalazł się z powrotem przy moście Akademii, gdzie kupił kolejny parasol od kolejnego Tamila.

Ponieważ miał buty przemoczone na wylot, postanowił iść pieszo. Było to raczej człapanie, chociaż on wołał nazywać je w myślach marszem. Nie mówiono do niego, nie zwracano się do niego; bez kontaktu, bez słów, bez komunikacji, bez znaczeń, bez sensu czegokolwiek, bez myślenia słowami, bez nazw rzeczy. Trudno o coś bardziej okropnego. Żadnego sposobu na uporządkowanie świata; żadnego sposobu odróżnienia szczekania psa od słów kołysanki; „tak” brzmi tak samo jak „nie”, a oba te słowa tak samo jak „do góry nogami”.

Zatrzymał się przed drzwiami swojego domu. Kieszeń miał przemoczoną, a klucze zimniejsze niż kiedykolwiek. Dzisiaj do mieszkania prowadziło trzysta stopni schodów. Zamknął parasol i położył go pod drzwiami, wszedł do środka, ściągnął buty i pochylił się, by włożyć je do szafki. Z kuchni dobiegały dźwięki: słowa, frazy: „to naprawdę dobry...”, „ona nigdy nie powie, co...”, „jeszcze pięć minut”. Każdy z tych urywków coś znaczył. Słowa umożliwiały zaistnienie większych kategorii lub też większych, bardziej ogólnych idei. Pochwała, krytyka, czas.

Poszedł do łazienki, zdjął ubranie, zaczynając od skarpetek, i wieszal wszystko, mokre i ciemne, na krawędzi wanny. Chciał wziąć prysznic, ale oparł się pokusie i wytarł tylko włosy ręcznikiem, który rozwiesił potem obok swojej koszuli. Włożył szlafrok frotté i poszedł korytarzem do sypialni. Znalazł tam parę wełnianych luźnych spodni, których od lat nie pozwalał Paoli wyrzucić. Ich znajoma, bezkształtna miękkość przyniosła mu pociechę. Włożył T-shirt oraz stary zielony kaszmirowy sweter,

którego także raz za razem bronił przed wyrzuceniem. Włożył skarpetki i wsunął stopy w skórzane kapcie.

Przeszedł korytarzem do kuchni. Gdy do niej wszedł, Chiara powiedziała:

– Masz potargane włosy, *papà*. Chodź tutaj, to ci poprawię.

Zerwała się, a Brunetti usiadł na jej krześle, zadziwiony tym, że słowo „poprawić” tak idealnie pasuje do tego zdania, chociaż włosów nie da się poprawiać, bo przecież nie mogą być błędne, ale gdy włosy są potargane, można temu zaradzić, poprawiając je, tak jakby potarganie było błędem – czy to nie cudowne, jak elastyczne potrafią być słowa?

Chiara rozczapierzyła palce i przecesała nimi wciąż wilgotne włosy, czesząc je raz za razem, aż zaczęły wyglądać mniej więcej tak, jak powinny. Gdy niczego nie powiedział, obeszła go i zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Co się stało? *Cat got your tongue?*³ – zapytała, używając angielskiego idiomu.

Jakie to niezwykle, że to samo działo się także w innych językach i że fraza mogła mieć dwa znaczenia. To oczywiste, że żaden kot nie odgryzł mu języka, ale to była cudowna metafora określająca znieruchomiąły język. Jak u Davide.

– Zamyśliłem się – powiedział i uśmiechnął się do nich wszystkich.

– Nad czym? – zapytała Paola. Raffi był zainteresowany, ale jeszcze bardziej był zainteresowany swoim risotto.

– Nad żartem, który usłyszałem od mamy, gdy byłem mały. Pewnego wieczoru nie chciałem zjeść marchewki, a ona powiedziała mi, że marchewka jest dobra na oczy.

Chiara zatkała uszy dłońmi, wiedząc, co zaraz nastąpi. Paola westchnęła; Raffi nie przerwał jedzenia.

– Gdy zapytałem ją, skąd o tym wie, zapytała mnie, czy... – w tym momencie zawiesił głos, żeby dać im czas na chóralne włączenie się, tak jak za każdym razem, gdy opowiadał tę anegdotę – ...widziałem kiedykolwiek królika w okularach. – Oczywiście wszyscy dołączyli do niego, powtarzając pytanie jego matki, pytanie jej teściowej, pytanie ich babci, a Brunetti nie

3 Czy kot połknął twój język?

przestawał się dziwić temu, że jego matka może mieć tyle różnych określeń.

Zjadł obiad, chociaż nie wiedział, co takiego je. Wypił kieliszek wina, zostawił drugi niedopity, pijany słowami krążącymi nad stołem, ich różnymi znaczeniami, tym, że wyrażały czas: przyszłość i przeszłość; wyrażały, czy coś zostało zrobione, czy dopiero miało być zrobione; wyrażały ludzkie emocje: gniew nie objawiał się wybuchem złości, żal nie objawiał się łzami. W pewnym momencie Paola wyraziła życzenie, używając trybu łączącego, a Brunetti poczuł, że jest bliski łez z powodu intelektualnej złożoności tego trybu: mogła mówić o czymś, czego nie było, mogła tworzyć alternatywną rzeczywistość.

Zaczął wracać do rzeczywistości przy deserze, w czym pomogło mu ciasto przybrane czerwonymi śliwkami. Gdy Paola ukroiła drugi kawałek i położyła na jego talerzyku, zapytał:

– Czy myślisz, że Bóg jest mową?

Raffi nie zamierzał tego słuchać. Podniósł widelczyk z kawałkiem ciasta.

– Bóg jest ciastem ze śliwkami – powiedział i przyjął komunię.

Później Brunetti wyciągnął się na kanapie w gabinecie Paoli i opowiedział jej o wszystkim, nie omijając żadnego detalu, poczynając od pierwszej rozmowy z Aną Cavanellą, a kończąc na cichym wyjściu z *palazzo* rodziny Lembo.

Paola przez dłuższy czas siedziała w milczeniu, oszołomiona, a potem zrobiła to, co mogła zrobić, żeby powrócić na poziom ludzkiego pojmowania: zaczęła mówić o książkach, które czytała.

– Był przypadek Kaspara Hausera i była ta dziewczyna w Stanach Zjednoczonych. Czytałam o nich i czytałam trochę o teorii.

Popatrzyła na niego, a on skinął głową.

– Są w zasadzie zgodni – to znaczy, badacze, którzy to opisują – że jeśli mniej więcej do dwunastu lat nie nauczysz się języka, w mózgu tworzą się połączenia bez niego i na zawsze tracisz tę szansę; nigdy tego nie zrozumiesz, nigdy nie pojmiesz, jak to działa.

– Mówienie? – zapytał.

– Język. Sama jego koncepcja. Że dźwięk może stanowić odpowiednik przedmiotu lub działania.

– Albo idei – dodał Brunetti. – Albo koloru.

– Byłaby w mniejszym stopniu potworem, gdyby wyklęła mu oczy – oznajmiła Paola z nagłą zawziętością. – Mimo wszystko byłby człowiekiem.

– Uważasz, że nim nie był?

– Oczywiście że był – odparła. – Ale nie był taki jak my.

– Czy to retoryczna hiperbola?

– Tak sądzę – przyznała. – Ale naprawdę nie był. Nie rozumiał tego, co robimy. Albo co może cokolwiek znaczyć.

– Myślisz, że rozumiał inne rzeczy? – zapytał Brunetti, nie wiedząc do końca, co chce przez to powiedzieć, ale myśląc o rysunkach.

– Oczywiście. – Przesunęła dłonią po twarzy, a potem przecesała włosy. – Bardzo trudno jest mówić o tym tak, żeby nie wyjść na potwora i zwolennika eugeniki, przypisującego różną wartość różnym ludziom.

– Albo definiującego to, czym są ludzie, poprzez to, co potrafią zrobić? – podsunął Brunetti.

– Czy teraz możemy się już położyć? – zapytała jak nadąsane dziecko.

– Myślę, że tak będzie najlepiej. Nie potrafimy odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

– Żadne z nas nie zadawało pytań – powiedziała.

Przez chwilę Brunetti chciał się jej sprzeciwić, ale był na to zbyt zmęczony.

– Poza tym nie ma żadnych odpowiedzi – powiedział tylko.

Położyli się spać, a następny dzień wstał słoneczny, ale znacznie zimniejszy.

Cóż, zaszedł tak daleko, kierowany uczuciem nie bardziej szlachetnym od ciekawości, powiedział sobie, przyglądając się twarzy mężczyzny w lustrze i układając kołnierzyk na schludnie zawiązanym krawacie. Jego umysł przeszedł na język angielski. *Cat got your tongue*. A potem *Curiosity killed the cat*. Aby dopasować się do tego nastroju, mężczyzna w lustrze uśmiechnął

się jak kot z Cheshire i wyszedł z domu.

Mógł iść, dokąd chciał. Ponieważ był komisarzem, a w tym momencie w mieście nie było zbyt wielu przestępstw, mógł prawdopodobnie wsiąść na prom i popłynąć na Lido, żeby spacerować po plaży, ale przeszedł tymi samymi starymi, znajomymi starymi *calli* do szpitala i poszedł na oddział geriatryczny, gdzie jego matka – ona także straciła oparcie w słowach u schyłku życia – spędziła niegdyś kilka miesięcy. Wszystko wydawało się czystsze, tylko zapach pozostał bez zmian.

Wszedł do pokoju bez pukania i zastał Anę Cavanellę siedzącą na pomarańczowym plastikowym krześle i wyglądającą przez okno. Na drugim łóżku leżała kobieta podłączona do licznych plastikowych rurek, jak statek wyładowujący płynne cargo i jednocześnie tankujący paliwo, żeglujący po jakichś odległych morzach, niezakotwiczony przy nich.

Cavanella spojrzała na niego z nieprzeniknioną i nieżyczliwą twarzą. Z lewej strony była niemal czarna, najciemniejsza w miejscu na czole, w które uderzyły ją zamykane drzwi.

Brunetti podszedł do okna i stanął plecami do niego, żeby przynajmniej to światło, jakie przez nie wpadało, oświetlało jej twarz i oczy.

– Rozmawiałem z Lucrezią Lembo – powiedział.

– O mnie? – zapytała.

– *Signora* i ja nie mamy innych wspólnych tematów.

– Jest pan policjantem, dlaczego ja pana interesuję?

– Jestem ciekaw, jak zamierza pani to udowodnić.

– Co udowodnić? – zapytała, ale jej wzrok pobiegł do śpiącej kobiety.

– Że Ludovico Lembo był ojcem Davide.

Milczała przez długą chwilę, a on obserwował, jak szuka stosownej odpowiedzi.

Patrzył, jak walczy z pokusą, by pokazać mu, że ona także jest przebiegła. Przegrała tę walkę.

– Jest taki test. DNU. – Nadal nie nauczyła się nazwy, ale mimo to pozwoliła sobie na pełen samozadowolenia uśmiech najgłupszego z uczniów, wierzącego, że wie coś, czego nie wie-

dzą inni.

– Co takiego może udowodnić?

– Że Ludovico Lembo nim był. To znaczy, ojcem. Z powodu innych jego dzieci. Mogą to dopasować. To metoda naukowa.

Postanowił na razie niczego jej nie mówić i zamiast tego zapytał: – A jeśli żaden sędzia nie zleci takich badań? Ostatecznie w przypadku bogatego człowieka każdy może wysunąć takie roszczenia, prawda? – W jego własnych uszach to pytanie brzmiało całkowicie rozsądnie.

Zastanowiła się nad tym dogłębnie, skonsultowała z uśpioną kobietą na drugim łóżku i z czubkami sosen wyrastających na dziedzińcu poniżej.

– Naprawdę? – zapytała, zupełnie jakby uważała, że może go poprosić, by działał w jej najlepszym interesie i podpowiedział jakieś inne rozwiązanie.

– Potrzebuje pani mocniejszych dowodów.

Spróbowała bezskutecznie ukryć uśmiech. Zdziwiło go, że kiedykolwiek dostrzegał w tej twarzy ślady urody.

– Mam list – powiedziała.

– Od niego?

– Jego prawnik napisał, żeby powiedzieć mi o domu i o pieniądzach. – By wykazać się wiedzą specjalistyczną, dodała, nie potrafiąc ukryć uśmiechu: – Jest datowany. – W jej głosie zabrzmiała mieszanka złości i samozadowolenia. – Każdy sędzia w to uwierzy. Ludzie nie oddają pieniędzy, jeśli się ich do tego nie zmusi.

Pozwalał jej jeszcze przez chwilę w to wierzyć.

– Pani dziedziczy po Davide, prawda? – zapytał, jakby właśnie w tej chwili przyszło mu to do głowy.

– Tak.

– Najpierw majątek zostanie przyznany jemu, a potem przejdzie na panią?

– Tak. – Nie była w stanie ukryć, jak podekscytowana się czuła tą perspektywą, która dla niej była całkowitą pewnością. Prawa strona jej twarzy zaróżowiła się na myśl o tym, druga strona pozostała niemal czarna.

– Co będzie z domem i pieniędzmi w banku?

– To teraz bez znaczenia, czyż nie? – zapytała, mówiąc z arogancją, która, jak nauczyło ją życie, była charakterystyczna dla bogaczy. Dom, za który nie trzeba płacić czynszu, trzy tysiące euro miesięcznie, to wszystko nagle zaczęło się wydawać groszowymi sumami dla osoby takiej jak Ana Cavanella, już niebawem spadkobierczyni jednej trzeciej gigantycznego majątku. Cóż takie drobiazgi znacząły dla matki syna i dziedzica króla miedzi?

– Jego śmierć była niezwykle nieszczęśliwym wydarzeniem – zauważył Brunetti.

Było jasne, że nie wie, o kim Brunetti mówi, o jej synu czy też o ojcu jej syna. Ale jej twarz szybko przybrała nabożny wyraz stosowny w obu przypadkach.

– Tak, bardzo – powiedziała.

– Jednocześnie można powiedzieć, że było to szczęśliwe zrządzenie losu – podsunął Brunetti. – Davide nigdy by nie docenił takich pieniędzy.

Próbowała powściągnąć uśmiech i udało się to jej przez moment, ale widok jej zębów wystarczył, by Brunetti poczuł chęć żeby ją uderzyć. Cofnął się o pół kroku, by oddalić się fizycznie od niej, nie od pokusy użycia przemocy, która tylko przemknęła mu przez myśl, pozostawiawszy go w szoku.

– Mogłabym kupić mu wiele rzeczy – oznajmiła z tak wyraźnie brzmiącą w głosie obłudą, że Brunetti był zaskoczony, iż kobieta na drugim łóżku nie obudziła się z krzykiem.

– Na przykład radio – podpowiedział.

– Ależ on był głuchy.

– Doprawdy, *signora*?

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Znowu to słyszał, pytanie będące w rzeczywistości odpowiedzią.

– Chcę powiedzieć, że z jego uszami wszystko było w porządku. To znaczy, z jego słuchem. Wykazała to sekcja zwłok.

– Nie rozumiem.

– Rozumieją to wszyscy pani sąsiedzi, *signora*.

Obserwował, jak przerzuca się z pomysłu na pomysł, z wymówki na wymówkę, z pozy na pozę. Nie mogła go znowu za-

pytać, co chce przez to powiedzieć, więc zdecydowała się na gniewny pomruk zamiast słów.

– Oni wiedzą, *signora*.

– Oni niczego nie wiedzą – syknęła.

– Gdy wystąpi pani z roszczeniami wobec spadku, będą także wiedzieli, co się stało z Davide. A jeśli wmiesza się w to prawo, dowiedzą się o gorącej czekoladzie, którą popijał herbatniki i małe żółte cukiereczki.

W tym momencie pobieliała tylko połowa jej twarzy, podczas gdy druga połowa pozostała zabarwiona śladem uderzenia. Próbowwała coś powiedzieć, wyrazić oburzenie, które, jak wiedziała, powinna okazać, ale nie potrafiła, więc spróbowała znowu, dławiąc się furią. Dławiąc się. Był tego świadomy. W końcu zdołała syknąć:

– To bez znaczenia. Niech sobie myślą, co chcą.

Za nimi rozległ się głośny huk; gdy Brunetti się obejrzał, zobaczył nieprawdopodobnie wysoki żuraw budowlany, uderzający stalową kulą w pozostałości ściany jednego ze starych szpitalnych budynków nad brzegiem laguny. Kawałek muru zamienił się w kupę gruzu, a pozostała jeszcze ściana skryła się w ogromnej chmurze białego pyłu. Przez nowy wyłom Brunetti zobaczył po drugiej stronie wody mur cmentarny, a za nim wieżę kościoła i czubki spokojnych drzew cyprysowych.

Postanowił jej nic nie mówić. Niech idzie za radą Beniego Borsetty i domaga się testu „DNU”. Poprosił w duchu, by jakiś pełen współczucia sędzia spełnił jej żądanie i nakazał Lucrezii, a także – jeśli się kiedykolwiek pojawi – Lavinii przekazanie próbki DNU, i niech test wykaże, że ich ojciec nie był ojcem dziecka Any Cavanelli. Niech musi z tym żyć: bez domu, bez miesięcznych przelewów, z dawnymi sąsiadami, których cierpliwość i tolerancja dla tego, czego nie można udowodnić, zostaną wyczerpane i którzy – miał nadzieję – będą potrzebowali ukarać kogoś za własne poczucie winy. A także bez swojego syna. Chociaż nic, co do tej pory zobaczył, nie wskazywało, że to ją szczególnie obejdzie.

Nie marnując więcej słów na nią, Brunetti wyszedł ze szpitala, żeby wsiąść na statek na Lido i pospacerować po plaży.

VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik

lesiojot